

KTO OBUDZI
LEWICĘ

RAPORT O POLSKIEJ
RELIGIJNOŚCI

CZY NIEMCOM
GROZI ZAŁAMANIE

BAŚNIE
O FUTBOLU

Kraków 4–10 października 2023 nr 41 (3874)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

KAMPANIA STRACHU

Jak partie
polują na
twój głos



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480307

PORUSZAJĄCA HISTORIA O TOŻSAMOŚCI, W KTÓREJ ZAWARTĄ JEST CAŁA GŁĘBIĄ I BOGACTWO KULTUR NOWEGO ŚWIATA



KSIAŻKA PORÓWNYWANA
PRZEZ KRYTYKÓW DO KULTOWYCH
STU LAT SAMOTNOŚCI
GABRIELA GARCÍ
MÁRQUEZA



Dzieło sztuki, które często
ociera się o magię.

„Denver Post”



WYDAWNICTWO
ALBATROS



PIĄTA STRONA ŚWIATA
BO ŚWIAT MA WIĘCEJ NIŻ CZTERY STRONY...



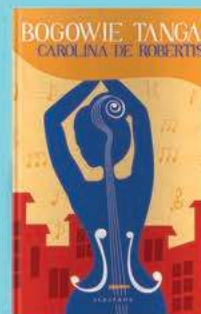
**NAJBARDZIEJ PORUSZAJĄCA
POWIEŚĆ O REWOLUCJI POLITYCZNEJ
I OBYCZAJOWEJ W IRANIE OD CZASU
„CHŁOPCA Z LATAWCEM” KHALEDA
HOSSEINIEGO.**

Iran, początek lat 50. Wojskowy kierowca znajduje w zaufaniu niemowlę. Bierze je w objęcia i na zawsze odmienia przyszłość swoją i błękitno-
okiej dziewczynki. Aria dorasta w czasach rewolucji, mimo to próbuje marzyć i żyć normalnie.



**PORUSZAJĄCA HISTORIA
O FATALNYCH SKUTKACH
NIEWŁAŚCIWYCH WYBORÓW.
O ZŁYCH DECYZJACH DOBRZYCH
LUDZI. I O SZCZĘŚCIU, Z KTÓREGO
TAK TRUDNO ZREZYGNOWAĆ.**

Rok 1920. Latarnik Tom Sherbourne wciąż nie może się uporać ze wspomnieniami z Wielkiej Wojny. Ukojenie przynosi mu towarzystwo żony. Na samotnej wysepce na krańcu świata odnajdują miłość i szczęście. Jednak los wystawia ich na próbę...



**ZMYŚŁOWA OPowieŚĆ O KOBIECIE
URZECZONEJ MAGIĄ TANGA. O PASJI
SILNIEJSZEJ NIŻ WSZYSTKO. A TAKŻE
ODNAJDOWANIU WOLNOŚCI W SOBIE.**

Argentyna, rok 1913. Młoda Włoszka, schodząca ze statku w Buenos Aires, nie ma pojęcia, że mąż, dla którego przemierzyła Atlantyk, nie żyje. W zatłoczonych przez imigrantów slumsach pozwolą jej przetrwać podarowane przez ojca skrzypce.



**SŁODKO-GORZKA OPowieŚĆ O TYM,
JAK BRYTYJSKI IMPERIALIZM ODBIŁ
SIĘ NA ŻYCIU ZWYKŁYCH LUDZI, ICH
NADZIEJACH I TĘSKNOTACH.**

W 1948 roku Londyn dochodzi do siebie po wojnie. Wśród brukowanych ulic, w cieniu Big Bena, jamajscy imigranci i rodowici Brytyjczycy toczą nową walkę – o swoje miejsce na ziemi i o lepsze jutro, próbując zachować godność na małej wysepce, na której przyszło im żyć.



**POCHWAŁA KOBIECIEJ SOLIDARNOŚCI
I SIŁY. HISTORIA DOMU, W KTÓRYM
MOŻNA KOCHAĆ ODWAŻNIE
I PRAWDZIWIE.**

Urugwaj, rok 1977. Pomimo niesprzyjającej rzeczywistości, u szczytu wojskowej dyktatury, pięć kobiet odnajduje w sobie nawzajem kochanki, przyjaciółki, a wreszcie rodzinę. Tajemne sanktuarium wznoszą na odciepiu od świata przylądkiem Cabo Polonio.

KS. ADAM

Boniecki: Wbrew ludzkim kombinacjom

DWA WAŻNE PUBLIKOWANE W TYM NUMERZE „Tygodnika” materiały o zaczynającym się Synodzie Biskupów, Edwarda Augustyna i Zuzanny Radzik, doskonale ukazują klimat, w jakim rozpoczyna się to zwyczajne, a przecież nadzwyczajne wydarzenie. Zwyczajne, bo synodów biskupich było już wiele, nadzwyczajne, bo papież Franciszek nadał temu wydarzeniu charakter tak niezwykły, że aż budzi niepokój: czy taki synod biskupów w ogóle jest możliwy?



Materie, jakimi zajmie się Synod (czy raczej „trzy najważniejsze kwestie, które porządkują całą tematykę” – jak pisze Edward Augustyn), są otchłannie bogate. W artykule Edwarda są tylko zwięźle wymienione ich zakresy. Bardzo słusznie, bo nie wiadomo, w jakim kierunku potoczy się synodalna dyskusja, co będzie w jej centrum, jakie przyniesie konkluzje i jaki efekt będą miały dla życia Kościoła. Nie wiadomo też, jakie będą ich kwalifikacje doktrynalne. Wiadomo za to, że poprzedni papież starali się nie poddawać pod dyskusję na synodach biskupów niektórych kwestii – tych mianowicie, które były uznawane za prawdy wiary, lub tych głęboko zakorzenionych w tradycji Kościoła. Franciszek – jak się wydaje – od tej zasady odchodzi, co nie znaczy, że wszystko akceptuje i na wszystko się zgadza. Tu też zachodzi okoliczność nowa. Pomiedzy sesjami Synodu upłynie rok. Słusznie też pisze autor, że nowością – choć dobrze zakorzenioną w przeszłości – jest przekonanie o „zmyśle wiary Ludu Bożego”, z którego, jak pisze, „w praktyce kościelnego życia nie wiele wynikało”. Dodajmy: dotychczas.

Tak więc przewidywania naszego autora są ostrożne, wszak znany jest z rozsądnych przypuszczeń. Uznaje z jednej strony niezwykłość podejścia papieża Franciszka, z drugiej jednak jest dość wstrzemięźliwy w przewidywaniu przyszłości. Inaczej Zuzanna Radzik. Pyta, co przyniesie kobietom ten Synod. W tym miejscu jej niewątpliwe przewidywania (te

optymistyczne) wydają się trafne. Przynajmniej w znacznym stopniu. Formowanie się Kościoła jako instytucji o męskim kierownictwie było produktem czasów. Trzeba nie mieć oczu, by nie widzieć, jak czasy się zmieniają. Nie mówiąc prawie nic o funkcji kapłańskiej kobiet (diakonat to jednak co innego), Zuzanna Radzik pyta o miejsce kobiet w Kościele. Wydaje się, że nadszedł czas, by ich głos był naprawdę usłyszany. Zresztą w rzeczywistości obecność i rola kobiet w Kościele jest większa, niż przewiduje teoria. Misje dawno by

przestały istnieć, gdyby nie kobiety, a co powiedzieć o przekazywaniu wiary w rodzinach, o teolożkach uczonych i teolożkach życia codziennego, o trudnym do opisania wkładzie kobiet w przechowywanie i pogłębianie depozytu wiary.

Być może zamiar papieża Franciszka wzbudzi sprzeciw, być może jego strategia okaże się zawodna i owoce Synodu rozczarują wielu jego – w pierwszym etapie – entuzjastów. Trudno i dodajmy – nic nie szkodzi. Czasu i tego, co się w czasie pontyfikatu Franciszka wydarzyło, nikt nie odmieni ani nie wykreśli. Kościół, wbrew naszym ludzkim kombinacjom, będzie realizował pomysł Boży. Już dziś widać, jak wiele pomysłów w nim jest czysto ludzkich, nie boskich, i śmiało można je odłożyć do akt historii.

Wręcz trudno dziś powiedzieć, czy ktoś, kto się powołuje na Pana Jezusa Chrystusa, rzeczywiście działa w Jego duchu. A może ludzie, którzy nie powołują się na żaden „tamten” świat, są Mu bliżsi? To niby stare, ale zawsze aktualne pytanie: czy zachowanie przepisów rytualnych nie zastępuje nam wypełniania rzeczywistych oczekiwań (przykazań) Bożych? Te pytania stawia papież Franciszek. Są trudne i nie jesteśmy do nich przyzwyczajeni. Lubimy wszystko oswajać i już nie zauważamy, że chrześcijaństwa nie da się ośwoić, udomowić, unieszkodliwić. Bo chrześcijaństwo jest trudne i dlatego jest dla człowieka powołaniem. „Jeśli chcesz...”. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ksiądz Adam Boniecki z nagrodą In Veritate

przyznaną przez Fundację im. bpa Tadeusza Pieronka za wybitne postawy i osiągnięcia w łączeniu wartości chrześcijańskich i europejskich.

GRATULUJEMY NASZEMU REDAKTOROWI SENIOROWI!



GRAŻYNA MAKARA

20 Jak PiS walczył o Polskę powiatową
MAREK SZYMANIAK
 Wynik tegorocznych wyborów zależy od tego, czy mieszkańcy małych miejscowości uwierzyli, że PiS skutecznie zapobiegł dalszej degradacji i wyludnieniu tzw. prowincji.



32 Teraz albo nigdy

EDWARD AUGUSTYN Z WATYKANU

Zmieniając ustrój Kościoła, synod biskupów wprowadza go na nieznaną ścieżkę.



42 Witajcie w Bawarialandii

ŁUKASZ GRAJEWSKI

W tak szczególnym regionie Niemiec, jakim jest Bawaria, wybory wygrać mogą jedynie politycy z największym ego.

64 Krowy są dobre

Rozmowa z MAŁGORZATĄ LEBDĄ:

Od kilku miesięcy żyję w przyszłości usytuowanym ponad moją rodzinną wsią. Wróciłam na moich zasadach.



78 Ludzie i gole

MAREK BIEŃCZYK

Jak opowiadać o futbolu, na którym „wszyscy się znają”?



58 Hybrydy

KATARZYNA NOWICKA

Współpraca roślin ze zwierzętami przybiera tak ścisłą formę, że czasem trudno jednoznacznie oddzielić jeden organizm od drugiego.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Jaką Kościół ma przyszłość
PIOTR SIKORA

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

**20 Jak PiS walczył o Polskę
powiatową**
MAREK SZYMANIAK

24 Wolni od szkoły
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*Z nauczania domowego korzysta
już kilkadziesiąt tysięcy uczniów
w Polsce*

28 Bitwa o przetrwanie
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Na tle brutalnej
walki KO i PiS, Lewica prowadzi
zaskakująco merytoryczną
kampanię*

■ ■ WIARA

32 Teraz albo nigdy
EDWARD AUGUSTYN Z WATYKANU

35 Stawka synodu
ZUZANNA RADZIK *o nadziejach
i obawach, jakie kobiety wiążą
z bieżącym synodem*

37 Zaczyna się nowa reformacja
TOMÁŠ HALÍK *o przyszłości
chrześcijaństwa*

■ ■ ŚWIAT

42 Witajcie w Bawarialandii
ŁUKASZ GRAJEWSKI

**46 Między nami dobrze jest,
do ataku, zabić, zjeść!**
ANNA KWIATKOWSKA: *Czy droga
do ostatecznego pojednania Polski
z jej zachodnim sąsiadem wiedzie
przez Niemcy Wschodnie?*

TEMAT TYGODNIKA



KADR Z JEDNEGO ZE SPOTÓW WYBORCZYCH

12 Suma wszystkich strachów
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Tegoroczną
kampanię wyborczą
ogląda się jak
polską podróbkę thrillerów
Toma Clancy'ego.

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK **61** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK ZALEJSKI / ADOBESTOCK

Redaktor prowadzący: MAREK RABÍJ

48 Maharadża i Pięcioro Oczu
WOJCIECH JAGIELSKI:
*Kanada oskarża indyjskiego
sojusznika*

50 Don Kichot znad Dniepru
ANTONINA PALARCZYK:
*Dmytro Sołowjow broni
pozostałości sowieckiego
modernizmu na Ukrainie*

■ ■ HISTORIA

54 Jezuici awanturnicy
ALEKSANDER R. MICHALAK:
*Jak jezuici pomogli w rozwoju
lingwistyki*

■ ■ NAUKA

58 Hybrydy
KATARZYNA NOWICKA

■ ■ KULTURA

64 Krowy są dobre
Rozmowa z MAŁGORZATĄ
LEBDA

68 Wyskoczyło z krzaków
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Marek
Stokowski próbuje zrehabilitować
gatunek ludzki*

71 Powrót do przyszłości
PIOTR KOSIEWSKI *o wystawie
„Przebudzeni” na Zamku
Królewskim w Warszawie*

74 Różnica czasu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie
Celine Song „Poprzednie życie”*

**75 Grimmowie, odsłona
pierwsza**
LEKTOR *o nieznanym baśniach
braci Grimm*

■ ■ ZMYŚŁY

78 Ludzie i gole
MAREK BIENIŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Co obejrzeć w weekend?

ANITA PIOTROWSKA poleca film „Gorące dni”: toksyczna
męskość, a do tego skorumpowany system – to częsty zestaw
we współczesnym kinie tureckim | TygodnikPowszechny.pl/weekend

➡ Sport: ulubiona zabawka Putina [ROSYJSKA RULETKA]

Prezydent chciałby, by sportowcy brali udział w propagandowych
szopkach z „Z” na piersi. Dlaczego sport jest tak ważny dla Kremla?
– pisze ANNA ŁABUSZEWSKA | TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka



Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOŁA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

JAKĄ KOŚCIÓŁ MA PRZYSZŁOŚĆ

Sekularyzujemy się coraz szybciej. W ciągu dekady liczba polskich katolików zmniejszyła się o sześć milionów.

PIOTR SIKORA

POWYŻEJ:

Morska pielgrzymka rybaków na odpust św. apostołów Piotra i Pawła. Zatoka Pucka, 24 czerwca 2023 r.

WEDLE NAJNOWSZEGO NARODOWEGO Spisu Powszechnego do katolicyzmu przyznaje się 71,3 proc. Polaków – o 16,3 pkt. proc., czyli ponad 6 mln osób mniej, niż pokazał spis sprzed 10 lat. Grupa osób deklaruujących przynależność do innych związków wyznaniowych pozostaje mniej więcej taka sama (poza świadkami Jehowy, którzy zanotowali podobny spadek do katolików). Zdecydowanie (z 7 do 20,5 proc.) wzrosła natomiast liczba osób odmawiających odpowiedzi na pytanie o swoje wyznanie.

Wyniki spisu powszechnego są zgodne z wynikami badań socjologicznych dotyczących religijności Polaków. Synteza takich badań dotyczących katolików – raport „Kościół

w Polsce 2023” – została opublikowana w zeszłym tygodniu.

Ogólne konkluzje obu dokumentów nie zaskakują – ujawnia się w nich coraz szybciej postępująca sekularyzacja społeczeństwa, zwłaszcza młodszego pokolenia, oraz ilościowa zapaść duchowieństwa i wspólnot zakonnych. W stosunku do wyników rozmaitych studiów prowadzonych przed pandemią rezultaty najnowszych badań wskazują, że w ciągu ostatnich pięciu-sześciu lat odsetek zarówno wierzących, jak i praktykujących zmniejszył się o ok. 10 pkt. proc. Wśród młodzieży tak duży spadek nastąpił w mniej więcej dwukrotnie krótszym czasie. Jeśli chodzi o kandydatów na księży, to w ostatnich trzech latach ich licz-

ba spadła o jedną trzecią, a na przestrzeni 20 lat – ponad trzykrotnie.

Najbardziej pouczające są jednak wyniki bardziej pogłębionych badań prowadzonych wśród młodego pokolenia, a dotyczących motywów wiary i niewiary, pozostawania w Kościele bądź odchodzenia od niego. Wychowanie i tradycja rodzinna jest wskazywana jako przyczyna wiary ponad dwa i pół razy częściej niż osobiste przeżycia religijne oraz dotychczasowe doświadczenia życiowe. Inaczej ma się sprawa z utratą wiary – tu najważniejszymi przyczynami są osobiste przemyślenia i doświadczenia oraz zniechęcenie do Kościoła jako instytucji. Obie te przyczyny są wskazywane przez ok. jedną piątą badanych. Wszelkie inne przyczyny odgrywają kilkukrotnie mniejszą rolę.

Wydaje się, że to oparcie wiary na tradycji i wychowaniu wyjaśnia popandemiczne przyspieszenie sekularyzacji – związane z walką z COVID-19 obostrzenia dotyczące udziału w zgromadzeniach (w tym w nabożeństwach religijnych) w znacznej mierze przyczyniły się do osłabienia (a czasami nawet przerwania) obyczaju uczestnictwa w religijnych praktykach. Kończy się czas „wiary wynoszonej z domu”.

Ciekawe są również wyniki badań wskazujących oczekiwania ludzi młodych względem Kościoła. Na plan pierwszy wybija się „doświadczenie Boga” (32,5 proc.) i „wsparcie w sytuacjach kryzysowych” (ok. 30 proc.). Ważne miejsce zajmuje jednak także oczekiwanie „argumentów za prawdziwością wiary” (ok. 27 proc.). Z drugiej strony około jedna czwarta badanych niczego od Kościoła nie oczekuje. Jedna trzecia chciałaby, by księża byli dostępni i otwarcia na rozmowę o ludzkich problemach. Jedna czwarta pragnie, by w Kościele były miejsca „otwartych spotkań, dyskusji, wspólnego odpoczynku”, a także miejsca „do których zawsze można przyjść w sytuacji kryzysu”.

Ujawnione w badaniach oczekiwania względem Kościoła pozwalają zrozumieć fenomen popularności rozmaitych grup charyzmatycznych – uczestnictwo w nich wiąże się z przynależnością do wspólnoty o bliskich więziach oraz z silnymi przeżyciami religijnymi. Mówiąc o takich wspólnotach, nie można jednak zapominać o skali – w „Raporcie” możemy dowiedzieć się, że jest w nie zaangażowane nieco ponad 100 tys. osób. Liczebność wszystkich ruchów i wspólnot katolickich to ok. 2,5 mln wiernych. Najliczniejszą, ok. dwumilionową grupę stanowią tradycyjne grupy Żywego Różańca. Innym, dominującym typem

Kryzys w liczbach

WYCHOWANIE I TRADYCJA w rodzinie są przyczyną wiary dla 58,2 proc. młodzieży szkolnej. Osobiste doświadczenia religijne – dla 24 proc. Dominującymi przyczynami niewiary lub obojętności są osobiste przekonania i przemyślenia (21,4 proc.) i zniechęcenie do Kościoła katolickiego jako instytucji (18,8 proc.).

Z OFICJALNĄ katolicką etyką seksualną zgadza się 1,1 proc. maturzystów. 54,4 proc. deklaruje przynależność do Kościoła katolickiego. Głęboka wiara religijna nadaje sens życiu 11,1 proc. młodzieży. 51,9 proc. widzi sens życia w miłości i głębokim uczuciu. 50,9 proc. w przyjaźni. 46,3 proc. w szczęściu rodzinnym. 45,7 proc. w dążeniu do wybranego celu. 44,7 proc. w znalezieniu własnego miejsca w społeczeństwie i poczuciu, że jest się potrzebnym.



KAROL PORWICH / EAST NEWS

6737 DO 1959 – to spadek liczby kleryków w ciągu 20 lat – pomiędzy 2002 a 2022 r. Na początku 2023 r. liczba ta zmniejszyła się do 1191. Aktualnych danych jeszcze nie znamy.

zaangażowania polskich katoliczek i katolików jest działalność charytatywna – grupy, które się nią zajmują, istnieją w większości polskich parafii. Jednakże 90 proc. polskich katolików nie jest zaangażowane w żadne małe wspólnoty.

W przywołanych w raporcie „Kościoł w Polsce 2023” oczekiwaniach młodych względem Kościoła wybija się wyraźnie także te związane z pomocą w przechodzeniu przez trudne sytuacje życiowe. Podobne zjawisko zaobserwowali również socjolog badający śląskich studentów – w tym środowisku na przestrzeni ostatnich 20 lat nastąpiła zmiana: wiara odgrywa w coraz mniejszym stopniu rolę kształtowania życia, w coraz większym zaś staje się siłą „(auto)terapeutyczną”. Prawdopodobnie nie jest to tylko cecha wiary młodych – jak zauważają autorzy raportu, wśród przyczyn niewiary dominują motywy egzystencjalne, dające się sprowadzić do stwierdze-

nia: „wiara religijna nie pomaga rozwiązać bieżących problemów w życiu”.

Podczas prezentacji raportu „Kościoł w Polsce 2023” podkreślano, że ujawnia on nie tylko procesy sekularyzacyjne, ale także wielkie zaangażowanie tych katolików – zarówno świeckich, jak i duchownych – którzy w Kościele pozostają. Jeżeli jest tak dobrze – można zapytać – to dlaczego jest tak źle? Wydaje się, że aby zaangażowanie tych, dla których chrześcijańska wiara i wspólnota są ważne, miało jakiś efekt powstrzymujący procesy sekularyzacyjne, potrzebne jest jeszcze głębsze zrozumienie ludzi, którym Kościół, chrześcijaństwo czy w ogóle wiara w Boga nie wydają się sensowną życiową propozycją.

Na pewno wiele osób odchodzi od Kościoła z powodu wychodzących na jaw coraz częściej skandali, w które uwikłani są przedstawiciele kościelnych instytucji. Warto jednak zauważyć, że głównym powodem rezygnacji z praktyk religijnych jest – jak pokazały zeszłoroczne badania CBOS – brak potrzeby, to, że nie widzi się w nich żadnego sensu. W tym kontekście kluczowe jest zauważenie, co – zdaniem ludzi – nadaje ich życiu sens. Z większości badań na ten temat wynika, iż są to głębokie, bliskie relacje – takie jak miłość, przyjaźń, również relacje rodzinne, ale i odnalezienie takiego miejsca w społeczeństwie, które pozwalałoby realizować wybrane przez samą/samego siebie cele.

Próbując zebrnąć wszystkie te dane w jakiś spójny obraz, można zaryzykować hipotezę, że we współczesnym polskim kontekście kulturowym szansę przetrwania ma tylko taka tradycja religijna, która będzie w stanie łączyć następujące aspekty: inicjację w żywe doświadczenie religijne i zdolność niesienia pomocy w budowaniu głębokich, bliskich relacji międzyludzkich, tak jednak, by człowiek zaangażowany religijnie był w stanie realizować swoje „świeckie” cele.

W tradycji chrześcijańskiej można odnaleźć zasoby, które mogłyby być inspiracją do tworzenia takich form życia religijnego, które spełnią powyższe warunki. Polski katolicyzm pierwszych dekad XXI wieku korzysta z tych zasobów tylko w niewielkim stopniu. Czeką go zatem obumarcie lub radykalna przemiana. Będzie na pewno znacznie mniej klerykalny (choćby z powodu braku księży), bardziej skupiony na religijnym doświadczeniu, oparty na świadomym wyborze. Nawet jednak przemieniony – będzie zapewne tylko jedną z wielu „opcji” obecnych w pluralistycznym duchowym pejzażu. ©



Wielki powrót Roberta Fica

PATRYCJA BUKALSKA

BYŁY PREMIER I SZEF POPULISTYCZNEJ partii Smer-SD wygrał przedterminowe wybory parlamentarne na Słowacji. Smer, na którego czele stoi Fico (na zdjęciu), poparło ok. 23 proc. wyborców, ok. 18 proc. zagłosowało na liberalną, proeuropejską Postępową Słowację (PS), która zostanie teraz najsilniejszą partią opozycyjną. Nie jest to niespodzianka – na przewagę Fica, choć nie tak dużą, wskazywały sondaże. Do gry powraca więc polityk kontrowersyjny z potężnym balastem przeszłości, którego do dymisji zmusiły demonstracje po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka w 2018 r.

Czego można się teraz spodziewać? Fico deklarował, że jeśli wygra, zakończy wojskowe wsparcie dla Ukrainy i nie póśle tam ani jednego naboju więcej. Jest też przeciwny sankcjom nałożonym na Rosję. W parlamencie zasiądzie sporo prorosyjskich polityków i rządzona przez Fica Słowacja może stać się kole-

nym, obok Węgier, państwem podważającym jedność Zachodu wobec Moskwy. Premier Viktor Orbán był zresztą jednym z pierwszych, którzy pogratulowali zwycięzcy. „Zgadnijcie, kto wrócił! – napisał na platformie X (dawniej Twitter). – Zawsze dobrze współpracować z patriotą. Nie mogę się doczekać”.



Fico zapowiedział też walkę z nielegalną migracją, nawet z użyciem siły, a także zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Żeby jednak rządzić, potrzebuje koalicjantów, a żadna koalicja nie powstanie bez ugrupowania Hlas, utworzonego przez byłego współpracownika Fica, Petera Pellegriniego (otrzymało ono 15 proc. głosów). Teoretycznie – choć to mało prawdopodobne – Hlas mógłby sprzymierzyć się z Postępową Słowacją. Stawka jest wysoka i aby Pellegriniego przekonać, Fico mógłby mu oddać tekę premiera. Sam startowałby wtedy w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Negocjacje dopiero się zaczynają. ©P

NA PUNKTY

PISARKA

Zyta Rudzka dostała tegoroczną Nagrodę Literacką Nike za powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby”. „Nagrodę tę przyjmuję jako nagrodę dla bohaterki, która mąszkuje po swojej wolności” – powiedziała pisarka.

LATARNIK

O wolność można świadomie zadbać, głosując. Z Latarnika Wyborczego, umożliwiające łatwe porównanie swoich poglądów z odpowiedziami udzielonymi przez komitety poszczególnych ugrupowań, skorzystało już blisko 2,7 mln osób.

CIĘŻAR

Na gali urządzonej z okazji 80. urodzin Lecha Wałęsy uważany w świecie za symbol polskiej wolności były prezydent skomentował wagę wykonującej dedykowany mu utwór piosenkarki. Ciężko było tego słuchać.

PIRAT

Swoją wolność powinien stracić sprawca śmiertelnego wypadku na autostradzie A1: za człowiekiem, który z prędkością ponad 250 km/h uderzył w samochód, w którym zginęła trzyosobowa rodzina, wystawiono list gończy. ©P



Jest pomysł na nową Unię Europejską

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

O GŁOSZONE W OSTATNICH dniach pomysły Francji i Niemiec na reformy Unii to znak, że kraje te zaczęły poważnie myśleć o jej rozszerzeniu o Ukrainę. Już w czerwcu 2022 r. wyprawa kanclerza Scholza i prezydenta Macrona do Kijowa przypieczętowała ich zgodę na przyznanie Ukrainie statusu państwa kandydującego. Ale wtedy nie było do końca jasne, ile jest w tym moralnego wsparcia dla kraju broniącego się przed Rosją, a ile rozważań o akcesji

w przewidywalnej przyszłości. Teraz jednak zaszła duża zmiana, bo Francja i Niemcy uznają już rozszerzenie za swój cel. We wrześniu grupa ekspertów, pracujących na zlecenie władz w Paryżu i Berlinie, zaapelowała, by Unia osiągnęła gotowość do rozszerzenia w 2030 r. Szanse skorzystania z tak wczesnej daty mogą mieć niektóre kraje Bałkanów, bo przyjęcie Ukrainy to jednak nie kwestia tej dekady.

Pomysły ekspertów nie są oficjalnym stanowiskiem ich rzą-

dów, ale m.in. zniesienie jednomyślności w pracach Unii (poza szczytami Wspólnoty) częściowo pokrywa się z – ogłoszoną już ostatniej wiosny – ideą Niemiec i Francji na ograniczenie reguły jednomyślności w polityce zagranicznej. Celem jest uniknięcie wetowania paraliżującego Unię po rozrośnięciu się, w przyszłości, do ok. 35 państw. Tyle że „zniesienie jednomyślności” brzmi radykalnie od praktyki, bo w polityce zagranicznej chodziłoby np. o sankcje czy mianowanie wysłanni-

ków Unii, nie zaś o rozstrzygnięcia strategiczne.

Postulaty reform są traktowane sceptycznie przez sporą grupę państw UE, ale w Polsce ten opór zwiększają obawy o staroświecko rozumianą suwerenność, a może i zapowiedzi twardszego pilnowania praworządności po rozszerzeniu. Ale test zapewne trudniejszy od negocjowania zmian ustrojowych UE nadejdzie już za kilkanaście miesięcy, gdy Bruksela pokaże pierwszy projekt, jak finansować politykę spójności i dopłaty rolne w powiększającej się Unii w ramach wieloletniego budżetu po 2027 r. To może wymagać trudnych zmian także w funduszach dla Polski. ©



Orwell i Orlen

MAREK RABIJ

INFLACJA WE WRZEŚNIU, JAK PODAŁ GŁÓWNY URZĄD Statystyczny, spadła do 8,2 proc. – czyli do najniższego poziomu od listopada 2021 r. Prezes Główny dostarczył więc swemu środowisku politycznemu jakże potrzebny mu przed wyborami sukces: wskaźnik wzrostu cen i usług jest znów jednocyfrowy (odczyt z sierpnia zatrzymał się na poziomie 10,1 proc.). Sponiewierani przez drożyznę konsumenci mogliby się tym cieszyć pospół z PiS i szefem NBP – gdyby inflacja faktycznie była jednocyfrowa. A nie jest. Działania rządu i podległych mu spółek Skarbu Państwa stworzyły jedynie sytuację, która pozwoliła na krótko zbić jej odczyt do pożądanego poziomu. Bez tej inżynierii mielibyśmy wciąż sporo ponad 10 proc.

Jak się pudruje inflację, żeby w spotach wyborczych wyglądała na niższą niż w rzeczywistości? Od lipca kontrolowany przez państwo Orlen sukcesywnie zaniża ceny benzyny i diesla. Płocki gigant kontroluje ok. 65 proc. rynku hurtowego i z łatwością narzuca stawki konkurencji. Sam również ostro obniża ceny detaliczne na swoich stacjach. Litr benzyny kosztuje tam dziś poniżej 6 zł – i to w sytuacji, gdy ropa i dolar drożeją od miesięcy.

Analitycy funduszu inwestycyjnego Polaris FIZ szacują, że realna, odzwierciedlająca koszty produkcji cena benzyny powinna być dziś o 16 proc. wyższa. W przypadku diesla – aż o 22 proc.

Od lipca Orlen mógł w ten sposób stracić nawet 2 miliardy złotych. Nie ma to, rzecz jasna, nic wspólnego ani z wolnym rynkiem, ani z racjonalnym zarządzaniem.

Ale wspiera kampanię wyborczą PiS opowieścią o „szybko spadającej inflacji”. Z obliczeń Polityki Insight wynika, że Orlen urwał w ten sposób z wrześniowego odczytu aż 1,9 punktu procentowego (8,2+1,9=10,1).

Paliwa zaczyna miejscami brakować, bo klienci tankują na zapas, a hurtownicy ograniczają sprzedaż, nie chcąc pozbywać się towaru poniżej kosztów produkcji. Możliwe, że robi to też Orlen, bo na jego stacjach doszło ostatnio do serii awarii dystrybutorów. Jak pokazał przeciek z firmowej korespondencji, w ten sposób nakazano pracownikom i agentom przykrywać braki paliw.

Do wrześniowego spadku inflacji przyłoży się nie tylko Orlen. Rząd zaplanował też obniżkę cen prądu dla odbiorców indywidualnych, ogłoszoną we wrześniu, ale wstecznie do stycznia. ©©



Kulminacja kampanii

MAREK KĘSKRAWIEC

PODCZAS MARSZU MILIONA Serc (na zdj.) Donald Tusk postanowił zrobić przestrzeń dla innych liderów. Przemawiał krócej niż zwykle, główną rolę oddając Rafałowi Trzaskowskiemu, który za dwa lata stanie się zapewne kandydatem KO w wyborach głowy państwa. Prezydent stolicy mówił długo, nawiązywał do Polski przyszłości, tolerancyjnej, wolnej i europejskiej, która zerwie z ogłanianiem się za siebie, resentymentami, kłamstwami, nienawiścią i szczuciem. Widać było, że to strategiczny wybór organizatorów – za plecami mówcy mieli wielkie zdjęcie z czwórką dzieci i napisem „Głosuj dla nas”. Rezonowało to dobrze z entuzjastyczną atmosferą w kilkuset tysięcznym tłumie.

Ostrzej zrobiło się po wejściu na scenę Roberta Biedronia i Włodzimierza Czarzastego, który wygłosił mocno antykościelną mowę, przypominając skandal seksualny w Dąbrowie Górniczej, afery pedofilskie i ulgi podatkowe kleru.

Nad całym marszem, który był ogromnym sukcesem Koalicji, unosił się duch nieobecnych liderów Trzeciej Drogi. Paradoksalnie spodziewany wzrost sondażowy największej partii opozycyjnej po marszu może być efektem przekonania niezdecydowanych, ale może również odbyć się kosztem Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, jeśli na ostatniej prostej część wybor-

ców zechce przerzucić głosy na KO. To zaś mogłoby zepchnąć siostrę Polski 2050 i PSL pod 8-procentowy próg, przynosząc katastrofę całemu obozowi. Zapewne dlatego Czarzasty zaczął swą mowę od deklaracji o wspólnym rządzie KO, TD i Lewicy, a sam Tusk niespodziewanie stwierdził, że liderzy Trzeciej Drogi „robią dobrą sprawę dzisiaj”. To były ważne dla elektoratu oświadczenia o budowie jednej drużyny.

Na koniec marszu Tusk zapowiedział koniec wojny polsko-polskiej dzień po wyborach. W tym samym czasie PiS prowadził w katowickim Spodku efektowną konwencję pod hasłem „Bezpieczna Polska”, która miała zmobilizować partię i dać powód mediom publicznym, by nie musiały poświęcać uwagi marszowi opozycji. Pomimo afery z wizami usłyszeliśmy wiele na temat katastrofalnego zagrożenia niepodległości Polski napływem imigrantów w razie głosowania na „totalną opozycję”. Antidotum na to ma być „bastion bezpieczeństwa”, jakim już dziś jest Polska pod rządami PiS. Podczas konwencji partii rządzącej pojawił się też stały motyw domniemanej uległości Tuska wobec Niemiec – zgodnie z przepowiedniami Trzaskowskiego to właśnie były premier był głównym bohaterem przedwyborczego zgromadzenia PiS. ©©



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Zanim rozpocznie się Synod

WATYKAN ■ To będzie wyjątkowo gorący październik nad Tybrem. Nawet zaczął się dzień wcześniej, jakby w przeczuciu czekających go wyzwań. W sobotę, 30 września, papież włączył do kardynalskiego grona 21 nowych hierarchów z 15 krajów. Jest wśród nich 3 kurialistów, 3 nuncjuszy i 7 zakonników. Od teraz kolegium liczy 243 kardynałów, w tym 137 elektorów. Liczby są ważne dla tych, którzy analizują strategię i układy sił na konklawe, dla Polaków ważniejszy jest jednak kardynalski biret dla abp. Grzegorza Rysia z Łodzi. To druga, po kard. Konradzie Krajewskim, polska nominacja za tego pontyfikatu. I druga łódzka. (Wyrażenie „czerwona Łódź” nabrało nowego znaczenia – zauważyli internauci). Choć oczywiście papież nie kieruje się ani biskupią stolicą, ani miejscem urodzenia kandydata.

Konsystorz był najważniejszym wydarzeniem dla nowych kardynałów, ich rodzin i wspólnot, ale w Watykanie traktowano go jako wstęp do Synodu. Nowo mianowani jeszcze dobrze nie skończyli przyjmować gratulacji, gdy na placu św. Piotra rozpoczynała się eklezjalna modlitwa za pomyślność obrad. W nabożeństwie, przygotowanym przez Wspólnotę z Taizé, brało udział 19 (wraz z papieżem) zwierzchników Kościołów i wspólnot chrześcijańskich, a także kardynałowie, biskupi i świeccy uczestni-

cy Synodu oraz blisko 20 tys. wiernych. Papieska prośba, by przedstawiciele innych wyznań modlili się za synod Kościoła katolickiego, pokazuje, jak wielką wagę Franciszek przykłada do tego wydarzenia.

Dowodzą tego również trzydniowe rekolekcje, na jakie uczestnicy obrad pojechali jeszcze tego samego wieczora. W podrzymskim Sacrofano nauki głosili dla nich o. Timothy Radcliffe, dominikanin, i m. Maria Angelini, benedyktynka. Ze strony papieża to także był przemysłany ruch: wybitny biblista i nie mniej słynna specjalistka od duchowości mieli przygotować grunt pod synodalne dyskusje. „Wiem, że niektórzy z was woleliby tu nie być. Że modlili się, by ich nie wybrano” – mówił w pierwszym dniu rekolekcjonista. I zachęcał słuchaczy, aby pozbyli się strachu – przed zmianami lub przed tym, że nic się nie zmieni. „Bo jedyną rzeczą, jakiej powinniśmy się bać, jest sam strach”.

„Idź, odbuduj mój Kościół, który popada w ruinę” – usłyszał w 1206 r. św. Franciszek. Nieprzypadkowo obrady zaczynają się w dniu jego święta. Nieprzypadkowo eklezjalna modlitwa za Synod odbyła się pod krzyżem z San Damiano, z którego te słowa padły. I nieprzypadkowo papież Bergoglio właśnie Biedacynę z Asyżu wybrał sobie 10 lat temu na patrona.

© P EDWARD AUGUSTYN z Rzymu

Papież Franciszek i kard. Grzegorz Ryś podczas konsystorza, Watykan, 30 września 2023 r.



TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS



PIOTR SKÓRNICKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Tablica w Puszczy Noteckiej. Wrzesień 2023 r.

Leśniczówkę sprzedam tanio

LASY PAŃSTWOWE ■ „W większości formalnie prawidłowy, choć nie zawsze w pełni gospodarny” – tak NIK opisała sposób, w jaki Lasy Państwowe w ciągu 7 lat pozbyły się jednej piątej swoich nieruchomości. Łącznie od początku 2015 r. do końca sierpnia 2022 r. w prywatne ręce poszło prawie 2,5 tys. lokali mieszkalnych. Sprzedano je za 46,6 mln zł, czyli około... 13 proc. ich rynkowej wartości.

Dlaczego LP spieniężają swoje nieruchomości za bezcen i to pod rządami władzy, która w referendum straszy Polaków wyprzedają państwowego majątku, który ma być skutkiem wygranej opozycji? Wszystko dzieje się zgodnie z prawem, bo, jak pisze NIK, „niezmienione od lat przepisy ustawy o lasach umożliwiają pracownikowi lub byłemu pracownikowi Lasów Państwowych kupno nieruchomości po znacznie obniżonej cenie”. Taką możliwość ma zresztą każdy, kto przez co najmniej trzy lata wynajmował mieszkanie od LP, ale to leśnicy dostają największy rabat, do 95 proc. wartości.

Nigdzie nie zapisano ograniczeń w liczbie kupionych nieruchomości. W raporcie opisano rekordzistę, emerytowanego leśnika, który w ciągu roku kupił w siedmiu różnych nadleśnictwach (od Bieszczad po Pomorze Zachodnie) siedem nieruchomości wartych w sumie 914,5 tys. zł, za które zapłacił ok. 71 tys. zł. Cztery z nich zdążył już sprzedać. NIK w tej sprawie zawiadomiła prokuraturę i rekomenduje wprowadzenie limitu: jeden człowiek, jedna nieruchomość.

Pole do nadużyć jest ogromne i wiadomo to nie tylko dzięki raportowi NIK, ale też kontrolom Inspekcji LP. Przykładowa sytuacja: nadleśnictwo nagle wypowiada umowę najmu lokalnemu przedsiębiorcy. Lokal zamiast niego wynajmuje regionalny dyrektor LP, wniosek w tej sprawie podpisuje jego zastępca. Mijają dwa lata, dyrektor kupuje nieruchomość za 5 proc. jej wartości. Takie sytuacje od lat budują wizerunek Lasów Państwowych jako udziałowego księstwa pełnego niejasnych układów i korzyści „dla swoich”.

© P KRZYSZTOF STORY

Po latach konfliktu Azerowie dopięli swego

KARABACH ■ Po przegranej wojnie Ormianie uciekli z Górskiego Karabachu, którym władali przez ostatnie 30 lat. Władze Armenii, w której chronią się karabascy uchodźcy, ogłosiły, że most na granicznej rzece Hakari przekroczyło ponad 100 tys. osób. Tyle, z grubsza biorąc, liczyła przed wojną cała ludność Karabachu, którą stanowili niemal wyłącznie Ormianie. Ich ucieczka sprawia, że zwycięzcy krótkiej wrześniowej wojny, Azerowie, zajmą bezludny kraj, o który od końca lat 80. XX w. toczyli spór z Ormianami.

Tak naprawdę konflikt zaczął się sto lat temu, gdy po I wojnie światowej i upadku imperium tureckiego w Karabachu i Azerbejdżanie doszło do starć między Ormianami i Azerami, krewniakami Turków. Za czasów ZSRR, który podbił zarówno Armenię, jak i Azerbejdżan, pierwszą republikę w świecie muzułmańskim, Karabach – w którym większość ludności stanowili Ormianie – został przyłączony do Azerbejdżanu, ale otrzymał autonomię. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wspierani przez Armenię karabascy Ormianie ogłosili secesję i w 1994 r., po sześciolatniej wojnie, oderwali kraj od Azerbejdżanu i proklamowali niepodległość. Zajęli także otaczające Karabach azerbejdżań-



DAVID GHAKHANYAN / REUTERS / FORUM

W kierunku granicy z Armenią w Górskim Karabachu. 25 września 2023 r.

skie powiaty (wypędzając prawie milion Azerów) i przemienili je w strefę buforową, oddzielającą samozwańczy Arcach – jak nazywają ten region – od Azerbejdżanu.

Azerowie nie wyrzekli się jednak Karabachu. Dzięki zyskom ze sprzedaży kaspijskiej ropy naftowej szkolili i zbroili swoje wojsko przy pomocy najbliższej sojuszniczki, Turcji, a także Izraela. Zaatakowali jesienią 2020 r. i po 44-dniowej wojnie odbili strefę buforową i większość Karabachu. Resztę zajęli teraz – 19 i 20 września – gdy błyskawicznie rozgromili karaba-

skie wojsko, któremu nie przyszła z pomocą ani Armenia, znaczenie dziś słabsza i uboższa od Azerbejdżanu, ani jej tradycyjna sojuszniczka, Rosja, której Ormianie zawierzili swoje bezpieczeństwo, oddając w zamian bazę wojenną, granice państwa i niemal całą gospodarkę.

Poza niespełna trzymilionową Armenią Karabach był ostatnim regionem, w którym Ormianie stanowili większość ludności. Siedem milionów Ormian żyje w diasporze, głównie w Rosji, USA, Francji, Argentynie i na Bliskim Wschodzie.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Dżdżownice: wielkie małe pożyteczne robaczki

ROLNICTWO ■ W ostatnich latach coraz częściej mówi się o tym, jak wielką rolę odgrywają stworzenia najmniejsze. Jedną z tegorocznych nagród IgNobla – wręczaną za badania, które „najpierw śmiesz, a potem zastanawiają” – przyznano za precyzyjne wyliczenie, w jakim stopniu za mieszanie się warstw wód oceanicznych wpływają sardele dziko kotujące się w sezonie rozrodczym.

Tego typu badania mogą się zdawać trywialne, są jednak niezwykle trudne do przeprowadzenia i istotne dla zrozumienia, jak działa planeta.

W najnowszym „Nature” glęboznawca Steven Fonte z Colorado State University wraz z dwójgim współpracownikami piszą z oburzeniem, że niby wszyscy wiedzą o wielkiej roli dżdżownic w spulchnianiu, nawilżaniu i odżywianiu gleb, ale nigdy nie wyliczono ich wkładu w globalną produkcję rolną. Cóż za niedopatrzenie! A wystarczyło przebiec przeanalizować 58 opisanych dotychczas eksperymentów, w których celowo dodano do gleby lub z niej usunę-

to dżdżownice i sprawdzono skutki takiej interwencji dla plonów wybranej rośliny. Następnie autorzy nanieśli wyniki tych badań na globalną mapę plonów, gleb i „gęstości zaludnienia” dżdżownic (która wynosi zwykle 10-100 osobników na metr kwadratowy), pobawili się trochę statystyką i *voilà!*

Dżdżownice odpowiadają, jak się okazało, za 6,5 proc. globalnych plonów zbóż i 2,3 proc. plonów roślin strączkowych. Precyzyjniej: o tyle spadłyby plony, gdyby z dnia

na dzień zniknęły. Jak ujęli to dziennikarze „Nature” – robaczkom tym zawdzięczamy zatem mniej więcej jedną kromkę w każdym bochenku chleba. ©© ŁUKASZ ŁAMŻA





Tu i na kolejnych stronach zrzuty ekranowe spotów KO, PiS i Konfederacji

SUMA WSZYSTKICH STRACHÓW

Gdyby usunąć partyjne logotypy,
trudno by odgadnąć, czyj to właściwie materiał.
Tegoroczną kampanię wyborczą ogląda się
jak polską podróbkę thrillerów Clancy'ego.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ZDYSZANY BOHATER PĘDZI HOTELOWYM korytarzem. Przebitka na grupę obco wyglądających ludzi gdzieś na drugim końcu świata. Napisy na dole ekranu przekładają ich rozmowy z nieznanego nam, groźnie brzmiącego języka. Kolejne ujęcie. Mężczyźni w garniturach siedzą w eleganckiej sali konferencyjnej. Wymieniają gratulacje i szerokie uśmiechy, jednak w ich oczach mieni się złowrogi blask. Wszystko zaczyna się składać się w całość. Świat przecinają czerwone linie powiązań. Każda z nich znaj-

duje odbicie na korkowej tablicy w gabinecie naszego bohatera. Brakuje jeszcze ostatniego puzzla. My już wiemy, co ich łączy. Ale czy on domyśli się na czas? Wrogowie czają się wszędzie. Sojusznicy okazują się podwójnymi agentami. Jeśli nikt nie pokrzyżuje ich planów, czeka nas katastrofa niewyobrażalnych rozmiarów. Tylko Jack Ryan może uratować sytuację.

Oto estetyka ostatecznego niebezpieczeństwa. Sprawdzony przepis na thriller spiskowy, od lat wykorzystywany m.in.

w prozie Toma Clancy'ego – np. w „Czasie patriotów” czy „Sumie wszystkich strachów” – i kolejnych jej ekranizacjach. Co sprawiło, że dziś sięgnęli po niego spin doktorzy doradzający polskim partiom?

Koniec różnorodności

Opowieści, które serwują nam tej jesieni partie polityczne, stały się do siebie niepokojąco podobne. Przyjrzyjmy się spotowi PiS opublikowanemu 19 września. Zaczyna się zwyczajnie – widzimy Mateusza Morawieckiego na tle rynku w Tar-



ZIEMCÓW.



dzielnic grozy.

nobrzegu. Obraz spokojnego, pewnego siebie premiera szybko ustępuje jednak miejsca przerażającym wizjom. Najpierw tłum ciemnoskórych migrantów. Sceny z Lampedusy. Potem widok z drona – zwarta kolumna obcych maszeruje połą drogą. Nadchodzą, są coraz bliżej, szturmują bramy Europy. Potem na ekranie rządzi już chaos. Wybuchy, pożary i zamieszki w trudnych do zidentyfikowania miastach. W tle dudniący bas i wzbudzające niepokój akordy. Wracamy na rynek w Tarnobrzegu. Jeszcze jest czas, by tę inwazję powstrzymać! „Wokół sami uśmiechnięci ludzie. Spacerują, robią zakupy, spotykają się z przyjaciółmi” – opowiada Morawiecki to, co widzimy na własne oczy. „Zapytałem, czy są u nich dzielnice pełne nielegalnych imigrantów” (w Tarnobrzegu?!). „Nigdzie w Polsce nie ma dzielnic grozy” – wyjaśnia premier. A my znów widzimy płonące samochody i zamaskowanych napastników. „Nie ma, bo rząd Prawa i Sprawiedliwości, wbrew temu, co teraz opowiada Donald Tusk, skutecznie broni naszych granic przed falą nielegalnych imigrantów. Tusk udaje teraz, że troszczy się o polskie bezpieczeństwo. Wolne żarty! To groźny człowiek. Trzeba ochronić Polskę przed Tuskiem”.

Co ma na ten temat do powiedzenia lider Koalicji Obywatelskiej? „Wydało się!” – słyszymy na początku spotu największej partii opozycyjnej. W tle przez sekundę miga przerażająca postać z horroru – człowiek w makijażu neonowej czaszki. Najwyraźniej ktoś w sztabie KO

wierzy w teorię warunkowania podprogowego. Słyszymy podbijający puls widzów bas, który wcześniej ilustrował spot PiS. Dla tych, którzy oglądają z wyłączonym dźwiękiem, przygotowano napisy w identycznej estetyce jak ta, którą znamy już z klipu partii rządzącej. Znów widzimy kolumnę migrantów kroczących połą drogą. Są coraz bliżej! Płonie ogień, na śniadych twarzach błyskają oczy. „Rząd PiS zaprosił do Polski 250 tysięcy imigrantów z Azji i Afryki” – straszy narrator. Cięcie. Postaci w garniturach, gratulacje, stemplowane dokumenty. Słyszymy, że „ich ludzie stworzyli system umożliwiający pośrednikom wystawianie wiz za łapówki”. I jeszcze raz informacja o „250 tysiącach imigrantów z Azji i Afryki” – powtórzona dokładnie tymi samymi słowami, na wypadek gdyby ktoś przegapił skalę zagrożenia. „Straszyli, straszyli, a sami ich wpuścili”.

A gdyby ktoś potrzebował dodatkowych wyjaśnień, może sięgnąć do nagrania samego Donalda Tuska, w którym lider KO przestrzega przed polityką migracyjną PiS. „Oglądamy wstrząsające sceny z brutalnych zamieszek we Francji. I właśnie teraz Kaczyński przygotowuje dokument, dzięki któremu do Polski przyjedzie jeszcze więcej obywateli z państw takich jak – cytuję – Arabia Saudyjska, Indie, Islamska Republika Iranu, Katar, Emiraty Arabskie, Nigeria czy Islamska Republika Pakistanu”. Jest to ewidentnie gra obliczona na skapitalizowanie lęku przed obcością. To nie przypadek, że Tusk z taką pieczołowitością wymie-

nił pełne nazwy państw, by obok „brutalnych zamieszek” wyraźnie wybrzmiało w uszach wyborczyń i wyborców słowo „islamska”.

Kradzież słownika

Może chociaż znana z łamania politycznych norm Konfederacja ma pomysł na własny język? Włączam ich spot z 18 września.

„PiS i PO zalewają Polskę imigrantami!” – rozbrzmiewa głos lektora. W tle basy i niepokojące ościnato ilustrują te same, nieco rozmyte obrazy zamieszek. Ogień, dym, policja, tłum szturmujący budynki. Przebitki na koperty z pieniędzmi uderzająco podobne do tych, które wcześniej oglądaliśmy w spocie KO, oraz powtarzane słowa „z Azji i Afryki”. Do tego podobizny Tuska i Kaczyńskiego zestawiane z chaosem i niebezpieczeństwem. „Kaczyński i Tusk. To oni są zagrożeniem dla bezpieczeństwa Polaków” – słyszymy na koniec.

Cóż... Z przekazem bliźniaczo podobnym do serwowanego przez dwie dominujące partie Konfederacja będzie miała trudność z utrzymaniem image'u radykalnej alternatywy. Oczywiście paradoks polega na tym, że radykalna prawica wcale nie złagodniała – mówi dokładnie to, co powtarzała zawsze. To PiS i PO zaczęły mówić językiem strachu i ksenofobii.

Wcale się nie dziwię frustracji Krzysztofa Bosaka, który na konwencji swojej partii w katowickim Spodku powtarzał: „Nie chcemy powtórzyć błędów Za- ➔



→ chodu. Bo nie chcemy tutaj multi-kulti, tylko chcemy, żeby Polska była Polską!”. Po czym dodawał: „Ci nawróceni z Koalicji Obywatelskiej, którzy teraz operują językiem narodowym, antyimigranckim... Od dwóch czy trzech tygodni odkryli w sobie dusze narodowców. Przecież to żart! Przecież to niepoważne!”.

Przepis na katastrofę

U Clancy’ego przepis na katastrofę jest prosty. Wybuch w jednym punkcie mapy zawsze okazuje się częścią większego planu. Nigdy nie chodzi tylko o jeden zamach, jeden atak, jeden cios w serce społeczeństwa. Zagrożenie musi być tak poważne, by podważyć poczucie bezpieczeństwa na najgłębszym poziomie, a jednocześnie tak rozproszone, by stworzyć wrażenie wszechobecności.

Chodzi tu o zbudowanie nie tylko strachu, który w psychologii oznacza reakcję na konkretny zagrażający bodziec, lecz także lęku – dojmującego poczucia bliżej nieokreślonego, wszechobecnego niebezpieczeństwa. Zagrożenie może cziąć się wszędzie. Wrogowie zewnątrzni łączą siły z wewnętrznymi. Ogień, eksplozje i krew mają zwidywać nam się nie gdzieś daleko, na granicy, w wielkiej polityce, lecz w domu, w pracy, na rodzinnym spacerze.

Estetyka thrillera opiera się więc na rozbiciu naszej codzienności. Poczucie niebezpieczeństwa wypiera tu nudę, rutynę, automatyzm. Na bliskie nam sprawy pada nieustannie cień Wielkiego Niebezpieczeństwa. Tak budowana była zimnowojenna propaganda strachu, w ten sposób działają terroryści, tak swoje fikcyjne fabuły układają mistrzowie thrill

erów spiskowych. Dziś w podobny sposób naszymi emocjami starają się zarządzać specjaliści od politycznej komunikacji.

To dlatego w kolejnych spotach wyborczych dudnią podobnie skalibrowane basy. Niepokojące akordy zapowiadają czające się tuż za polem widzenia niebezpieczeństwo. Gdyby usunąć partyjne logotypy, trudno by odgadnąć, czy to właściwie materiał.

Głównym narzędziem budowania lęku stali się migranci z Azji i Afryki, ukazani przez zestaw tych samych odcłowieczających klisz: jako tłum szturmujący granice, niosący chaos i przemoc. Wygląda to tak, jakby politycy wszystkich partii dali się przekonać spin doktorom, że Polacy to rasiści i ksenofobi. Tymczasem żadne badania nie potwierdzają, żebyśmy byli jakimś szczególnie nietolerancyjnym społeczeństwem!

Ktoś, gdzieś w badaniach wyczytał, że nasi rodacy boją się obcych. To prawda. Obcy budzą lęk. Nie tylko w Polakach. Ale czy naprawdę wszyscy liderzy par-

tyjni uwierzyli, że zadaniem polityków jest podążanie za naszymi najniższymi instynktami i najgłębszymi lękami? Więcej nawet! Podsyćcie ich i eksploatawanie?

Kto wyznacza kierunek?

Nim pogodzimy się z tym, że „taka jest polityczna rzeczywistość” i „nie można sobie pozwalać na naiwność i sentymentalizm, gdy do wygrania są tak ważne wybory”, warto sobie przypomnieć, że nie zawsze tak było. Nie trzeba sięgać daleko – w ostatniej kampanii prezydenckiej przekazy poszczególnych kandydatów wyraźnie różniły się od siebie.

Jeszcze niedawno PiS nie skupiał się wyłącznie na atakowaniu przeciwników, lecz wygrywał przede wszystkim proponując wyborczyniom i wyborcom swoją wizję silnego, a zarazem opiekuńczego państwa. Donald Tusk mógł wtedy żartować z tych, co mają wizję, wysyłając ich do lekarza, ale prawda jest taka, że PO też miało wizję. Bo ciepła woda w kranie to też jest, wbrew pozorom, jakiś pomysł na Polskę. Pomysł oparty na gonieniu Zachodu, kosmopolityzmie, wierze w sprawczą moc jednostki. Triumf turbopatriotycznego modelu PiS poddał tę wizję solidnej krytyce, ale to nie oznacza, że jedynym wyjściem jest w tej sytuacji przyjęcie modelu obłożonej twierdzy za własny albo przejście na pozycję cynizmu i stwierdzenie, że na poziomie opowieści żadna wizja nie ma już znaczenia.

A tak to właśnie dziś wygląda. Nie ma śladu po prawdziwych ideologicznych sporach, po różnych propozycjach dla kraju, odmiennych wizjach państwa.

Estetyka thrillera
opiera się na rozbiciu
codzienności.

Na bliskie nam sprawy pada
nieustannie cień Wielkiego
Niebezpieczeństwa.



Dudniące basy i chwytający za gardło lęk przykryły nawet mityczny podział na Polskę solidarną i liberalną. Politycy i polityczki zrezygnowali z możliwości, by nie tylko podążać za lękami i nadziejami społeczeństwa, ale też je aktywnie współtworzyć, proponując wizje, o które chce się walczyć i na które warto głosować.

Liderzy partyjni nie czują dziś w sobie siły, by być jak Steve Jobs. Można go lubić albo nie znosić, ale twórca Apple'a stał się w biznesie symbolem wizjonera, który nie wsłuchuje się biernie w badania pragnień konsumentów, lecz stara się je rozbudzać i kształtować. W roku 2007 żadne badania nie pokazywały, że ludzie pragną smartfonów. Jobs wymyślił iPhone'a i opowiedział o nim taką historię, że dziś większość z nas nie wyobraża sobie życia bez dotykowego ekranu i mediów społecznościowych dostępnych na wyciągnięcie ręki dwadzieścia cztery godziny na dobę.

A przecież niedawny przykład Ukrainy pokazuje, że budowanie polityki opartej na przyzwoitości i empatii jest możliwe. I to nawet wbrew społecznym lękom i uprzedzeniom. Warto rzucić okiem na badania dotyczące stosunku Polaków do Ukraińców tuż sprzed rosyjskiej napaści. Antyukraińskie sentymenty były w narodzie niezwykle silne. Scenariusz orbanowski, w którym Polska stałaby się sojuszniczką Rosji lub – co na jedno wychodzi – „neutralnym świadkiem” obserwującym z boku „nie naszą wojnę”, był całkiem realny. A jednak politycy wszystkich partii – z jednym niechlubnym wyjątkiem – postanowili nie podążać za sondażami, lecz zachować się przyzwoicie. Wraz z politykami poszedł główny nurt

mediów. Miliony Polek i Polaków, które w pierwszych dniach wojny mogły mieć poważne wątpliwości, zobaczyły, że w sytuacji, gdy dom naszego sąsiada napadnięto i podpalono, nie pora na wyciąganie starych animozji i dzielenie włosa na czworo.

Oczywiście półtora roku później sentymenty antyukraińskie rosną. Państwu wiele można zarzucić, jeśli chodzi o sprawność działania, a oddolny entuzjizm ma to do siebie, że pali się jasno i mocno, ale szybko wygasa. Czy nam się to podoba, czy nie, w następstwie rosyjskiej napaści na Ukrainę staliśmy się nagle społeczeństwem wieloetnicznym. Polacy muszą rywalizować z Ukraińcami o pracę, będą nas dzielić ceny zboża, przełudnione klasy szkolne, wróci echem trudna historia i nieprzepracowane traumy. Polityka wieloetniczna to nie tęcza, uśmiech i jednorożce.

Ale tego, co wydarzyło się po lutym 2022 r., już nikt nam nie odbierze. Na zawsze pozostanie w naszej zbiorowej pamięci obraz tamtej solidarności, oddolnej organizacji, a także tego, że politycy ponad podziałami zachowali się przyzwoicie i nie próbowali na tragedii zbić łatwego kapitału. Niech to będzie memento tego, jak mogłaby wyglądać polska polityka (nie tylko migracyjna!), gdyby partyjni liderzy zdecydowali się odważnie tworzyć wizje dla społeczeństwa, zamiast bezwolnie podążać za sondażami. Bo badania opinii publicznej może i nie-

źle oddają powierzchowną warstwę lęków i uprzedzeń, ale wcale nie ukazują naszego potencjału i głębokiej prawdy o tym, kim moglibyśmy się, jako społeczeństwo, stawać.

Polityka ma nie tylko moc odbijania (często w krzywym zwierciadle) naszych pragnień i lęków. Ma też przemożną moc ich kształtowania. I tu zmierzamy do ostatniej istotnej różnicy, która wciąż jeszcze dzieli PO i PiS od Konfederacji.

W swoim spocie partia Bosaka i Mentzena oskarża przeciwników o wpuszczenie do Polski nie tysięcy, lecz „kilku milionów cudzoziemców”. Ta znacznie większa liczba wynika z tego, że Konfederaci w poczet niechcianych obcych włączają uciekinierów z Ukrainy.

Jedno trzeba im przyznać – oni rozumieją, jak działa gaszenie pożaru benzyną. Rozniecanie dziś antyuchodźczych nastrojów wobec migrantów „z Azji i Afryki” jest krokiem w nieunikniony sposób prowadzącym do zakwestionowania solidarności z Ukrainą. Na tym zaś na dłuższą metę stracą wszystkie rozsądne ugrupowania polityczne w tym kraju. Stracą polscy gospodarze i ukraińscy goście, stracą obywatelki i polityczki. Zyska tylko Władimir Putin.

Oni pierwsi

Obok straszenia wrogiem zewnętrznym kluczowym elementem dobrego thrilleru jest oczywiście wróg wewnętrzny. Targowiczenie, sprzedawczycy i pożyteczni idioci – bez nich poczucie lęku nie byłoby tak osaczające. W thrillerach szpiegowskich zdrajcy i podwójni

→ agenci odgrywają kluczową rolę w budowaniu tak ważnych dla tego gatunku zwrotów akcji. W trwającej kampanii ich nadmierna ekspozycja prowadzi z kolei do złamania fundamentalnej reguły gatunku.

Najczytelniej sformułował ją George Lakoff, autor książki „Nie myśl o słoniu”. Negacja nie ma w polityce mocy sprawczej. Gdy w telewizyjnej debacie Republikanin definiował podatki jako brzemię, a w odpowiedzi demokratyczny konkurent tłumaczył, że „nieprawda, że podatki to brzemię”, to efekt był taki, że widzowie dwa razy usłyszeli przekaz Republikanów. „My przodem” – głosi złota zasada. Zaczynamy od zdefiniowania tematu po naszymu, bo późniejsze przekonywanie odbiorców, żeby przestali skupiać się na tym, co usłyszeli, przypomina tłumaczenie komuś, żeby nie myślał o słoniu. Efekt jest odwrotny do zamierzonego.

Dzisiaj tylko słoń się liczy. Partie polityczne zamiast budowania własnego przekazu starają się całą uwagę skupić na tym, jak źli są przeciwnicy. Koalicja Obywatelska wydaje olbrzymie pieniądze na kampanię billboardową, której twarzą jest... Jarosław Kaczyński.

Ten najwyraźniej postanawia się zrewanżować za uprzejmość, bo podczas kolejnych kampanijnych przemówień coraz więcej miejsca poświęca Tusкови. Ostatnio w Gorzowie Wielkopolskim mówił o nim tak długo, że nie starczyło mu czasu na przedstawienie konkretnych programów. „Dlaczego ja tak ciągle o tym Tusku?” – spytał sam siebie na koniec prezes PiS: „Bo trzeba! Dla ojczyzny!”.

Konfederacja postanawia się przylączyć do tej eleganckiej gry w odstępowanie budżetu i czasu antenowego. „PiS łupi Polaków podatkami i rozdaje pieniądze Ukraincom”, a Kaczyński, Morawiecki i Duda to „frajery” i „śludzy Ukrainy”, którzy przekazali temu krajowi miliard złotych (Konfederacja obiecuje, że wystawi Ukrainie rachunek). Na rzecz Konfederacji gra z kolei partia Razem, która pomysłem skrajnie prawicowej konkurencji poświęca niepokojąco dużo miejsca w swoich mediach społecznościowych.

Wszystkie chwytty dozwolone

Carl Schmitt, niemiecki filozof niepokojąco popularny dzisiaj w kręgach władzy,



nazywa taką sytuację „stanem wyjątkowym” – momentem zawieszenia norm, w którym wobec ostatecznego zagrożenia wszystkie chwytty stają się dozwolone. „Ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym, jest suwerenny” – tłumaczy Schmitt w „Teologii politycznej”. Kto decyduje o okresowym zawieszeniu prawa, jest ostatecznie ponad prawem: „Fundamentalne pytanie brzmi: kto w sytuacji konfliktu rozstrzyga, na czym polega interes publiczny i państwowy, publiczne bezpieczeństwo i porządek, kwestia ocalenia publicznego itd. Sytuację wyjątkową, której nie sposób opisać za pomocą obowiązujących norm prawnych, można co najwyżej określić jako stan najwyższej konieczności, stan największego zagrożenia dla egzystencji państwa”. Najwyższa władza to zatem władza decydowania o sytuacji, w której normy przestają obowiązywać.

Jeśli dodamy do tego fakt, że dla Schmitta absolutnym fundamentem polityki jest radykalny podział na „my” i „oni”, otrzymamy gotowy przepis na to, co właśnie obserwujemy za oknami.

Politycy uwierzyli,
że przepaść między „nami”
i „nimi”, między dobrem
a złem jest dzisiaj tak wielka,
że usprawiedliwia najniższe
nawet zagrania.

To najważniejsze wybory co najmniej od roku 1989 – słyszymy w tej kampanii. Najwyraźniej politycy uwierzyli (i nas próbują do tego przekonać), że przepaść między „nami” a „nimi”, między dobrem a złem jest dzisiaj tak wielka, że usprawiedliwia najniższe nawet zagrania. Nie można bawić się w subtelności, gdy na szali spoczywa bezpieczeństwo i przyszłość całego narodu. Jak to ostatnio ujął Roman Giertych, którego KO najwyraźniej ukradła narodowcom razem z założeniem: „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”.

Tymczasem jest pewna ważna lekcja, którą moglibyśmy wyciągnąć z thrillerów Clancy’ego i ich nowych ekranizacji. W sprowadzeniu całej debaty politycznej do kwestii ostatecznego niebezpieczeństwa kryje się – jakżeby inaczej – niebezpieczeństwo.

Zasady „stanu codzienności”, zwykle nudne prawo, elementarna przyzwoitość i empatia wobec przeciwników sprawiały, że politycy i ich gorący zwolennicy pozostawali ludźmi. Dzisiaj najwyższa stawka, o jaką toczy się gra, usprawiedliwia cynizm i brak skrupułów. Żeby pokonać bezwzględnych terrorystów, sam musisz stać się bezwzględny. Żeby ocalić niewinnych, Jack Ryan musi się wyrzec niewinności. Wszystkie chwytty dozwolone, gdy na szali spoczywa życie milionów.

Jeszcze bardziej niepokojąco robi się, gdy przyjrzymy się ewolucji, jaką w nowych ekranizacjach Clancy’ego przeszli „ci źli”. Złota scenopisarska zasada mówi

WYDAŁO

dziś: dobry zły musi być dobry, żeby być zły. To znaczy: żeby stworzyć wysokiej jakości, przekonujący czarny charakter, musimy mu (lub jej) dopisać w tle wiarygodną szlachetną motywację.

Fanatyczni terroryści lub przywódcy junt wojskowych przedstawiani w nowym „Jacku Ryanie” (Amazon) dostają naprawdę dużo czasu ekranowego, by opowiedzieć swoją historię. Widzimy, że pierwotnie kierowała nimi miłość do kraju lub rodziny, obserwujemy, jak na ich losach odcisnęły się wojenne traumy i doznane krzywdy (często związane z militarną działalnością USA). Pokazuje to tragiczną pułapkę ostatecznego konfliktu. Zaczęliśmy tę podróż kocha-

jąc różę. Teraz gotowi jesteśmy je zdepnąć, bo ostateczny cel przysłonił nam wszystko inne. W ten sposób bohaterowie obu stron stają się dokładnie tym, z czym przysięgli walczyć. Język konfliktu wchłania ich i przerabia. Ostatecznie dobro i zło stają się nierozróżnialne.

Tak to właśnie wygląda w trwającej kampanii, gdzie politycy obu stron dali sobie wzmówić, że nikogo już nie interesują wielkie opowieści i odważne programy. Że „konkrety” to tylko poręczny chwyt do okładania wrogów, których musimy postawić w centrum naszej utkanej z lęku narracji.

A przecież nie jest wszystko jedno! Gdybym wierzył, że nie ma znaczenia, na kogo oddamy swój głos, to w ogóle nie

martwiłbym się zmierzchem różnorodności w trwającej kampanii. Tymczasem jestem przekonany, że pod poziomem ujednoliconej retoryki pomiędzy partiami wciąż istnieją kluczowe różnice. Że możliwe są różne pomysły na Polskę, różne odpowiedzi na kluczowe pytania i że decyzje, które podejmujemy przy urnach, naprawdę wpływają na naszą przyszłość.

Mnie wciąż nie jest wszystko jedno. Dlatego pójdę, zagłosuję i będę do tego namawiał innych.

Ale potem zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby w naszej polityce było znacznie więcej nudy.

Mamy tendencję do narzekania, że polityki jest w naszym życiu i mediach za dużo. To prawda, ale tylko jeśli myślimy o niej jako o agresywnych sporach między przedstawicielami i przedstawicielkami różnych partii. Sami politycy często powtarzają, żeby nie mieszać polityki do wszystkiego. „Budujmy mosty, zamiast uprawiać politykę”, „zajmijmy się edukacją, a nie polityką”, „porozmawiajmy o psychiatrii dziecięcej, a nie o polityce”. Tymczasem polityka to powinny być właśnie mosty, edukacja i psychiatria dziecięca. To są ważne sprawy, o których powinniśmy dyskutować.

Potrzebujemy polityki codzienności, zamiast polityki stanu wyjątkowego.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński,
Marek Rabbij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Adam Róbiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

S-NET
GRUPA TOYA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Gdzie się podział Szymon?



ZARÓWNO PRAOJCIEC JAKUB W PRZEDOSTATNIM rozdziale Księgi Rodzaju, jak i Mojżesz w przedostatnim rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa wygłaszają przed śmiercią błogosławieństwo przeznaczone dla dwunastu plemion Izraela. Orację Jakuba kończy stwierdzenie: „Oto wszystkie dwanaście pokoleń Izraela, i oto, co powiedział im ojciec ich i błogosławił im, każdego błogosławieństwem jego błogosławił ich” (Rdz 49, 28; Cyllkow), z kolei mowę pustynnego przywódcy zapowiada wers: „A oto błogosławieństwo, którym błogosławił Mojżesz, mąż Boży, synom Izraela przed śmiercią swoją” (Pwt 33, 1). Praojciec wymienia wszystkich swoich synów wedle starszeństwa. W przypadku trzech najstarszych padają gorzkie słowa: Rubenowi wypomina przespanie się z drugorzędną żoną ojca, Szymonowi i Lewiemu zaś – wycięcie w pień mieszkańców Sychem. Przyjęty przez Mojżesza porządek wymieniania szczepów jest bardziej złożony, ale można przyjąć, że zasadniczym kluczem jest położenie geograficzne przypadających im w Ziemi Obiecanej obszarów. I w Pierwszej, i w Piątej Księdze Mojżeszowej szczepów jest dwanaście, jednak w mowie żegnającego się z ludem przywódcy brakuje Symeona [hebr. *Szimon*]. Jak to możliwe i gdzie się podział Szymon?

Wiemy, że ukochanym dzieckiem Jakuba jest pierworodny Racheli – Józef. Dziadek usynawia swoich wnuków – Efraima i Manassesa, Józefowych synów. Skoro od Józefa pochodzą aż dwa plemiona – a Mojżesz, w przeciwieństwie do Jakuba, wymienia je w swoim błogosławieństwie – w kanonicznej dwunastce braknie dla kogoś miejsca. Pada na Szymona. Może dlatego, że to plemię jest szczególnie aktywne w Szittim, ostatnim miejscu postoju na pustyni przed przekroczeniem Jordanu? Izraelici dają się tam wciągnąć rytualnym prostytutkom w oddawanie czci bożkom moabickim. Wnuk arcykapłana Aarona, Pinchas, zabija wówczas Zimriego, księcia ze szczepu Szymona. Podczas kontroli liczebności poszczególnych plemion na pustyni wyraźnie widać, że – mimo upływu czasu – populacja Szymona od poprzedniego spisu ulega znacznemu zmniejszeniu (zob. Lb 1, 23 oraz 26, 14).

W Ziemi Obiecanej terytorium szczepu Szymona znajduje się wewnątrz obszaru należącego do pokolenia Judy. Mojżesz w swoim błogosławieństwie mówi o potomkach Judy: „Wysłuchaj [hebr. *szema*], Wiekuisty, głos Jehudy, a do ludu jego prowadź go; rękami swoimi będzie walczył za niego, a Ty mu bądź pomocą przeciw wrogom jego!” (Pwt 33, 7). Rdzeń czasownika *szema* to SZin-Mem-ajin, tak jak w imieniu Szymon, stąd komentatorzy twierdzą, że błogosławieństwo przeznaczone dla Szymona mieści się w błogosławieństwie dla Judy. Tym sposobem mamy 12 z Efraimem i Manassesem, a Szymona jednak nie brakuje.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Życie i radość



WYCHODZI NA TO, ŻE CHCĄC COKOLWIEK sensownego powiedzieć o Bogu, trzeba opowiadać o człowieku, o tym, co najpiękniejszego siedzi w nas i najpiękniejszego dzieje się między nami. Taki antropologiczny zwrot ku człowiekowi nie powinien dziwić. Od dawna wiadomo, że jesteśmy dziećmi Boga, ale też dziećmi gwiazd, Ziemia rodziła nas przez miliardy lat. I choćby z tego powodu nie jest nam pilno z tego matecznika przenosić się do bezcielesnego nieba. Izajasz opowiada: „Chciałbym mojemu umiłowanemu zaśpiewać pieśń mego ukochanego o jego winnicy. Mój umiłowany miał winnicę na żyznym zbocz pagórka. Okopał ją, oczyścił z kamieni, zasadził winorośl szlachetną. Pośrodku zbudował strażniczą wieżę i nawet w niej tłocznię sporządził”. Wystarczy dołożyć do tego zwłaszcza Pieśń nad Pieśniami, a zobaczymy, że ten miłosny nurt biblijnego myślenia o rzeczywistości podjął Jezus i nowotestamentowi pisarze.

Mając to na uwadze, aż dziw bierze, że przez całe wieki uważaliśmy życie zakonne, zwłaszcza mnisze i związany z nim celibat, za najdoskonalszy sposób chrześcijańskiego życia, a grzech nieczystości w pierwszym rzędzie dotyczył sfery seksualności. Na szczęście znamy takich chrześcijan, którzy od miłosnego charakteru związku Boga z człowiekiem nie odstąpili, wystarczy wspomnieć Jana od Krzyża, Faustynę Kowalską, Zdenkę Schelingową czy Emilianą Kowczę i uważnie od tej strony przypatrzeć się mariawitom.

Ale jak to bywa między ludźmi, tak też między Bogiem a ludźmi co i raz dochodzi do konfliktów. Prorok Izajasz mówi dalej: „I oczekiwałem, że wyda mi dobre winogrona, lecz ona zrodziła cierpkie jagody. Teraz więc, mieszkańcy Jeruzalem i wszyscy Judejczycy, rozsądźcie między Mną – a moją winnicą! Co jeszcze mógłbym uczynić dla mojej winnicy, czego nie uczyniłem? Dlaczego, gdy czekałem, by wydała dobre winogrona, ona zrodziła cierpkie jagody? Oto wam teraz oznajmię, co zamierzam uczynić mojej winnicy: usunę jej ogrodzenie, aby stała się pastwą ognia; mur jej rozwalę, aby ją strutowano. Uczynię z niej pustkowiem!”. Wydawać by się mogło, że śmierć Syna Bożego Jezusa – oraz Jemu podobnych, nie tylko chrześcijan czy ludzi religijnych, którzy, mając tego świadomość lub nie, powtarzali, umierając, za Jezusem: „Tobie, Boże, oddaję moje życie” – kładzie kres kultowi cierpienia i składania zadośćuczynnej ofiary. Czy przypadkiem po doświadczeniach z inkwizycją i kontreformatcją, podbojach obu Ameryk, zawłaszczeniu Afryki i Azji, obydwu wojnach i obecnej na Ukrainie, nie nadszedł wreszcie czas spojrzenia na dzieje Kościoła od tej miłosnej strony i uwierzenia, że to życie i radość są największym darem Boga dla ludzi i ludzi między sobą?

©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Siła bezsilnych

*Cała Ziemia
jest Twoją świątynią,
miejscem Twojego
działania.*

ODY SALOMONA



*Każda powstała rzecz
jest stworzona dla Boga
i działa poprzez Niego.*

IBN 'ARABI



W MINIONĄ środę Liturgia „prześwietliła nas” tekstem pierwszego rozesłania Dwunastu, zapisanego w Ewangelii wg św. Łukasza (zob. Łk 9, 1-6).

W tym tekście uderza z pewnością wiele rzeczy – najpierw to, że Pan nie mówi wiele o treści orędzia, z jakim posyła swoich uczniów – zamyka ją w prostym poleceniu: „głosicie królestwo Boże!”.

O wiele obszerniej – wręcz detalicznie – mówi o koniecznych dla podjęcia misji postawach: „Nie bierzcie ze sobą laski, ani torby podróżnej, ani chleba, ani pieniędzy; nie miejcie po dwie suknie”. I dalej: „Gdy do jakiego domu wejdziecie, pozostawcie tam [nie poszukując lepszych warunków egzystencji]”.

Ta proporcja sama w sobie jest pouczeniem: jest oczywiste, iż swoim postępowaniem (szerzej: postawami) człowiek może przetrącić każde – nawet najpiękniejsze – orędzie; i to na każdym etapie jego przepowiadania: może je wręcz uniemożliwić od samego początku; może mu zaprzeczyć w trakcie i po ogłoszeniu, czyniąc je dramatycznie niewiarygodnym. Właśnie to przerabiamy w straszliwej od-

ślonie wydarzeń w Dąbrowie Górniczej: jak po orgii seksualnej na plebani można wyjść na ambonę czy pójść do sali katechetycznej, by głosić Ewangelię o życiu erotycznym?!

W Łukaszowym tekście najbardziej uderza mnie jednak zakończenie: „Jeśli by was gdzieś nie przyjęli, wychodząc z tego miasta, strząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo przeciwko nim”; można by chyba przetłumaczyć również: „dla nich” lub „ku nim” (greckie *epi* z akuzatiwem).

Doświadczenie bycia „nieprzyjętym”, odrzuconym, zakwestionowanym jest – w opinii Jezusa – czasem i okazją do dania świadectwa. Kto wie, czy to nie jest jedna z najważniejszych okazji do dawania świadectwa. W sytuacji odrzucenia możemy być świadkami albo antyświadkami. Dać świadectwo lub antyświadectwo – zgorznieć. Możemy odreagować naszą frustrację i zawód agresją, wraskiem, chęcią odwetu, pamiętliwością, zerwaniem relacji w poczuciu doznanej krzywdy i niesprawiedliwości. Ale możemy również dać świadectwo swoją cierpliwością, milczeniem, które nie przeklina i nie stygmatyzuje – nie oskarża i nie potępia; lecz szuka winy w sobie.

To ważne pouczenie Jezusowe na progu podejmowanej misji. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 X)

27. niedziela zwykła: Iz 5, 1-7; Ps 80; Czwartek: Mt 3, 13-20a; Ps 1; Łk 11, 5-13;
Flp 4, 6-9; Mt 21, 33-43; Piątek: Jł 1, 13-15; 2, 1-2; Ps 9; Łk 11, 15-28;
Poniedziałek: Jon 1, 1 – 2, 1. 11; Jon 2; Łk 10, 25-37; Sobota: Jł 4, 12-21; Ps 97; Łk 11, 27-28;
Wtorek: Jon 3, 1-10; Ps 130; Łk 10, 38-42; 28. niedziela zwykła: Iz 25, 6-10a;
Środa: Jon 4, 1-11; Ps 86; Łk 11, 1-4; Ps 23; Flp 4, 12-14. 19-20; Mt 22, 1-14.

JAK PiS WALCZYŁ O POLSKĄ POWIATOWĄ

Mieli zakończyć degradację tzw. prowincji, zasypać przepaść w jakości życia i spowolnić wyludnienie. Od wiary mieszkańców w to, czy PiS się udało, zależy wynik wyborów – klucz do zwycięstwa leży poza wielkimi ośrodkami.

MAREK SZYMANIAK



PONIEWAŻ PAŹDZIERNIK ZA PASEM i aura sprzyja lekturom, to pomyślałem, że polecę państwu książkę. To zbiór gorzkich historii z różnych zakątków Polski. To historia polskiej transformacji widziana z perspektywy mniejszych miast – tak przed dwoma laty Mateusz Morawiecki polecał moją książkę „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast”.

Od tej wypowiedzi minęły prawie dwa lata. Sześć lat – od opublikowania Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju, czyli tzw. Planu Morawieckiego, w którym rząd zapowiadał wyrównanie tempa wzrostu między mniejszymi ośrodkami a metropoliami. W sumie mija 8 lat rządów Zjednoczonej Prawicy, której przywódca Jarosław Kaczyński deklarował, że chce, aby „poziom życia na wsi czy w małym mieście był taki jak w centrum Warszawy”.

Dziś, zapowiadając w spocie wyborczym program rewitalizacji osiedli, premier Morawiecki przypomina: „Nie chcieliśmy podziału na Polskę A i Polskę B. I sporo tu zrobiliśmy”. Sporo? Po dwóch kadencjach rządów trzeba powiedzieć: sprawdzam. W końcu żadna partia nie zawdzięcza władzy głosom „Polski B” tak bardzo jak PiS.

Dostrzeżenie znaczenia Polski powiatowej było kluczowym składnikiem sukcesu wyborczego w 2015 r. Politycy PiS zrozumieli wówczas, że zamiast metropoliom lepiej składać oferty mieszkańcom mniejszych miast, miasteczek i wsi, gdzie mało kto słyszał o „gospodarczym cudzie”, o którym mówiły liberalne elity. Politycy PiS przekonywali, że rządy PO-PSL zostawiły kraj w ruinie i obiecywali, że zmienią model jego funkcjonowania na zrównoważony. Miało to zakończyć degradację tzw. prowincji, skutkującą „wypłukiwaniem” ludzi, którzy z braku perspektyw wyjeżdżali do większych ośrodków lub za granicę.

Czy po ośmiu latach rządów PiS Polska powiatowa się zmieniła? Albo – czy chociaż uwierzyła w to, że się zmieniła na tyle, by zaufać tej samej władzy trzeci raz?

Nierówność mierzona punktami

Na pewno nie zmieniło się to, że wyjeżdżanie zaczyna się już na etapie edukacji. Wielu rodziców dostrzega przepaść w jakości edukacji między dużymi miastami a resztą kraju, więc posyła dzieci do szkół średnich w dużych ośrodkach, nawet jeśli wiąże się to z dojazdami czy przeprowadzką.

Ta przepaść widoczna jest już w wynikach egzaminu ósmoklasisty. Uczniowie z dużych miast (powyżej 100 tys. mieszkańców) na teście z języka polskiego otrzymują średnio o 5 punktów procentowych więcej niż dzieci z miast średnich (od 20 do 100 tys. mieszkańców) i 8 p.p. więcej niż uczniowie z miast mniejszych (do 20 tys. mieszkańców) oraz wsi.

Podobnie jest z wynikami z matematyki. Dzieci z dużych miast osiągają średnio 64 proc. na egzaminie. Ci ze średnich – 55, a z mniejszych miast i wsi – 49 proc. Różnice wynoszą więc nawet 15 punk-

tów proc. Jeszcze gorzej jest z angielskim, gdzie dysproporcje między dużymi miastami a wsią to prawie 20 p.p.

Gorszy wynik to mniejsza szansa na dobre liceum lub technikum. A to odbija się na dalszej edukacji, czyli wynikach matur i szansach wyboru atrakcyjnego kierunku studiów. Tu różnice są równie jaskrawe.

– O szansach życiowych, edukacji i karierze w coraz większym stopniu decyduje kod pocztowy – mówi dr Paweł Marczewski, socjolog z Fundacji Batorego. Jego słowa o systemowych nierównościach w jakości edukacji potwierdzają analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego. „Powszechnie występujące, zauważalne dysproporcje mogą sugerować, że istnieje systemowy problem z systemem edukacji. Lepiej działa on w dużych miastach” – taki był wniosek z badań różnic w wynikach między miastami na prawach powiatu, mającymi co najmniej 90 tys. mieszkańców, a powiatami, w których dużych miast nie ma. Zdawalność w większych ośrodkach okazała się wyższa o 7 punktów proc. Tam też uczniowie osiągnęli lepsze wyniki na maturze z polskiego i matematyki na poziomie rozszerzonym – odpowiednio o 4 i 7 p.p. Z pozoru to niewielkie różnice, ale przy rekrutacji na studia nawet jeden punkt może decydować o dostaniu się na wymarzony kierunek na dobrym uniwersytecie.

Przyczyny tego zjawiska układają się w mozaikę, której pierwszym elementem jest poważny problem z kadrą nauczycielską. Brakuje jej oczywiście i w dużych miastach, ale w małych jest to dotkliwiej odczuwalne. Przez niskie zarobki zjadane przez inflację spora część nauczycieli odeszła z zawodu i trudniej ich zastąpić. Ci zaś, którzy zostali, aby zarabiać godnie, muszą uczyć w dwóch, trzech szkołach, co wiąże się z pokonywaniem dziesiątek kilometrów, wyczerpaniem i spadającą jakością ich pracy.

Odrodzeni od świata

To wszystko odbija się na dzieciach, które dostają też słabszą ofertę edukacyjną, jeśli chodzi o zajęcia dodatkowe, pozwalające rozwijać pasje, szlifować język obcy albo nadrobić braki na korepetycjach. Takich usług szuka się najczęściej w najbliższym większym mieście. Tyle tylko, że tu pojawia się kolejny element mozaiki – bariera komunikacyjna. Cóż bowiem z tego, że



MICHAŁ KOŚC / FORUM

Spotkanie Mateusza Morawieckiego z mieszkańcami powiatu bielskiego. Brańsk, 5 września 2023 r.

→ w niedalekiej okolicy są dostępne zajęcia dodatkowe, skoro uczeń nie ma jak na nie dojechać albo wrócić po nich do domu. To czasem próg nie do przeskoczenia, także przy wyborze szkoły średniej. Niezwykle uczniowie wybierają słabszą placówkę, ale bliżej, bo do lepszej, dopasowanej do ich talentów i zainteresowań – nie mieliby jak dojechać.

Wszystkie te problemy miał zniwelować obecny rząd. Czy się udało? PiS nie miałym kosztem przeprowadził reformę likwidującą gimnazja; minister edukacji wdraża kontrowersyjne zmiany programowe oraz podręczniki, zarazem pogłębiając centralizację systemu kosztem autonomii placówek. Czy poprawiło to jakość edukacji poza metropoliami?

– Nie tylko nie widać poprawy. Jest coraz gorzej, o czym świadczą choćby różnice w wynikach matur – uważa dr Marczewski i dodaje, że nawet gdy przedstawiciele zamożnej klasy średniej przenoszą się na wieś, to ich dzieci i tak wożone są do szkół w dużym mieście. Nie tworzy się atrakcyjny, podmiński rynek edukacyjny, nie pojawia więcej ofert pracy dla nauczycieli ani większe zapotrzebowanie na korepetycje. – Jednocześnie w wielu miejscowościach liczba uczniów maleje, więc szkoły dostają niższą subwencję oświatową. Pieniądzy jest coraz mniej dla nauczycieli i na wyposażenie sal lekcyjnych, więc jakość edukacji spada. Potrzebne są systemowe zmiany: więcej pieniędzy, ale i decentralizacja. Bez tego dysproporcje będą się pogłębiać, a awans życiowy poprzez edukację stanie się jeszcze trudniejszy – dodaje.

Problem tego rozwarstwienia mogłaby w pewnym stopniu zniwelować sprawna komunikacja publiczna. Według Stowarzyszenia Wykluczenie Transportowe,

Czasem wyjazd z „Polski B” staje się nawet nie opcją, a koniecznością.

Kiedy fundamenty są z piasku, okoliczne ziemie się wyludniają.

obecnie swobodnego dostępu do autobusu czy pociągu może nie mieć nawet 14 mln Polaków; lwia ich część to osoby żyjące poza metropoliami, o czym władze państwa wiedzą od lat. Gdyby istniał dobry system komunikacji, uczniowie ze wsi i miasteczek mieliby szansę na edukację w dobrej szkole regionalnej, niekoniecznie w dalekiej metropolii. – To są naczynia połączone. Bez rozwoju lokalnego transportu publicznego dobre placówki nie będą dla dzieci dostępne. Niestety, szumnie zapowiadane projekty jego odbudowy spełzły na niczym – uważa dr Marczewski.

Faktycznie, za obecnych rządów lokalny transport publiczny, szczególnie autobusowy, zwija się w szybkim tempie. Owszem, za pogłębianie się tej katastrofy odpowiedzialne są wszystkie ekipy rządzące w XXI wieku, ale to PiS obiecywał tę zapaść zatrzymać, a nawet odwrócić. Rząd powołał w tym celu Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych, nazywany potocznie PKS Plus. Miał on zrewolucjonizować walkę z wykluczeniem komunikacyjnym.

Bez przemyślanej strategii

Efekty są odwrotne do założeń, wystarczy spojrzeć na liczby. Z danych GUS wynika, że długość krajowych linii autobusowych w 2016 r. wynosiła 710 tys. kilometrów. W 2020 było ich już tylko 480 tys., o jedną trzecią mniej.

– Liczba połączeń autobusowych zmniejsza się od ponad trzech dekad – mówi dr hab. Michał Wolański ze Szkoły Głównej Handlowej, ekspert ds. transportu. Podkreśla przy tym, że choć rząd przeznaczył na program przywracania przewozów autobusowych 800 mln zł, to efekty są niezadowalające. – Mamy państwo, które cierpi na niezdolność do two-

żenia polityk publicznych. A PKS Plus można podsumować tak: damy więcej pieniędzy, a problem rozwiąże się sam. W przypadku transportu publicznego to nie zadziała, bo potrzeby pasażerów są różne, rzadko kiedy zamykające się w jednej gminie, tymczasem dominuje powstawanie komunikacji gminnych. Jedni muszą dojechać do szkół w powiecie, inni do sąsiedniego województwa, jeszcze inni do pracy czy lekarza. Niestety, nie wzięto tych aspektów pod uwagę. Nie stworzono planu, tylko wyłożono pieniądze na stół, po które można sięgnąć, jeśli się weźmie udział w konkursie. Aplikują więc najczęściej silniejsze, bogatsze, mające know-how samorządy, a dystans między nimi a biedniejszymi, które nie potrafią skutecznie wypełniać wniosków, tylko się pogłębia – dodaje.

Dr Wolański uważa, że problemu transportu nie uda się rozwiązać bez zmian w strukturach, które miałyby go organizować. Należałoby utworzyć duże, silne powiaty lub obligatoryjne związki między powiatami, współdziałające z gminami i województwami. – Bez sensownych struktur cały czas będziemy lać wodę do dziurawego wiadra. To zaś odbije się nie tylko na uczniach, których potencjał i talenty marnujemy, ale na wielu grupach społecznych. Na chorych, którzy mają ograniczony dostęp do systemu ochrony zdrowia. Na pracownikach, którzy nie mają jak dojechać do firmy w tej samej okolicy, więc za sensowną pracę jadą za granicę – wymienia dr Wolański. – Tu nie chodzi o to, żeby prowincja była rajem, ale o to, żeby był tam pewien zestaw podstawowych usług publicznych, umożliwiający życie na tyle dobre, by człowiek nie chciał się wynosić – dodaje.

Fundamenty z piasku

Dobrej jakości praca to kolejny kamyczek w tej mozaice. Wiele osób z małych ośrodków po wyjeździe na studia już w rodzinne strony nie wraca, choć nie wszyscy stawiają wyżej życie w miejskim, hałaśliwym mrowisku, oznaczającym dodatkowo wysokie koszty życia. Problem w tym, że w powiatowych realiach dyplom dobrej uczelni nie daje pracy dopasowanej do ambicji i oczekiwań finansowych.

Szara rzeczywistość dopada również tych, którzy nie poszli na studia, ale i tak po zmaganiach z miejscowym rynkiem

–nowy
–cykl
–!!!
//
[> > >]



MAREK SZYMIANIAK

Bartoszyce, grudzień 2019 r.

pracy wyjeżdżają. Im w pracy brakuje stabilności, dobrych płac, partnerskich relacji – trudno wiązać przyszłość z rodzinnym miasteczkiem czy wsią, gdy pracując część lub całość wypłaty pod stołem. Praca jest fundamentem, na którym oparte jest życie niemal każdego człowieka, ale również miejscowości, w której on żyje. Jeśli rynek pracy jest stabilny – pozwala przeżyć na niezłym poziomie i planować przyszłość. Mieć marzenia na miejscu. Jeśli tego nie gwarantuje, marzenia „się przenoszą”. Czasem wyjazd staje się nawet nie opcją, a koniecznością. Kiedy fundamenty są z piasku, okoliczne ziemie się wyludniają.

Nie można powiedzieć, iż rząd Zjednoczonej Prawicy nie zrobił nic, aby odmienić los pracowników: wprowadził minimalną stawkę godzinową i regularnie podwyższał płacę minimalną, ale dotyczy to tak samo metropolii, jak wsi. Tymczasem politycy PiS, kiedy byli jeszcze w opozycji, deklarowali, iż po przejęciu władzy „ograniczą patologię w zatrudnieniu” i oskładkują umowy cywilnoprawne. W swoim *exposé* z 2015 r. Beata Szydło zapowiedziała wręcz likwidację umów śmieciowych.

Żadna z tych obietnic nie została w pełni zrealizowana, choć faktem jest, że np. liczba osób, które pracują poprzez te formy zatrudnienia, spadła z 1,3 mln w 2015 r. do 0,9 mln w 2021 r. Mimo zmian w przepisach, które gwarantują

zgłaszającemu nieprawidłowości pracownikowi brak konsekwencji, ich skala według Głównego Inspektoratu Pracy utrzymuje się na podobnym poziomie, co wcześniej. I dlatego Polacy wciąż patrzą w kierunku metropolii, gdzie z wielu propozycji pracy łatwiej wybrać coś atrakcyjnego.

– Jeśli spojrzymy na mapy średniego wynagrodzenia z umowy o pracę, wyraźnie widać pięć wysp bogactwa: Warszawę, Wrocław, Poznań, Kraków i Trójmiasto. Cała reszta kraju od nich odstaje – mówi Szymon Pifczyk, analityk danych demograficznych i gospodarczych.

Czy rządowi udało się ten trend choć trochę odwrócić? Niespecjalnie. – Coraz więcej miejsc pracy, szczególnie tych wysoko płatnych, koncentruje się w metropoliach – mówi Pifczyk i dodaje, że szczególnie niekorzystne dla przyszłości Polski B jest utrzymywanie się trendu braku dobrych miejsc pracy dla kobiet. Bo o ile nielicznych ofert pracy (fizycznej) dla mężczyzn jest całkiem sporo, np. w powstających magazynach i centrach logistycznych, to sytuacja kobiet (często lepiej wykształconych) jest dużo gorsza. – Kobiety wyjeżdżają z prowincji, a za nimi coraz częściej ich mężczyźni – mówi Pifczyk.

Bez dachu nad głową

Dobra i stabilna praca to jedno, ale trudno planować przyszłość w rodzinnym mieście, jeśli nie ma się własnego dachu nad głową. Oczywiście kryzys mieszkaniowy

dotyka tak samo metropolie, ale w miejscowościach poza ich orbitą przybiera specyficzny charakter. W dużych ośrodkach, mimo wysokich cen, podaż i tak nie jest w stanie sprostać napędzanemu m.in. przez migrację popytowi. W mniejszych zaś nie buduje się wcale lub bardzo mało, a przy o wiele niższych zarobkach nawet atrakcyjne z pozoru ceny są wciąż za wysokie. Rozwiązaniem mógłby być kredyt hipoteczny, ale kiedy zarabiamy mało albo pracujemy na śmieciówce – żaden bank go nam nie udzieli.

Rząd PiS i tutaj miał swoje propozycje. Przełomową wydawał się program Mieszkanie Plus. W całym kraju, także poza metropoliami, miało powstać 100 tys. lokali na tani, długotrwały wynajem, z dojściem do własności po latach. Dziś już wiemy, że żaden przełom się nie wydarzył. Z ubiegłorocznego raportu NIK wynika, że do użytku oddano nieco ponad 15 tys. mieszkań, a w budowie (do końca października 2021 r.) było kolejnych 20 tys. Zastrzeżenia Izby były również do cen: koszty najmu nierzadko okazywały się zbliżone do rynkowych. – Pomysł był dobry, wykonanie słabe – podsumowuje Pifczyk.

Po klęsce Mieszkania Plus politycy obozu rządzącego poszli śladem poprzedników – nie tyle kreowania podaży poprzez budowę mieszkań, lecz tworzenia popytu, czyli dosypywania gotówki do rynku nieruchomości. Mowa o programie Pierwsze Mieszkanie, zakładającym udzielanie preferencyjnych kredytów na 2 procent, który ruszył w lipcu. Pierwsze jego efekty są już widoczne. Zgodnie z przewidywaniami ekspertów ceny mieszkań wzrosły.

Trzeba jednak przyznać, że na rynek pracy i rynek mieszkaniowy rząd ma ograniczony wpływ, bo problemy wynikają także z globalnego trendu dominacji wielkich miast, będących motorem napędowym współczesnych gospodarek. Ale już w przypadku dostępu do opieki medycznej władze państwa mają zdecydowanie większe możliwości. Także pod tym względem PiS miał przynieść Polsce B dobrą zmianę.

– Rząd zaliczył tu poważną porażkę. Nie tylko różnice nie zniknęły, ale wręcz się pogłębiły – mówi Pifczyk i dodaje, że systemowe zmiany, które miały przynieść godność mieszkańcom mniejszych miejscowości, da się zmierzyć choćby dostępem do lekarza.

Partia Polski B

→ Spójrzmy na dane. W 2008 r. jedna czwarta lekarzy praktykowała w pięciu głównych metropoliach, czyli wspomnianych już wyspach bogactwa. W 2021 r. odsetek ten wzrósł do ponad 35 proc. – To ogromna dysproporcja. Mieszkańcy nawet niemałych miast powiatowych, aby dostać się do lekarza specjalisty, coraz częściej muszą jechać do dużego ośrodka, a to jest dla wielu wyzwaniem przy kiepskim transporcie publicznym – mówi Pifczyk.

Wielu chorych nie ma przez to szans regularnie się badać i leczyć. Do gabinetu lekarza trafiają często dopiero, gdy ich stan jest poważny, a to już generuje ogromne koszty dla państwa. Przy braku kadr lekarskich i pielęgniarskich zamykane są też kolejne szpitalne oddziały. – Poza dużymi ośrodkami braki są coraz większe, a różnice w dostępie do opieki zdrowotnej rosną – potwierdza Jakub Kosikowski, rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej.

Przyczyny są często oczywiste. Medycy kształcą się w dużych miastach, tam też robią staż i specjalizację, wyrabiając w międzyczasie sieć kontaktów, poznając małżonków. Tam też wolą wychowywać i edukować dzieci. – Trudno wykształcić pediatrę w mieście powiatowym, jeśli wszystkie oddziały pediatryczne w okolicznych szpitalach zostały zamknięte. Koło się zamyka – mówi Kosikowski.

Na zamykanie oddziałów wpływają też wyceny świadczeń przez NFZ. Fundusz zdecydowanie lepiej płaci za pracę lekarza w poradni specjalistycznej niż na szpitalnym oddziale. W tym drugim miejscu nie dość, że wynagrodzenia są niższe, to praca wiąże się z dyżurami w weekendy, noce, święta. Co prawda rząd otwiera nowe wydziały lekarskie na uczelniach w mniejszych ośrodkach, ale medycy nie będą mogli robić tam specjalizacji. Obawa, że wyjadą do metropolii i nie wrócą, wciąż będzie realna.

Jednocześnie wszyscy politycy wiedzą, że aby wygrać wybory, muszą przekonać Polaków mieszkających poza metropoliami. Wie o tym obóz rządzący, wie też opozycja, choć ten

temat nie wydaje się dziś dla jej liderów kluczowy. Na kogo więc zagłosują mieszkańcy Polski B?

Adam Gendźwiłł, socjolog i badacz samorządów terytorialnych na Uniwersytecie Warszawskim, uważa, że obozowi rządzącemu nie udało się odwrócić trendu odpływu ludności z mniejszych miast. – Zamiast poprawy choćby usług publicznych, widzimy ich degradację. Przepaść w jakości życia między dużymi miastami a resztą kraju jest coraz większa i racjonalną strategią przetrwania wciąż pozostaje migracja lub chociaż wysłanie dzieci do większych ośrodków – mówi dr Gendźwiłł. – Jednak poczucie zawodu jak dotąd objawiało się raczej pasywnością niż przerzucaniem głosów na partie opozycyjne. Jeśli mieszkańcy mniejszych miast poczuć się rozczarowani, w dniu wyborów zostaną raczej w domach – przewiduje Gendźwiłł.

Czy mieszkańcy Polski B są zawiedzeni PiS-em? Łukasz Pawłowski, szefujący Ogólnopolskiej Grupie Badawczej, zauważa, że obietnica zatrzymania procesu wyludniania była nie do spełnienia. Rząd może co najwyżej łagodzić skutki globalnego trendu, ale nawet nie to jest kluczowe. Ważniejsze, że PiS w ogóle te problemy dostrzegł.

– Rządzący mówią ludziom: jesteście ważni. Chcemy, by jakość waszego życia była taka jak w Warszawie. I choć to absolutnie nie do zrobienia, ludzie czują się wreszcie zauważeni i reprezentowani. Widzą, że wychodzi premier i mówi: zaopiekujemy się wami. Nawet jak potem władza nie dowodzi tych zmian, to chociaż coś próbuje robić. Ludzie stają więc za nią – uważa Pawłowski. – Jeśli mieszkańcy Polski powiatowej pójdą na wybory, to większość zagłosuje na PiS i PiS to wie. Dlatego zwiększa liczbę komisji wyborczych i chce dowozić do nich ludzi. Czy nam się to podoba czy nie, obecnie to PiS jest partią Polski B.

© MAREK SZYMANIAK

Autor jest publicystą i reporterem, autorem wydanych przez Czarne książek: „Urobieni”, ukazującej patologię rynku pracy w Polsce, oraz „Zapaść”, opisującej sytuację małych miast.



Wolni od szkoły

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Już kilkadziesiąt tysięcy dzieci uczy się w domach. Po cichu, oddolnie rośnie armia tych, którzy nie potrzebują tradycyjnej edukacji. To coś znacznie głębszego niż „ucieczka z Czarnkowej szkoły”.

DWIE DEKADY TEMU WSZYSTKIE POLSKIE dzieci uczone w domach dawały się pomieścić w ławach kilku szkolnych klas. Gdy dekadę później Katarzyna Gierycz, wówczas mama czwórki dzieci, kończyła wraz z nimi pierwszy rok nauki w domu, grupa ta odpowiadała liczbie dzieci z jednej wiejskiej podstawówki. Był rok 2013, dane GUS mówiły o 389 dzieciach w edukacji domowej.



KATARZYNA GIERYCZ

*Edukacja domowa w rodzinie Gieryczów.
Warszawa, wrzesień 2023 r.*

Dziś poza szkołami mamy ponad sto razy więcej uczniów. Co się w tym czasie wydarzyło?

Po naszymu

Dzieci państwa Gieryczów były 10 lat temu tak małe, że tylko jedno zdążyło się otrzeć o szkołę. – To była placówka Montessori, bo jej metody były nam wówczas bliskie – precyzuje pani Katarzyna, warszawianka. – Na czele z zasadą, że dobrze jest podążać za dzieckiem, ale też być dlań przewodnikiem. Gdy jednak ktoś ze znajomych powiedział, że istnieje coś takiego jak edukacja domowa, długo się nie zastanawialiśmy. Zwłaszcza że nie byłoby nas stać na posyłanie wszystkich dzieci do prywatnych placówek.

Państwo Gieryczowie mają dziś piątkę dzieci (od sześciu do siedemnastu lat), które uczą głównie własnymi siłami – ona jest biologką, on politologiem. Ale na wyższych etapach edukacji wspomagają się nauczycielami z zewnątrz – głównie w matematyce i językach obcych. Ze szkołą jako instytucją mają styczność głównie przy okazji odbywających się raz do roku egzaminów z każdego przedmiotu.

Polska edukacja domowa mieści się między dwiema skrajnościami – systemem ultrawolnościowym, np. amerykańskim, gdzie przynajmniej w niektórych stanach nie trzeba nawet zdawać egzaminów, a niemieckim, gdzie nie ma w ogóle edukacji domowej.

Gdy pytam Katarzynę Gierycz o motywację ich decyzji, pada kilka słów-kluczy. Pierwsze: wolność. – Od 11 lat możemy decydować, czego, jak i z czego się uczymy. Mamy możliwość wyjazdu, kiedy chcemy, planowania dnia, najbliższego tygodnia. To też wyzwanie: jak planować, nie mając nad sobą żadnego „bata”.

Słowo numer dwa: relacje. – Między nami a dziećmi, ale też między rodzeństwem. Nie ma lepszej nauki niż ta czerpana przez młodszego brata od starszego.

– Najczęstszy zarzut wobec nauczania domowego głosi, że to właśnie odbieranie dzieciom relacji. Znam osoby, które po latach chwala sobie wolność edukacji pozaszkolnej, ale przyznają, że odebrała ich dzieciom coś ważnego: licznych znajomych – mówię.

– Ach, tak, ta słynna socjalizacja, której rzekomo bez szkoły nie ma – wzdycha pani Katarzyna. – Dbamy, by te relacje pielegnować. Mamy przyjaciół, którzy też realizują edukację domową, i często się spotykamy. Dzieci uczestniczą w różnych zajęciach z rówieśnikami, w ramach kooperatyw rodzicielskich, należą do skautów, chodzą na młodzieżowe spotkania modlitewne.

Słowo numer trzy: samodzielność. – To nasze dzieci wybierają sobie aktywności i narzędzia do ich realizacji. Mamy też czas na wymagania, np. oczekiwanie, że dzieci rano zdążą pościelić łóżka, bo nie będą musiały wybiegać o siódmą z domu.

Edukacja domowa, podkreślają, to nie tylko sposób na naukę. To sposób na życie.

Pandemia reform

W roku 2015, a więc dwa lata po rozpoczęciu nauki przez dzieci Gieryczów, ów sposób na życie realizuje już ponad sześć tysięcy dzieci – więcej niż liczba wszystkich uczniów chodzących do szkół w niewielkim mieście takim jak Wieliczka.

To ważny moment: drugi i równocześnie ostatni rok obowiązkowej edukacji szkolnej dla sześciolatków – reformy PO

obarczonej piętnem nieprzygotowania i chaosu. A równocześnie początek rządów PiS, partii chcącej nie tylko wyprowadzić sześciolatkę ze szkół, ale też wprowadzić własny pakiet zmian, na czele z wygaszaniem gimnazjów – kolejna obietnica gigantycznego chaosu.

Nie wiemy, czy to właśnie pokłosie nieprzygotowanych reform, ale lata 2017-2019 przynoszą kolejne statystyczne drgania: w domach uczy się już 12-13 tys. dzieci – mniej więcej tyle wynosi liczba uczniów w Tarnowie.

Nie polityka jednak i nie reformatorskie szale kolejnych ekip będą głównymi sprawcami wzrostów – największy spowoduje pandemia. Tylko między czerwcem a wrześniem 2020 r. liczba „bezszkolnych” skacze do 20 tys. Działa już wtedy sporo szkół przyjaznych edukacji domowej. Zapewniają m.in. konsultacje z nauczycielami, zajęcia pozalekcyjne, dostęp do podręczników i materiałów.

Najważniejszą jest „Szkoła w Chmurze”, czyli fundacja z ponad tysiącsobowym zespołem, współtworząca kilkanaście niepublicznych szkół, ale przede wszystkim oferująca platformę wspomagającą uczestników edukacji domowej. – Jesteśmy też wielką społecznością, która się wzajemnie wspiera i ze sobą spotyka – zapewnia Barbara Jędrusiak, dyrektorka „Chmury”, do której zapisany jest już co drugi uczestnik polskiej edukacji domowej.

– Pandemia i „Chmura” to niewątpliwie dwa czynniki wzrostu – uważają prof. Kinga Lendzion i dr Agnieszka Wołk, socjolożki UKSW, autorki badań motywacji przechodzenia na edukację domową. – Pandemia spowodowała falę problemów dzieci, także tych psychicznych, co mogło skłonić niektórych rodziców do pozostawienia ich w domu. Ale też pokazała, że da się uczyć z dala od szkoły. Z kolei „Chmura”, polecana wówczas często na forach edukacyjnych, mogła tylko powiększyć skalę zainteresowania.

Nie bez znaczenia były zmiany prawne. W 2021 r. zliberalizowano przepisy, znosząc m.in. konieczność uzyskania opinii z poradni psychologiczno-pedagogicznej oraz rejonizację edukacji domowej – od tamtej pory np. dziecko z województwa świętokrzyskiego, pozbawionego szkół przyjaznych edukacji domowej, mogło zapisać się do mającej siedzibę w Warszawie „Szkoły w Chmurze”.

Stadion za mały

→ Gdy w 2022 r. PiS chciał – na mocy tzw. Lex Czarnek 2.0, która zakładała m.in. powrót do rejonizacji – ograniczyć rosnących w siłę edukatorów domowych, poniósł klęskę. I to nie tylko w związku z wetem prezydenta Dudy.

– Minister Czarnek mówił o rzekomej „patologii” tego sektora, jego przedstawiciele alarmowali o „zamachu”. Tak głośna debata musiała dotrzeć do szerokiego grona odbiorców i odbić się na statystykach. O „Chmurze” dopiero wtedy zrobiło się głośno, a wiedza, że system klasowo-lekcyjny nie jest jedynym sposobem legalnej nauki, dotarła do Polaków drugą falą, po wcześniejszej, pandemicznej – przypomina Gabriela Letnovska, kierowniczka krakowskiej Fundacji Edukacji Domowej i autorka raportu „Nowa jakość czy patologia? Edukacja domowa w Polsce”.

Wiedza dotarła też najwyraźniej do nastolatków. Popandemiczne statystyki przeanalizowane przez FED pokazują ciekawą zmianę: o ile w 2021 r. licealiści stanowili 20,6 proc. uczniów pozostających w domach, w tym roku odsetek ten sięgnął już 45,4 proc.

Efekt tych wszystkich procesów to licznik polskiej edukacji domowej, który w maju dobił do liczby 42 tys. Ale przekazane „Tygodnikowi” przez FED najnowsze szacunki odnoszące się do początku tego roku szkolnego mówią już o 60 tys. I to pomimo kłód, jakie szkołom przybijającym uczniów „domowych” rzuca władza: obcięcie od tego roku subwencji placówkom sprawiło, że – jak można przeczytać we wspomnianym raporcie FED – niemal połowa z nich napotkała trudności w funkcjonowaniu.

Przyjrzyjmy się jeszcze tej liczbie: 60 tys. uczniów to mniej więcej odpowiednik wszystkich dzieci chodzących do szkół w Gdańsku. Albo inaczej: grupa, której mógłby nie pomieścić Stadion Narodowy, a już na pewno ten Legii Warszawa – skądinąd arena masowego zdawania egzaminu ósmoklasisty i matury przez uczniów „Chmury”.

Kim są polscy edukatorzy domowi AD 2023? Przed czym – albo do czego – uciekli?

Łączy nas sprzeciw

Wiktoria Korzecka, 21-letnia studentka z Wrocławia, uciekła wraz z 13-letnią sio-

O ile kiedyś decyzje o przejściu na edukację domową były ideowe, **teraz częściej wynikają z pragmatyzmu.**

Stały się też szybsze, bywają wynikiem impulsu i sprzeciwu.

strą przed jej egzaminacyjnym stresem. Był wrzesień 2022 r., a one postanowiły – na osiem miesięcy przed testem ósmoklasisty – stworzyć edukacyjny tandem. „Moja siostra poszła do szkoły jako sześcioletka, a potem chodziła do trzech różnych podstawówek, przy czym z każdą był jakiś problem. Czarę goryczy przełamała sprawa liczego rocznika – tłumaczyła rok temu na łamach „Tygodnika” Korzecka.

Dzisiaj mówi bez wahania: eksperyment się udał. – Z częścią przedmiotów pomagała siostrze mama, z inną ja, ale największą pracę moja siostra wykonała sama. Zdała bardzo dobrze egzamin, ale przede wszystkim przyjemnie i twórczo spędziła rok. Gotowanie, zajęcia z ceramiki, judo, wspinaczka – na to wszystko miała czas, choć wcześniej go nie było. „Twardej” nauki było około trzy godziny dziennie, podczas gdy ósma klasa w szkole to osiem godzin w ławkach plus zadania domowe. Siostra odżyła psychicznie, odbudowała poczucie wartości – opowiada Wiktoria.

Agnieszka Fijoł, mama trójki dzieci (11-letniego Franka, 8-letniego Stasia i 4-letniej Marysi) mieszka pod Chrzanowem. Dzieci uczy sama, wspomagając się jedynie korepetytorami językowymi. Zaczęli też po pandemii – wcześniej do szkoły chodził tylko jej najstarszy syn.

– Gasła tam jego indywidualność – mówi Agnieszka Fijoł. – Wraciał zniechęcony, mówiąc, że nie można nawet zadawać pani pytań. Przeszkadzało mi też nieustanne ocenianie, rywalizacja, naklejanie dzieciom łatek, że jak szóstka to „wspaniały”, a jak jedynka to „bezdzieje”.

Na to samo zwraca uwagę Katarzyna Gierycz. Choć nie chce oceniać szkół publicznych, przyznaje, że ważna jest dla niej nauka bez presji porównań. – To pułapka – mówi. – Zawsze ktoś wychodzi dumny jak paw, a ktoś inny z poczuciem przegranej.

Prof. Lendzion i dr Wołk przebadają motywacje niemal czterystu rodziców z edukacji domowej. Choć zaznaczają, że próba nie jest reprezentatywna, to na pewno wystarcza, by nakreślić ogólną mapę postaw: kombinację motywów pozytywnych i negatywnych; tęsknoty za wolnością z jednej strony – i sprzeciwu wobec oficjalnej szkoły z drugiej. Wśród ponad trzydziestu przygotowanych przez badaczki odpowiedzi kilka, jako najbardziej istotne (5 w skali od 1-5), zaznaczyła więcej niż połowa ankietowanych. To brak indywidualnego podejścia do ucznia w tradycyjnej szkole, zbyt duże przeciążenie, pogoń za ocenami, „sztywny” program nauczania – zaś z motywacji pozytywnych „możliwość zapewnienia dziecku (...) adekwatnej edukacji do jego potrzeb” oraz „samodzielnego pokierowania wychowaniem i edukacją”.

Motywy „negatywne” wybierali częściej respondenci młodszy. – O ile kiedyś decyzje o przejściu na edukację domową były ideowe, dotyczyły pewnego stylu życia, teraz częściej wynikają z pragmatyzmu – komentują badaczki UKSW. – Decyzje stały się też szybsze, bywają wynikiem impulsu i sprzeciwu.

Nowa fala

To ciekawe, jak ów sprzeciw łączy dziś ludzi z różnych światów. Katarzyna Gierycz i Agnieszka Fijoł otwarcie mówią o swoich rodzinach: „wierzący i praktykujący”, a decyzję o przejściu na nauczanie domowe motywują m.in. chęcią wychowywania dzieci w zgodzie z własnymi wartościami. To rys charakterystyczny głównie dla „starej fali” edukatorów domowych: pracujący mąż, pozostająca w domu i biorąca na siebie edukację dzieci matka, nauczanie domowe pod pieczęcią chrześcijańskiej szkoły.

Dziś jest nieco inaczej. Prof. Lendzion i dr Wołk wychwyciły w ankietach dychotomię: niemal 40 proc. badanych co najmniej raz w tygodniu chodzi do kościoła, niemal tyle samo nie chodzi w ogóle – przy jedynie 18 proc. „letnich”, czyli praktykujących nieregularnie.

Wiktoria Korzecka (siostra 14-latkii z Wrocławia) mocno odstaje od „starego” schematu: działaczka edukacyjna, aktywistka Strajku Kobiet, feministka. Skrajnie krytyczna wobec „dokonań” oświatowych obecnej władzy; seryjnie wzywana na komisariaty ze względu na swoją aktywność w protestach przeciwko zastrzeleniu prawa aborcyjnego.

– To interesująca mieszanka – mówi o nowej mapie polskiej edukacji domowej prof. Lendzion. – Wielu z nich powie, że zabrali dziecko ze szkoły, by wychowywać je w duchu wartości chrześcijańskich. Inni stwierdzą, że podjęli taką decyzję, gdyż za dużo było Kościoła w życiu szkoły.

Ale jest coś jeszcze, co – poza krytycznym stosunkiem do szkolnictwa – łączy te dwa światy. W grupie badanych przez socjolożki UKSW aż 85 proc. miało wyższe wykształcenie. To pokazuje, że choć edukacja domowa światopoglądowo się zdemokratyzowała, to pozostała przywilejem dla wybranych. Nawet jeśli nie zawsze bogatszych (według prof. Lendzion nie wskazuje na to, by edukatorzy domowi różnili się znacznie pod tym względem od przeciętnych obywateli), to dysponujących innymi ważnymi zasobami: czasem i/lub kompetencjami koniecznymi do edukowania własnych dzieci.

Szkoła w chmurze

I tu zaczyna się kłopot krytyków z popularnością edukacji domowej. Nie brakuje dziś głosów, że stała się ona po prostu kolejnym przejawem prywatyzacji polskiej edukacji: tak jak nędza oświaty publicznej napędzała wcześniej rynek korepetycji i popularność szkół niepublicznych, tak teraz napędza modę na nauczanie domowe. Drenując publiczny sektor z uczniów i nauczycieli, a także pogłębiając edukacyjne nierówności.

– W mojej ocenie zarzut prywatyzacji dotyczy raczej szkół prywatnych, pobierających uzasadnione, ale jednak wysokie czesne. Jeśli idzie o drenaż, proponuję spojrzeć na to z drugiej strony. Ci ludzie, często w szkołach publicznych już wypaleni, u nas odzyskują energię i pasję – mówi „Tygodnikowi” szefowa „Chmury”.

Jej organizacja musi się jednak konfrontować z krytyką. W czerwcu z dnia na dzień poinformowała nauczycieli, dla których „Chmura” była źródłem dodat-

kowego dochodu, że nie zleci im pracy w wakacje, co skończyło się medialną aferą.

– Pozytywne zamknięcie poprzedniego roku szkolnego w sytuacji, gdy w połowie tego roku minister podjął decyzję o natychmiastowym zmniejszeniu finansowania do jednej czwartej dotychczasowych środków, było trudne. Cieszę się, że nie musieliśmy ze względu na to robić grupowych zwolnień. A jednocześnie żałuję, że części nauczycieli, którzy pracowali u nas dorywczo, nie daliśmy rady powiedzieć wcześniej, że ich zlecenie w „Chmurze” skończy się w czerwcu – tłumaczy Jędrusiak.

Dziś „Chmura” zatrudnia nadal ok. 700 nauczycieli. Przeprowadzają oni m.in. egzaminy, prowadzą konsultacje, kursy przygotowujące do egzaminów, warsztaty.

Sami uczniowie – dostrzegający zalety „Chmury” i innych podobnych platform: np. przygnięcie uczniów z problemami w tradycyjnych szkołach, zwiększenie świadomości istnienia edukacji domowej itd. – widzą też i wady.

– „Chmura” nam pomogła, dając materiały czy organizując kursy dla ósmoklasistów. Ale było też sporo problemów – mówi Wiktoria Korzecka. – Długo czekaliśmy na obiecane podręczniki, nie sposób było załatwić zaświadczenia o wydłużeniu czasu zdawania egzaminu, a sam egzamin na stadionie to była typowa masówka. W ogóle trudno nie odnieść wrażenia, że ten rodzaj edukacji stał się towarem.

Chmury nad szkołą

Badaczki UKSW mówią o innych obawach. Że za sprawą popularności „Chmury” decyzje o przejściu na edukację domową stają się pochopne; że upowszechnia się przekonanie: „Zapiszę dziecko do Chmury, a wszystkie problemy znikną”; że nowe platformy wypaczą ideę nauczania domowego. – Jego istotą jest przecież branie samemu odpowiedzialności za edukację dzieci – przypomina prof. Lendzion. – Tymczasem rodzice na forach coraz częściej zamieszczają wpisy, które świadczą o tym, że wierzą, iż ktoś w tej nauce domowej poprowadzi ich za rękę: „Rzuciliśmy szkołę, poradzicie, co dalej”.

Przy takim podejściu nietrudno o rozczarowanie. „Szkoła w Chmurze” mówi

o wspólnocie, ale wedle krytyków to głównie marketing – ci, którzy potraktują go poważnie, mogą po jakimś czasie poczuć się zostawieni sami sobie.

Barbara Jędrusiak przyznaje, że nauka domowa nie jest dla wszystkich. I że zdarzają się nieporozumienia: dzwonią osoby, które nie mają świadomości, że „Chmura” to w ogóle edukacja domowa. – Odpieram jednak zarzut o pochopności decyzji – dodaje Jędrusiak. – Tylko ok. 4 proc. uczniów odchodzi od nas w ciągu roku. Zdecydowana większość czuje się u nas albo bardzo dobrze, albo przynajmniej lepiej niż w poprzednich szkołach.

Co tylko potwierdza tezę, że sukces „Chmury” i całego sektora edukacji domowej to także funkcja dramatycznego kryzysu edukacji publicznej. I szerzej – systemu klasowo-lekcyjnego. Kryzysu głębszego niż głosi popularny zwłaszcza przed wyborami slogan o „ucieczce uczniów i nauczycieli z »Czarnkowych« szkół”. Głębszego, bo jego główne źródła – np. niedofinansowanie, negatywna selekcja do zawodu nauczyciela, obsesja rywalizacji i przeładowanie podstaw programowych – sięgają czasów dawniejszych niż rok 2015.

Jeśli nikt na ten kryzys po wyborach nie odpowie, ucieczka z tradycyjnej oświaty tylko przyspieszy – czy to z Przemysławem Czarnkiem jako ministrem, czy bez niego.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

>>>
(
"WybierAI:
algorytmy
demokracji"
)
]>>>



MACIEJ KULCZYŃSKI / PAP

Lewica podczas kampanii. Wrocław, 20 września 2023 r.

Bitwa o przetrwanie

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Na tle brutalnej walki KO z PiS, Lewica prowadzi zaskakująco merytoryczną kampanię. Mozolnie gromadzi poparcie, wciąż jednak wielu jej potencjalnych wyborców nie wie, czym właściwie różni się od koalicji Donalda Tuska.

OD JESIEŃ UBIEGŁEGO ROKU LIDER NAJWIĘKSZEGO UGRUPOWANIA OPOZYCYJNEGO apelował, by demokratyczna opozycja stworzyła jedną listę. To się nie udało, przede wszystkim z powodu sprzeciwu liderów PSL i Polski 2050, obawiających się marginalizacji. W przeciwieństwie do nich Włodzimierz Czarzasty zawsze deklarował się jako zwolennik wspólnej listy, a jeśli wśród polityków lewicowych byli jej przeciwnicy, jak Adrian Zandberg, nie zabierali głosu. I choć Lewicy nie grozi spadek pod próg wyborczy, to na pewno nie idąc z Tuskiem straci ona w stosunku do roku 2019, gdy uzyskała poparcie blisko 13 proc. wyborców.

Brak jednej listy najbardziej uderzył właśnie w Lewicę, która nie potrafiła odnaleźć się w samodzielnej kampanii. W przeciwieństwie do Trzeciej Drogi, grupującej zniechęconych do PO wyborców Szymona Hołowni oraz wiejski elektorat PSL, Lewicy trudniej się odróżnić, gdyż wiele jej postulatów zagospodarowuje Koalicja Obywatelska, która zresztą

ma na swoich listach sporo polityków niegdyś związanych z SLD.

Obawy przed powtórką

Lewica nie bardzo ma pomysł, jak się z tej matni wydostać. Jej liderzy od początku deklarowali na przykład udział w Marszu Miliona Serc 1 października, ale to akurat nie pomoże odróżnić się od KO. Zarazem brak udziału w tak wielkiej demonstracji wcale nie byłby dla Lewicy korzystny. Ugrupowanie to – przynajmniej od czasu słynnego porozumienia z PiS w sprawie głosowania nad KPO wiosną 2021 r. – jak ognia unika zarzutów o rozbijanie opozycji.

Stąd też szef klubu parlamentarnego Lewicy Krzysztof Gawkowski mówił niedawno publicznie, że najważniejszy jest wspólny cel. – Ten cel jest prosty: wygrać wybory i wygrać je razem. Lewica, Hołownia i KO powinny utworzyć rząd, ale uważam też, że jest pewien obowiązek na tym, kto ten marsz organizuje. Donald Tusk powinien zaprosić wszystkich liderów partii opozycyjnych na scenę – stwierdził.

Właśnie apelowanie o wspólny rząd po wyborach i „pakt sejmowy” jest sposobem Lewicy na zaistnienie w tej trudnej sytuacji. Robert Biedroń proponował nawet, żeby „pakt” podpisać podczas marszu, ale nic z tego nie wyszło, bo demonstrację zbojkotowali liderzy Trzeciej Drogi.

Lewica zdaje sobie sprawę, że jej poparcie jest bliskie tego z 2015 r., dlatego nie chce powtórki z historii: lista Zjednoczonej Lewicy nie przekroczyła wtedy 8-procentowego progu dla koalicji, co utorało PiS drogę do samodzielnej władzy. Dziś, mimo że Lewica jest faktycznie koalicją, już po raz drugi z rządu zarejestrowała się w formie listy partyjnej (Komitet Wyborczy Nowa Lewica). Dzięki temu musi przekroczyć jedynie próg 5 procent, więc katastrofa jej nie grozi – sondaże mówią o 8-10 procentowym poparciu.

– Pracujemy nad tym, żeby co najmniej powtórzyć wynik z poprzednich wyborów. Widzimy od kilkunastu dni pozytywny trend. Każdy odwiedzony dom będzie ważny w tych wyborach – zapewnia startujący z pierwszego miejsca w Pile Dariusz Standerski.

Jednak w nieoficjalnych rozmowach można usłyszeć, że wiara w sukces jest umiarkowana. – Po marszu 1 października polaryzacja się jeszcze zwiększy, a to może spowodować, że notowania Lewicy spadną poniżej 5 procent – mówi były polityk tego ugrupowania, dziś związany z KO. – Kiedyś na takie postulaty jak związki partnerskie czy rozdział Kościoła od państwa Lewica miała monopol, teraz KO ma to samo na sztandarach. Nie zadowolę im.

Niektórzy twierdzą, że lewicowa koalicja przestrzeliła nawet z tak ważną sprawą jak hasło wyborcze. Ogłoszone na wrześniowej konwencji brzmi trywialnie: „Mam serce po lewej stronie”. Na dodatek białe-czerwone serce to nowe logo silniejszej i konkurującej o podobnego wyborcę KO.

W elitach politycznych rozpowszechnione jest przekonanie, że ci, którzy na pewno pójdą na wybory, czyli ludzie w wieku 40+, ostatecznie mogą przepłynąć do KO – jedyne ugrupowanie opozycyjnego, które na pewno dostanie się do Sejmu i zarazem ma realną szansę wygrać z PiS. Krzysztof Gawkowski przekonuje jednak, że rywalizacja dwóch największych ugrupowań wcale nie musi zaszkodzić Lewicy i tylko w niewielkim

stopniu dotyczy jej elektoratu. Są nawet tacy, którzy uważają, że może jej pomóc, przyciągając tych, którzy na końcu kampanii okazały się zmęczeni brutalną walką Tuska i Kaczyńskiego.

Gdzie są liderzy

Kłopot w tym, że wyborców ciągną wyraziste osobowości, a tych w lewicowym środowisku brakuje. PiS ma charyzmatycznego i niekwestionowanego wodza, KO podobnie, Trzecia Droga umiejętnie łączy talent sceniczny Szymona Hołowni z autentycznością Władysława Kosiniaka-Kamysza. Na lewicy nikogo takiego nie ma. Czarzastemu ciąży przeszłość z czasów SLD i jest przesadnie układny wobec Tuska, znany z płomienych wystąpień Adrian Zandberg nieczęsto pojawia się w roli lidera, a Robert Biedroń w ogóle niezbyt aktywnie angażuje się w polską politykę. – Gdy w 2019 roku tworzył Wiosnę, był większą osobowością, ale dziś stracił wiele ze swojej charyzmy. Wiele osób pamięta też Biedroniowi oszustwo w sprawie Parlamentu Europejskiego, kiedy obiecywał, że zrzeknie się mandatu, by wystartować w wyborach do Sejmu, a tego nie zrobił – zwraca uwagę inny dawny polityk. Kolejny przypomina, że nawet były premier i szef SLD Leszek Miller zadeklarował, że po raz pierwszy w życiu nie zgłasza się na Lewicę.

Gawkowski jednak zapewnia, że na lewicowych listach są silne osobowości, jak choćby znany aktywista społeczny Piotr Ikonowicz, który na kandydowanie do Sejmu zdecydował się po raz pierwszy od lat 90., kiedy jako lider PPS zasiadał w klubie SLD. Podaje też przykład „transferu” z KO, czyli polsko-białoruskiej aktywistki Jany Shostak, która kandyduje w Poznaniu i ma być dowodem, że nie tylko KO osłabia Lewicę – bywa też odwrotnie.

Odwrotnie bywa, ale reguła jest zupełnie inna. Od dawna w KO są tacy wyraziści lewicowi politycy jak Bartosz Arłukowicz, Grzegorz Napieralski, Katarzyna Piekarska, Dariusz Joński i Barbara Nowacka. Stosunkowo świeżymi nabytkami są z kolei Gabriela Morawska-Stanecka, Andrzej Rozenek czy Karolina Pawliczak. Większość z tych osób opuściła szeregi swego środowiska, zarzucając wicemarszałkowi Sejmu Włodzimierzowi Czarzastemu, że traktuje Nową Lewicę, czyli partię powstałą z połączenia SLD i Wiosny, jak prywatne przedsiębiorstwo.

Być jak Avengersi

Kampania prowadzona przez Lewicę również nie była wolna od problemów i błędów. O najważniejszych powiedzieli w niedawnym wywiadzie dla OKO.press Sławomir Sierakowski i Przemysław Sadura, autorzy głośnej książki „Społeczeństwo populistów”. Ich zdaniem Lewica prowadzi kampanię „oldschoolową”, w ramach której najpierw pisze się program polityczny, później przekłada się go na zestaw propozycji, a następnie jedną po drugiej się promuje.

Sadura i Sierakowski przyznają, że Lewica unika przez to populistycznych chwytów poniżej pasa, w czym gustują PiS czy KO – to jest uczciwe, ale może być nieskuteczne. Wskazują też na inne błędy Lewicy – chce ona szukać wyborców przede wszystkim wśród kobiet, ale na jej czele jest trzech facetów: Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń i Adrian Zandberg.

Nie zgadza się z tym poseł Krzysztof Śmiszek, który uważa, że kampania jest stargetowana na konkretne środowiska, które należy wyciągnąć z domu. To młode kobiety i osoby starsze, które kiedyś były przy Lewicy, a dzisiaj się wahają. Śmiszek przypomina też o zmianie strategii. – Mamy dziś swoich Avengersów: trzy kobiety, trzech mężczyzn – mówi.

Przełomem pod tym względem była konwencja 2 września w Łodzi. Odtąd zamiast „trzech tenorów” (Czarzasty, Biedroń, Zandberg) jako frontmanów Lewicy przedstawia się 6 osób, dodając Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk, Joannę Scheuring-Wielgus i Magdalenę Biejat.

Startujący w Pile Standerski podkreśla, że pod względem płci listy Lewicy są wyjątkowo zrównoważone, bo połowa kandydatów to kobiety – żaden komitet nie ma ich więcej. Polemizuje też z zarzutem o anachroniczność kampanii. – Kandyduję z okręgu w północnej Wielkopolsce, w której przeważają średnie i mniejsze miasta. Tam kampania wygląda inaczej niż w telewizji i w internecie; tradycyjne metody są najważniejsze. Mogłbym zrobić 15 filmików, które obejrzą miliony, ale prawdopodobnie niewielu z moich potencjalnych wyborców w okręgu. Dlatego wychodzę na targowiska, wywieszam banery, chodzę od domu do domu. Tak właśnie dociera się do wyborców – przekonuje.

Nie jest to jednak żadną regułą, co można było zaobserwować podczas wyborów w Wieruszowie. – Tam był jeden kandydat Lewicy. Przyjechał też Biedroń, ale na chwilę. Na dłuższą metę tak się nie da działać – mówi uczestnik prac wyborów.

Jak wyjść z cienia

Tym niemniej Lewica próbuje znaleźć sobie niszę programową, by wyjść z cienia KO. – Tym się różnimy, że Koalicja Obywatelska chce inwestować w „babciowe”, a my w dostępność żłobków w każdej gminie – mówi Standerski. – Zależy nam też na silnych instytucjach państwa opiekuńczego, ale nowoczesnego, którego budowę PiS zaniedbał.

Gawkowski dodaje, że kampania jest tak skonstruowana, by akcentować tematy podnoszone wyłącznie przez Lewicę. Dlatego na pierwszym miejscu wśród postulatów nie ma legalnej aborcji w pierwszych tygodniach ciąży (chce tego też KO), są za to kwestie mieszkaniowe, czterodniowy tydzień pracy, zniesienie klauzuli sumienia lekarzy, opodatkowanie Kościoła, wyprowadzenie religii ze szkół oraz renegocjacja konkordatu. Te ostatnie pomysły są jednak głównie propagandowe, co wykazał w niedawnej rozmowie z Maciejem Gdulą Robert Mazurek w RMF FM. Żadnego z nich nie sposób spełnić bez zmiany konstytucji, co dziś wydaje się mrzonką.

Wzrost notowań Lewicy jest jednak w ostatnich tygodniach faktem. Formacja zawdzięcza to m.in. niezłemu występowi Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia na Campusie Polska Przyszłości, gdzie zapowiedzieli walkę z „wypasionym, aroganckim, tłustym i beczelnym klerem”. Znaczenie miała też wrześniowa ofensywa polityczna po konwencji w Łodzi 2 września. Tydzień później w Poznaniu Lewica postawiła na 16 mln pracowników (odróżniając się od KO i Trzeciej Drogi, mówiących dużo o przedsiębiorcach) i hasło: „Dobra praca dla dobrego życia”. Adrian Zandberg podkreślał, że warunkiem współprzódzenia po wyborach będzie 20-procentowa podwyżka w budżetówce i waloryzacja dwa razy w roku.

„Nie byłem złym ojcem, ale pracowałem 16 godzin dziennie. Wtedy myślałem, że to bohaterstwo, że to jest ważna sprawa. Ale nie ma nic ważniejszego niż pamięć uśmiechu swojego dziecka, gdy ma rok, →

→ dwa, trzy czy cztery lata. Byłem głupi” – mówił z kolei Czarzasty o pomysłach 35-godzinnego tygodnia pracy.

W kolejne weekendy liderzy Lewicy promowali m.in. hasło „Państwo, na które można liczyć” – czyli minimum 8 proc. PKB na ochronę zdrowia, 3 proc. PKB na inwestycje w naukę i rozwój, podniesienie płac dla nauczycieli „na start” do 5 tys. zł brutto, usunięcie HiT z programu szkolnego, liczne inicjatywy chroniące środowisko naturalne, a także leki za 5 zł, bezpłatną antykoncepcję oraz legalną aborcję. Wśród postulatów znalazło się też wzmocnienie inspekcji pracy, by miała możliwość zamieniania śmieciówek na umowy o pracę.

Najoryginalniejszym pomysłem była jednak „konwencja” Lewicy pod hasłem „Mieszkanie prawem, nie towarem”. Odbyła się w Wiedniu, choć w rzeczywistości była to prezentacja internetowych wypowiedzi liderów, nagranych na tle nowych austriackich osiedli. Zapowiedziano tam budowę przez polskie państwo 300 tys. mieszkań na tani długotrwały wynajem, co miałoby kosztować w pierwszym roku 20 mld zł, pochodzących ze środków KPO i obligacji BGK.

Lewica zachowuje się *fair* wobec partnerów z opozycji i nigdy nie atakuje ich bezpośrednio. Postanowiła jednak wykorzystać kontrowersyjny ruch Donalda Tuska, który wciągnął na listy KO Romana Giertycha. Czarzasty przyznał wprost, iż cieszy się z obecności wśród kandydatów byłego ministra rządu koalicji PiS-LPR-Samoobrona, bo teraz wszyscy mają jasny wybór, na kogo głosować.

Lewica prowadzi kampanię „oldschoolową”,

w ramach której najpierw pisze się program polityczny, później przekłada się go na zestaw propozycji, a następnie jedną po drugiej się promuje.

– Jestem za współpracą z opozycją, ale obserwujcie listy – powiedział znacząco.

Lewica poza kontrowersyjną i radykalną Janą Shostak nie umiała wprowadzić na swe listy żadnych nowych i zarazem znanych postaci. Przez jakiś czas był pomysł, by podobnie jak w 2007 r. sięgnąć po Aleksandra Kwaśniewskiego, który właśnie promuje swoją książkę autobiograficzną. Okazało się jednak, że młodzi wyborcy, którzy są najbardziej skłonni poprzeć Lewicę, nie reagują w ogóle na Kwaśniewskiego. – Jak jest z nim spotkanie, przychodzą ludzie w wieku 60 plus. Na młodych on nie działa. To już nie jest 2007 rok, kiedy kampanię można było budować na Kwaśniewskim – mówi dawny polityk SLD. Z Lewicy słychać jednak, że w końcówce kampanii były prezydent weźmie udział, jeśli pozwoli na to jego zdrowie – z tym ostatnio nie było najlepiej.

Spiskowe teorie KO

Jedna z największych obaw o Lewicę wiąże się nie tyle z jej wynikiem w wybo-

rach, co z sytuacją po nich, ale takie myśli formułują politycy KO. Nie wykluczają oni, że może zaistnieć sytuacja, w której po 15 października nie będzie możliwości utworzenia stabilnej większości, o ile Konfederacja nie wejdzie w koalicję z PiS ani z tzw. demokratyczną opozycją. Wtedy to Lewica, która kategorycznie wyklucza sojusz z Bosakiem i Mentzenem, może zdecydować się na ryzykowne zagranie i wejść w koalicję z PiS, nawet pod hasłem „rządu fachowców”. Lider Razem Adrian Zandberg nie raz posądzany był o to, że równie daleko mu do PiS, jak do PO.

Politycy KO przypominają też, że jedynie Lewica potrafiła dogadać się z PiS np. w sprawie obsady Rady Mediów Narodowych, a współpraca obu formacji na tym forum ma długą tradycję, bo już w latach 2009-10 mediami publicznymi rządziła właśnie koalicja PiS-SLD. Taki scenariusz jest jednak mało prawdopodobny, oznaczałby odwrócenie się elektoratu lewicowego od liderów i jest raczej wyrazem walki KO z Lewicą. Zresztą, Krzysztof Gawkowski kategorycznie wyklucza taką ewentualność. – To jest absolutnie niemożliwe, ewentualny wspólny rząd będziemy tworzyć tylko z demokratyczną opozycją – zapewnia.

Potwierdzeniem jego słów może być to, że dziś Lewica należy do najbardziej zdecydowanych krytyków polityki PiS wobec mediów i ma na sztandarze likwidację Rady Mediów Narodowych oraz wypracowanie transparentnego sposobu zarządzania TVP i publicznym radiem.

Jeszcze inny powyborczy scenariusz, o którym słychać w sejmowych kulisach, to wizja mocnego przegrupowania po lewej stronie sceny politycznej w sytuacji, kiedy u władzy pozostanie partia Kaczyńskiego. Wówczas z połączenia lewego skrzydła Koalicji Obywatelskiej oraz znacznej części obecnej Lewicy mogłaby powstać nowa formacja z Rafałem Trzaskowskim jako liderem.

– Dziś Lewica uznaje wynik 8-procentowy za swój sukces, co jest najbardziej ewidentnym dowodem jej głębokiego kryzysu – mówi zwolennik takiej nowej formacji. – Jeśli po ośmiu latach antydemokratycznych rządów nacjonalistów, na nic więcej nie stać Lewicy niż prześlizgnięcie się nad progiem, to znaczy, że powinna zwinąć sztandary i zorganizować się w zupełnie nowy sposób.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

W dniu 24 września 2023 roku przeżywszy lat 77 zmarł

Ś.†P.

Witold Rostworowski

Pogrzeb odbył się na cmentarzu Rakowickim
w Krakowie 3 października 2023 r.,

o czym zawiadamia wdzięczna za całe otrzymane od niego dobro

RODZINA

POŻEGNANIE

TOMASZ

Stawiszyński:

Pod kontrolą rzeczywistości



WPRAWDZIE O PANDEMII KORONAWIRUSA zdążyliśmy już niemal całkiem zapomnieć (jakoś to wszystko zamglone, nie-rzeczywiste, jakby działa się w innej epoce albo we śnie, nieprawdaż?), ale

wciąż jeszcze w różnych zakamarkach internetu toczą się ożywione dyskusje na jej temat. Zwłaszcza – co symptomatyczne, acz nie tak znowu zaskakujące – tam, gdzie rozprzestrzeniały się i nadal z powodzeniem rozprzestrzeniają rozmaite spiskowe opowieści. Wspólny ich mianownik to przekonanie, że po pierwsze, cała „oficjalna” opowieść o koronawirusie jest od początku do końca nieprawdziwa, a po drugie – co za tym idzie – że zastosowane wówczas środki zaradcze były kompletnie irracjonalne.

Nie należy popełniać dwa razy tego samego błędu i lekceważyć tych wywodów, mimo że – z pewnej perspektywy – mogą się one wydawać marginalne. Przypomnę, że w początkowym okresie pandemii również odnoszono się do podobnych teorii z mieszaniną pobłażliwości, pogardy i rozbrajania, tymczasem w krótkim czasie przełożyły się one na całkiem realne statystyki. Ot, choćby z opublikowanych niedawno badań przeprowadzonych przez naukowców z wydziału zdrowia publicznego Uniwersytetu Yale (pod kierownictwem Jacoba Wallece’a) wynika, że w okresie pandemii, po udostępnieniu szczepień, w stanach Ohio i Floryda aż o 43 proc. wzrosła śmiertelność wśród... wyborców Partii Republikańskiej. Dlaczego? Dlatego, że odsetek osób zaszczepionych był w tej grupie znacznie mniejszy niż wśród wyborczyń i wyborców Partii Demokratycznej. Jak widać, najbardziej nawet fantazyjne idee mają konsekwencje. A biorąc pod uwagę, że liczba osób pozostających pod ich wpływem systematycznie rośnie, należy się spodziewać, że tych konsekwencji będzie tylko przybywało.

Wróćmy jednak do twitterowo-podkastowo-facebookowych dyskusji, w których biernie lub czynnie uczestniczą dziesiątki, a nawet setki tysięcy użytkowników i użytkowników, w tym również znane postacie o gigantycznych zasięgach i wpływach – m.in. Jordan Peterson, Bret Weinstein czy Joe Rogan. Abstrahując już od najciślej spiskowych treści, które są tutaj w obiegu, zwraca uwagę osobliwe rozumienie pojęcia „racjonalności”. Wydaje się mianowicie – a zwrócił na to ostatnio uwagę Sam Harris, brutalnie za swoją postawę w trakcie pandemii atakowany, także przez trzech wymienionych wyżej delikwentów – że ci najbardziej zagorzali krytycy „mainstreamowej

narracji” dotyczącej COVID-19 przez racjonalność rozumieją wyłącznie trafność, adekwatność i zasadność. Innymi słowy – wdrażane na początku pandemii środki ostrożności, które okazały się po pewnym czasie nieskuteczne albo bezzasadne, z definicji uznawane są przez nich za irracjonalne, bo błędne. I dlatego – oczywiście – do cna kompromitujące wszystkich, którzy za nimi optowali.

Podobnie sprawy się mają w polskich dyskusjach na ten temat. Oslawiony zakaz wchodzenia do lasów albo – to akurat przypadek międzynarodowy – nakaz noszenia maseczek nie tylko w pomieszczeniach zamkniętych, ale również na zewnątrz, to najbardziej klasyczne rozwiązania z dzisiejszej perspektywy, delikatnie mówiąc, przesadne (zwłaszcza w przypadku nieszczęsnych lasów). Tego typu regulacji, o których teraz – mądrzejsi o ponad dwa lata pandemii – wiemy, że były w najlepszym razie niekonieczne, można by oczywiście wymienić dużo. Podobnie jak nietrafionych prognoz opartych na modelach matematycznych albo apokaliptycznie brzmiących przestróg formułowanych przez epidemiologów czy zakładników, które – na szczęście – pozostały wyłącznie w sferze domniemań i spekulacji.

W każdym razie, u podstaw tak formułowanych krytyk – utożsamiających racjonalność z trafnością – leży zasadnicze nieporozumienie. Otóż działanie racjonalne to nie jest działanie automatycznie trafne bądź słuszne. Co więcej, to, co było racjonalne wczoraj, nie musi być racjonalne dzisiaj – a okoliczność, że dzisiaj nie jest już racjonalne, nic tej jego wczorajszej racjonalności nie ujmuje. Działanie racjonalne bowiem to po prostu takie, które pozostaje w zgodzie z najbardziej w danym momencie aktualną wiedzą. Oparte na najlepszym rozeznaniu osiągniętym wskutek zastosowania najlepszych dostępnych środków poznawczych. Nic więcej. Tylko czy raczej aż tyle.

W pandemii mieliśmy do czynienia z sytuacją bezprecedensową, z patogenem nieznanym i pod wieloma względami nieprzewidywalnym. Racjonalne zatem – właśnie dlatego, żeśmy o nim wiele jeszcze nie wiedzieli – było zachowywanie maksymalnej ostrożności i stosowanie maksymalnych obostrzeń. Potem jednak – kiedy się już na temat koronawirusa więcej dowiedzieliśmy – należało dokonać korekty. Znowu – było to zachowanie dokładnie tak samo racjonalne, jak wcześniej. Na tym właśnie racjonalność polega: na działaniu w zgodzie z rzeczywistością, w tym na modyfikowaniu swoich zachowań i przekonań wtedy, kiedy rzeczywistość podpowiada, że sprawy mają się inaczej, niż się nam dotąd zdawało.

Jest to moim zdaniem najważniejsza różnica pomiędzy nauką czy w ogóle racjonalnym myśleniem a wszelkimi fundamentalizmami, także tymi spiskowymi – zdolność do autokorekty pod kontrolą rzeczywistości. Historia pandemii (przypominajmy ją sobie i uczmy się na jej przykładzie) pokazuje, że – jako państwa, społeczeństwa i jednostki – szczęśliwie wciąż jeszcze taką zdolność wykazujemy. Niezależnie od tego, co na ten temat sądzą wyznawcy przekonań niezmiennych i doskonale odpornych na fakty. ©

TERAZ ALBO NIGDY

Synod nie zaspokoi oczekiwań, ale i nie uspokoi obaw.
Zmieniając ustrój Kościoła, wprowadza go na nieznaną drogę.

EDWARD AUGUSTYN Z WATYKANU

TO NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIE PONTyfikatu Franciszka, a może nawet jego zwieńczenie. Dla niepoznaki nazywa się je wciąż „zwyczajnym synodem biskupów”, choć wiadomo, że nie jest ani zwyczajne, ani biskupie.

Szesnaście procent

Gdy w marcu 2021 r. papież ogłaszał temat XVI synodu biskupów, mało kto wiedział, czym jest synodalność. Przez dwa lata termin się jednak oswoił – dziś większość katolików ma wyobrażenie, lepsze lub gorsze, Kościoła synodalnego: otwartego na dialog, słuchającego zwykłych ludzi, bardziej demokratycznego. To pierwszy sukces papieskiego projektu.

W rozpoczętych w środę 4 października obradach w watykańskiej Auli Pawła VI po raz pierwszy biorą udział – na równych prawach z biskupami – katolicy świeccy. Wprawdzie od dawna pojawiali się w synodalnej auli, ale tylko jako eksperci, audytorzy i obserwatorzy – bez prawa do głosowania nad uchwalanymi dokumentami. Przez lata warunkiem dopuszczenia do grona ojców synodu były święcenia: biskupie lub kapłańskie (tylko w przypadku przełożonych zakonów męskich, którzy, nie będąc biskupami, pełnią funkcję „ordynariuszy” wobec członków swego zgromadzenia). W 2018 r. doszło po raz pierwszy do sytuacji, gdy wśród tych ostatnich znalazło się trzech braci zakonnych bez jakichkolwiek święceń. Wydało się oczywiste, że w takim razie do grona pełnoprawnych uczestników powinny zostać włączone także przełożone zakonów kobiecych, które niczym



– poza płcią – nie różnią się od swych męskich odpowiedników.

Papież postanowił pójść krok dalej. Do grona uczestników synodu postanowił włączyć nie tylko zakonników i zakonnice, ale też „zwykłych” świeckich. Wśród wszystkich 365 ojców synodu (łącznie z papieżem), będzie więc 60 osób świeckich: 51 kobiet (w tym 25 zakonnic) i 9 mężczyzn (w tym 2 braci zakonnych). Może to niewiele (16 proc.), ale jest szansa, że ich obecność wpłynie na styl debaty i treść dokumentów. Być może dzięki nim biskupi nie zapomną, jaki jest cel i główne zadanie całego przedsięwzięcia. Ani jakie założenie stało u jego źródeł.

Powrót do natury

„Synodalność to nie moda, ale natura Kościoła” – mówił Franciszek. Natura zapomniana i od ponad tysiąca lat skutecznie zagłuszana. Jeśli najważniejszą cechą synodalności jest słuchanie, to Kościół nauce zawsze miał z nim problemy. Powrotowi do natury miały służyć dwuletnie przygotowania. Rozpoczęto je w październiku 2021 r. tzw. etapem lokalnym, na którym właśnie świeccy mieli najważniejszą rolę do odegrania. W parafiach, klasztorach, wspólnotach i szkołach katolickich zbierały się grupy wiernych dyskutujące o najważniejszych zadaniach, jakie stoją dziś przed Kościołem. Głos mogły zabrać także osoby dotąd wykluczane

z kościelnego życia. W wielu miejscach były zapraszane na spotkania, dla nich uruchomiono też ankietę internetową.

Efekty prac grup lokalnych przesyłano do sekretariatów diecezjalnych, które opracowały pierwszą syntezę, nie zawsze miłą dla biskupa i nie zawsze przez niego udostępnioną do publicznej wiadomości (w Polsce publikacji dokumentu odmówiło pięć diecezji, dwie nie sporządziły nawet krótkiego komunikatu).

W wielu Kościołach lokalnych zasada synodalności była już znana i od dawna praktykowana. Nie tylko w parafiach Ameryki Łacińskiej czy Afryki, ale też np. w Szwajcarii, hołdującej regule, że „to, co dotyczy wszystkich, przez wszystkich powinno być rozpatrywane i zatwierdzane”, czy w Niemczech, gdzie proces ratowania Kościoła wspólnie, przez biskupów i świeckich (ale w proporcjach pół na pół) zaczął się wcześniej niż papieski projekt.

W wielu innych krajach synodalności trzeba się było uczyć. „Sprawdza się zasada, że biskupi, którzy nie chcieli wiernych dopuścić do głosu, zgłaszają najwięcej zastrzeżeń i obaw wobec synodu” – mówił kard. Mario Grech, sekretarz generalny synodu, na konferencji prasowej prezentującej „dokument roboczy” (*Instrumentum laboris*). Z kolei tam, gdzie biskupi byli otwarci na dyskusję, a świeccy mieli większy wpływ na wyniki konsultacji, lęku przed rewolucją nie widać.

Najważniejsze kwestie

Syntezy diecezjalne posłużyły za materiał do opracowania syntez krajowych, a te – kontynentalnych. „Największym zmartwieniem Sekretariatu Synodu, i moim osobiście, było pełne poszanowanie tego, co wynikało z kolejnych etapów procesu” – mówił dalej kard. Grech.

Wydawało się to niemożliwe do przeprowadzenia – każdy kraj, region, kontynent miał nie tylko własne postulaty, ale też właściwy sobie sposób rozumienia niektórych pojęć (nawet kluczowych, jak władza, autorytet, służba, które w środowiskach afrykańskich pojmowane są odmiennie niż w europejskich czy azjatyckich). Wielość propozycji, za którą stoi

*Osoby wspierające skrzywdzonych w Kościele wzywają papieża przed synodem do zrealizowania obietnicy „zera tolerancji” dla nadużyć duchownych.
Watykan, 27 września 2023 r.*



RICCARDO DE LUCA / AP / EAST NEWS

→ różnorodność kultur i mentalności, wciąż wydaje się nie do pogodzenia. Sprawy ważne dla zachodnich katolików – jak związki homoseksualne czy kapłaństwo kobiet – dla Afrykańczyków czy mieszkańców Amazonii były kwestiami drugo- i trzeciorzędny. Jak poradzi sobie z tym synod, jest jedną z wielu jego niewiadomych.

„Instrumentum laboris”, wyznaczające plan prac zgromadzenia ogólnego synodu (które będzie obradować w dwóch turach – jesienią tego i kolejnego roku), nie zawiera żadnej listy postulatów, zgłaszanych na wcześniejszych etapach. Jest krótkie (24 strony plus karty pracy) i wskazuje jedynie na trzy najważniejsze kwestie, które porządkują całą tematykę: 1) Jak być znakiem jedności z Bogiem i człowiekiem w dzisiejszym świecie?; 2) Jak dzielić się darami i zadaniami Ewangelii?; 3) Jakie procesy, instytucje i struktury są konieczne Kościołowi misyjnemu?

Ale za nimi kryją się sprawy, które budzą największe emocje i które podczas miesięcznych obrad będą punktami zapalnymi.

Pierwsza z trzech zasad dotyka problemu wykluczenia w Kościele. Synod będzie szukać odpowiedzi, kogo ono dotyka i jak je zlikwidować. Tu spodziewać się można dyskusji na temat osób LGBT+ i małżeństw niesakramentalnych, ale też problemów społecznych (głodu, biedy, migracji).

Druga odnosi się do problematyki równości wszystkich chrześcijan, danej im na mocy chrztu – dyskusja dotyczyć będzie zwiększenia roli świeckich, święceń kobiet, podziału władzy w Kościele i porzucenia błędnej, choć wygodnej drogi klerikalizmu.

Trzecia kwestia dotyka struktur i instytucji kościelnych, stając się zachętą do zreformowania lub porzucenia tych, które są niewystarczające. W tej tematyce mieści się zarówno problem reakcji (lub jej braku) na przestępstwa duchownych, jak też potrzeba zmiany języka Kościoła – w liturgii, kazaniach, katechezie, sztuce – czyli sposobu komunikowania się z wierzącymi i ze światem.

Rozmowa w Duchu

Nawet pobieżna lektura „Instrumentum laboris” pokazuje, że jest w nim więcej pytań niż odpowiedzi. Są zawarte nie tylko w tytułach najważniejszych części,

Wśród 365 ojców synodu będzie 60 osób świeckich:

51 kobiet – w tym 25 zakonnic
i 9 mężczyzn
– w tym 2 braci zakonnych.

ale przede wszystkim w obszernych „kartach pracy”, w oparciu o które uczestnicy synodu będą przygotowywać się do dyskusji w grupach roboczych i na sesjach plenarnych. Debaty będą przebiegać według metody, sprawdzonej już na etapie kontynentalnym, nazywanej „rozmową w Duchu Świętym”. Wypowiedzi uczestników nie będzie można przerywać ani z nimi polemizować. Po wysłuchaniu wszystkich nastąpi chwila medytacji, po czym znów każdy będzie mógł zabrać głos, odnosząc się do wysłuchanych wcześniej wystąpień. Po kolejnej chwili medytacji grupa będzie szukać wspólnych wniosków, które przedstawi sekretariatowi synodu. W ten sposób papież chce uniknąć kłótni, które się zdarzały na synodach, także za jego pontyfikatu.

Gdyby to się nie udało, na wszelki wypadek wprowadzono dodatkowe zabezpieczenie: obrady nie będą transmitowane, a dziennikarze akredytowani przy synodzie nie będą mieli na nie wstępu. Specjalna grupa urzędników dykasterii komunikacji każdego dnia przygotuje komunikat prasowy z przebiegu dyskusji. Jej szef, Paolo Ruffini, kilkakrotnie powtarzał na konferencji prasowej, jak ważne jest zachowanie dyskrecji i milczenia. Pojawiają się wręcz głosy, że na wszystkich uczestników synodu powinna zostać nałożona „tajemnica papieska”.

Nie wiadomo też, czy synod będzie miał charakter decyzyjny, czy tylko konsultacyjny. W dniu rozpoczęcia obrad obie możliwości są otwarte, choć bardziej prawdopodobna – i zgodna z dotychczasowym zwyczajem – jest druga: efekty prac w grupach i dyskusji na forum ogólnym zostaną zebrane w dokumencie końcowym, nad którym prawdopodobnie odbędzie się głosowanie. Choć to też nie jest pewne – jak mówił ostatnio kard. Jean-Claude Hollerich, główny relator obrad, przewaga kilku głosów nie może być rozstrzygająca, bo zasadą synodalności jest jak najpełniejszy konsensus.

Dokument końcowy będzie dla papieża pomocą do napisania – po zakończeniu obrad, a więc pod koniec 2024 lub na początku 2025 r. – własnej, posynodalnej adhortacji. Roczna przerwa w sesjach plenarnych – kolejna nowość i niewiadoma tego synodu – to być może czas na sprawdzenie, z jakim rezonansem spotykają się rezultaty synodu, i rozeznanie, które z nich można wprowadzić w życie od razu, a które będą musiały poczekać, aż „czas dojrzeje”.

Synod górą

„Synod to nie parlament”, powtarza papież, przestrzegając, by synodalności nie mylić z demokracją. Wśród wszystkich niepewności, jakie niesie rozpoczęty przed dwoma laty proces, jedno jest pewne: oto na naszych oczach zmienia się ustrój Kościoła. Z wielowiekowej walki kurialistów (zwolenników nieograniczonej władzy papieża) z koncyljarystami (głoszącymi przewagę soborów) zwycięsko wychodzili ci pierwsi, największy triumf święcąc na Soborze Watykańskim I, gdy Pius IX, ostatni władca Państwa Kościelnego, ogłosił dogmat o nieomylności papieża (1870 r.). Miało to raz na zawsze ukrócić reformatorskie zapędy kardynałów i biskupów.

Niespełna sto lat później kolejny sobór, Watykański II, musiał mocno się nagłowić, by tamtą decyzję, konserwującą naukę Kościoła, hamującą rozwój teologii i nieprzystającą do zmieniającej się rzeczywistości, jakoś obejść. Zrobił to, wpisując do konstytucji Kościoła zasadę „kolegialności”, która najwyższą władzę przyznawała kolegium biskupów, ale „w łączności z papieżem”. Równowaga szybko została zachwiana: autorytarna interwencja Pawła VI w treść gotowego już dokumentu przyznawała papieżowi ostatnie słowo.

Zwoływane od tamtego czasu, średnio co 3-4 lata, synody biskupów nie budziły większych emocji. Ich znaczenie gwałtownie wzrosło dopiero za pontyfikatu Franciszka. Papież-reformator potrzebował kolegiального poparcia dla zrealizowania swoich planów. Do historii przeszły burzliwe dyskusje, wręcz kłótnie, toczone na synodzie w 2015 r., którego owocem była papieska adhortacja „Amoris laetitia”, zezwalająca na udzielanie komunii katolikom w związkach niesakramentalnych, oraz bunt środo-

wisk konserwatywnych, wspartych przez kilku kardynałów i sporą liczbę biskupów. Kolejne synody nie przyniosły co prawda zmian podobnej rangi, ale za to sprawiły, że tematy dotąd zakazane lub wstydliwie chowane (jak akceptacja związków homoseksualnych, święcenia kobiet, problemy z celibatem księży, klerykalizm, samowola biskupów) weszły na stałe do publicznej debaty.

Pomożecie? Pomożemy!

Stawało się jednak jasne, że do podźwignięcia Kościoła z coraz głębszego kryzysu nie wystarczą już ani biskupi (skompromitowani *in gremio*), ani papież (tracący autorytet *in persona*). Właśnie temu ma służyć dopuszczenie do procesu decyzyjnego świeckich. Z jakim skutkiem – jeszcze nie wiadomo.

Zresztą, nie o sam udział w watykańskich obradach chodzi. Przeprowadzając szerokie przedsynodalne konsultacje, papież uruchomił procesy, których nie da się zatrzymać. Z całą powagą podszedł do soborowego nauczania o „zmyśle wiary Ludu Bożego” (*sensus fidei*), z którego dotąd, w praktyce kościelnego życia, niewiele wynikało. Wspólnoty lokalne potraktował jako „miejsca teologiczne”, w których kształtuje się wiara, nie tylko żywa i szczerą, ale też nieomylną.

Uzgodnienie, a tym bardziej powszechne wdrożenie wszystkich przesłanych przez nie postulatów jest niemożliwe. Ale nowy ustrój Kościoła ma polegać na tym, że nie tylko będzie się o nich z szacunkiem rozmawiać, ale uzna się ich wartość i sens. Franciszek od dawna apeluje o pozbycie się lęku przed różnorodnością. Co może oznaczać koniec Kościoła, jaki znamy. Być może pozostanie on rzymski tylko z nazwy, bo bardziej widać w nim będzie afrykańską, amazońską, polinezyjską czy niemiecką odmienność – liturgiczną i prawną. Nie bez powodu przeciwnicy papieskich pomysłów biją na alarm, że synodalność to „tworzenie nowego Kościoła – innego niż katolicki, który zawsze istniał”.

© EDWARD AUGUSTYN

Stawka synodu

ZUZANNA RADZIK

Co przyniesie kobietom synod, którego kolejny etap właśnie zaczyna się w Rzymie?

TO NIE MIAŁ BYĆ SYNOD O KOBIECIACH i ich miejscu w Kościele. Okazało się jednak, że w ramach procesu konsultacji głosy, by wziąć pod uwagę miejsce kobiet w Kościele, nie dały się zagłuszyć. Te głosy przychodzą ze wszystkich kontynentów, są nawet w oficjalnych dokumentach redagowanych przez kościelne komitety. Przychodzą też bezpośrednio od zmobilizowanych grup kobiecych prosto do sekretariatu synodu, bo procedury przewidują taką możliwość.

Pikieta przed drzwiami

Gdy Franciszek zwołał synod o synodalności, wszyscy byli nieco zdezorientowani. Nie było dotąd tak partycypacyjnego synodu, podzielonego na etapy, polegającego na konsultacjach w parafiach i diecezjach. Z drugiej strony wiele środowisk traktowało zapowiadany proces podejrzliwie i zastanawiało się nad jego skutecznością oraz tym, na ile postulaty zmian zostaną stłumione przez redagujących raporty pracowników kurii. To dlatego m.in. wiele grup kobiecych od początku upewniało się co do możliwości złożenia własnych raportów bezpośrednio do Sekretariatu Stanu,

nie wierząc, że ich głos przedrze się przez oficjalne kanały.

Nie bez powodu. Wiele inicjatyw kobiecych trwa od dziesięcioleci na marginesie oficjalnego Kościoła, ignorowane przez hierarchów i rzadko na poważnie zapraszane do dialogu. Jeszcze przy poprzednich synodach jedyne, co nam pozostawało, to pikietowanie przed wejściem. Nigdy nie zapomnę obojętności, z jaką mijali nas biskupi i kardynałowie. Po takim doświadczeniu trudno uwierzyć, że nagle Kościół hierarchiczny zacznie nas słuchać. Nawet gdy zaproszenie do konsultacji przychodzi z Watykanu. Zwłaszcza że ten jednocześnie z niepokojem reagował na wnioski płynące z niemieckiej Drogi Synodalnej, gdzie ważnym nurtem dyskusji była rola kobiet.

Diakonat, partycypacja

Jak to się stało, że pytanie o synodalność Kościoła wywołało płynące z całego świata postulaty o zwiększenie roli kobiet? Tematy kobiece wyłoniły się bardzo wyraźnie na poziomie krajowym i kontynentalnym. Głosy te były na tyle mocne, iż nie dały się zignorować i przetrwały nawet klerykalną redakcję. Zawszad ➔



NATACHA PISARENKO / AP / EAST NEWS

→ więc słyszymy o małej partycypacji kobiet, złym traktowaniu, braku szacunku do ich pracy i wkładu w życie Kościoła. Bardziej wprost niż można się było spodziewać pojawia się temat dopuszczenia diakonatu kobiet.

W raporcie z Ameryki Północnej postulowano, by kobiety „naprawdę podjęły rolę przywódcze” oraz by przyjrano się kwestii ich ordynacji. To *novum* w oficjalnym dokumencie, choć nie musi zupełnie dziwić. USA mogą się pochwalić kilkoma dobrze zorganizowanymi organizacjami na rzecz reformy Kościoła, w tym ponad 40-letnią poświęconą kapłaństwu kobiet. Nie są to jednak ruchy aż tak masowe, by wpłynęły na wynik konsultacji w tej skali. Wyraźnie doszły więc kościelne doły. To region świata, który zna pracę kobiet jako asystentek pastoralnych, ma wiele wykształconych teologek pracujących w diecezjach i wyemancypowane, aktywne społecznie siostry zakonne.

Episkopat Ameryki Południowej i Karaibów realnie współpracują przy kwestiach teologicznych i pastoralnych w ramach kontynentu i angażują w te prace świeckich teologów i teologów. Wśród postulatów wyróżnia się potrzeba stworzenia diakonatu kobiet, co miałyby uznać posługę już wykonywaną przez kobiety. Podobny postulat formułowali delegaci w czasie synodu o Amazonii. Praca pastoralna kobiet znana jest tam od lat 70. i już wtedy temat jej docenienia podnoszony był przez delegatów na synodach. Raport kontynentalny CELAM (Rady Biskupów Ameryki Łacińskiej) krytykuje traktowanie kobiet jako kościelnej taniej siły roboczej.

W raporcie z Fidżi i Oceanii temat święceń i diakonatu nie jest tak wyraźnie wyartykułowany, mocniej skupia się on na kondycji kobiet otrzymujących niższe wynagrodzenie i doświadczających przemocy. Podkreśla problem braku włączenia kobiet w kręgi decyzyjne w Kościele. Mowa w nim o poczuciu alienacji zakonnic, gdy ich głosy nie są brane pod uwagę w decyzjach Kościoła.

Na tym tle europejscy delegaci brzmią dość asekuracyjnie, prosząc o rozpoznanie godności i powołania wszystkich ochrzczonych. Cytują krajowy raport z Irlandii, w którym mowa, że „wiele kobiet wyrażało swój ból z powodu odmowy ich udziału w życiu Kościoła i mówiło o poczuciu wykluczenia i dyskryminacji”. Dalej pada ostrożna puenta: „Jest to jeden z najczęściej powtarzających się punktów (i to w bardzo podobnych słowach) poczynsz od Białorusi (...) po Luksemburg, który wzywa do wzmocnienia roli kobiet i ich udziału na wszystkich szczeblach życia kościelnego, uwzględniając wreszcie ich charyzmaty i talenty”.

Kościół afrykański zwykł przed synodami zwierzać konserwatywnie szyki, ale metoda konsultacyjna nie pozwoliła na to tym razem. Także w tym raporcie znajdziemy postulaty włączenia i partycypacji kobiet. Nie pada jednak postulat diakonatu, co nie musi dziwić, bo afrykańskie Kościoły nie były też wcześniej zwolennikami diakonatu stałego mężczyzn, widząc w tym klerykalizację zadań pełnionych przez świeckich katechistów.

Głos Kościołów Bliskiego Wschodu wzywa do prorockiej odwagi i formułuje postulat powrotu do diakonatu kobiet. Tu jednak znowu nie musimy się bardzo dziwić, bo w skład tych regionalnych konsultacji wchodził Kościół maronicki, który dopuszcza święcenia diakonatu dla kobiet od swojego synodu w 1736 r.

Bezpośrednio do sekretariatu synodu trafił też z pewnością dokument Unii Wyższych Przełożonych Zakonów Żeńskich, bo jest cytowany w dokumencie roboczym na zaczynające się spotkanie w Rzymie. Wiadomo też, że Catholic Women Speak – nieformalna, globalna sieć kobiet – przekazała swój raport przygotowany przez badaczki z Australii, które podsumowały ankietę, na którą odpowiedziało 17,2 tys. kobiet ze 104 krajów.

Słyszac te dobiegające z całego świata głosy, czasem cytowane dosłownie i wy-

rażające trudną do ukrycia frustrację, traci się wątpliwości, że jednym z wielkich tematów kolejnej fazy synodu będzie rozmowa o równej godności kobiet i mężczyzn w Kościele.

Punkt krytyczny

Ta intuicja potwierdziła się, gdy 20 czerwca tego roku Watykan opublikował „Instrumentum Laboris”, roboczy dokument wprowadzający zagadnienia, które będą dyskutowane na październikowym spotkaniu. Tytuł dokumentu apeluje: „Rozszerz przestrzeń tego namiotu” (Iz 54, 2). W treści czytamy, że rola kobiet i ich powołania wynikającego ze wspólnej wszystkim godności chrześcijańskiej „to punkt krytyczny, którego świadomość rośnie we wszystkich częściach świata”. Zmiana wymagać będzie ustanowienia nowej kultury, praktyk, struktur i przyzwyczajęń. Dokument przyznaje, że kobiety są większością uczestniczących w liturgii i życiu Kościoła, a mężczyźni pełnią większość ról zarządczych i decyzyjnych.

Nie ma tu odpowiedzi, są pytania i wyzwania stawiane przez raporty regionalne, by Kościół i społeczeństwo były dla kobiet miejscem „wzrostu, aktywnego uczestnictwa i zdrowej przynależności”. I przypomina się, że kultury niektórych krajów zrobiły pod tym względem takie postępy, że mogą Kościołowi służyć za wzór. „Wiele podsumowań (...) wzywa Kościół do dalszego rozeznania niektórych konkretnych kwestii, [takich jak]: aktywna rola kobiet w strukturach zarządzania organami kościelnymi, możliwość głoszenia kazań w parafiach przez kobiety z odpowiednią formacją, diakonat żeński. Znacznie bardziej różnicowane stanowiska wyrażane są w odniesieniu do święceń prezbiteratu dla kobiet, o które apelują niektóre podsumowania, inne zaś uważają je za kwestię zamkniętą”.

Co robi papież

„Jesteśmy tu, więcej niż połowa Kościoła” – krzyczałyśmy jeszcze niedawno do wchodzących na synod o młodzieży kardynałów i biskupów. Demonstrację organizowało międzynarodowe grono kobiet reprezentujących reformatorskie i feministyczne organizacje. Postulatem naszych modlitw, pikiet, kampanii internetowej oraz listu otwartego było danie głosu na synodzie przełożonym zako-



Świeccy wspierają zakonnice klauzurowe w sporze z biskupem. Klasztor San Bernardo w Salta w Argentynie. 3 maja 2022 r.

nów żeńskich. Wydawało się, że postulat jest do spełnienia. Dawał szansę na małe, a jednak symboliczne zwycięstwo. Wtedy skończyło się nie rozmową, a wezwaniem policji i aresztowaniem jednej z uczestniczek.

Teraz trwa już zupełnie inny synod. Z krajów i regionów przedarły się apele o równość, ale co zrobi z nimi grono, które spotyka się w Rzymie? Na 364 głosujących delegatów synodu większością będą biskupi. Polskę reprezentuje ekipa biskupów będących na rok przed emeryturą (abp Marek Jędraszewski i abp Stanisław Gądecki), po których trudno się spodziewać, by wspierali progresywne postulaty. Poza nimi w delegacji jest abp Adrian Galbas.

A co z 54 delegatkami? To największa jak dotąd partycypacja kobiet w takim rzymskokatolickim kościelnym gremium. Mogą już nie tylko rozmawiać w podgrupach, ale kształtować końcowe przesłanie synodu poprzez głosowania plenarne. Nie wiemy, jak obecność kobiet przełoży się na los postulatów związanych z kobiecą agendą. Samo przesłanie synodu nie jest wiążące, o dalszych losach postulatów zdecyduje papież. Jeśli Franciszek zwoływał synod, by rozbujać dyskusję o nowych sposobach bycia Kościołem, to zmiana sposobu głosowań przypieczętowała ten zamiar.

Coś nowego

Jak wiele kobiet na całym świecie, czas synodu spędzę śledząc media i intensywnie modląc się do Ducha Świętego. Nie wierzę, że Kościół zarządzany przez patriarchalną hierarchię jest tak otwarty na Ducha, by otworzył się na prawdziwą równość. A jednocześnie wierzę, że Duch Święty jest silniejszy niż strukturalny grzech patriarchy.

Może raczej chcę wierzyć, bo na razie nie widzę dowodów. Widzę natomiast, że właśnie dzieje się coś nowego, że głosy kobiet zaczynają brzmieć mocniej. A jednocześnie wiem, że mocno brzmiały po soborze i że zostały skutecznie stłumione. Boję się nadziei, którą budzi synod, bo wiem jej niespełnienie przyniesie olbrzymie rozczarowanie.

© ZUZANNA RADZIK

Zaczyna się nowa reformacja

TOMASZ HALÍK

Chrześcijaństwo stoi przed koniecznością przekroczenia mentalnych, konfesyjnych i kulturowych granic, aby mogło wypełniać swoje uniwersalne postanie.

CHRZEŚCJAŃSTWO STOI NA PROGU NOWEJ reformacji.* Nie będzie to reformacja pierwsza ani druga, ani ostatnia. Kościół, według słów św. Augustyna, stale się reformuje – *semper reformanda*. Przede wszystkim w okresach wielkich kryzysów i przemian naszego wspólnego świata proroczym zadaniem Kościołów jest rozpoznanie w tych znakach czasu bożych wyzwań i umiejętność odpowiedzenia na nie.

Od Marcina Lutra, wielkiego nauczyciela paradoksalnej mądrości Krzyża i ucznia wielkich niemieckich mistyków właśnie w takim okresie zmian musimy uczyć się uważności na to, w jaki sposób „mowa Boga” objawia się – *subcontrario* – w naszych kryzysach i słabościach. „Wystarczy ci mojej Łaski” – te słowa Chrystusa do apostoła Pawła są obowiązujące także dla każdego z nas, ilekroć w ciemnych nocach historii ulegamy pokusie utraty nadziei.

Nowa reformacja

Reformacja, zmiana formy, jest niezbędna tam, gdzie forma zaczyna przeszkadzać treści, gdzie hamuje dynamikę żywego jądra. Jądem chrześcijaństwa jest zmartwychwstały, żywy Chrystus, żyjący w wierze, nadziei i miłości mężczyzn i kobiet w Kościołach i za widzialnymi granicami Kościołów. Te granice należy rozszerzać i wszystkie nasze ludzkie zewnętrzne wyrazy wiary należy przemieniać, jeżeli stoją na drodze naszemu pragnieniu słuchania i rozumienia Słowa Bożego.

Dwie równoległe reformacje w XVI w., reformacja Lutra i reformacja katolicka wzbogaciły chrześcijaństwo, odnowiły je i pogłębiły, ale jednocześnie także podzieliły. W XX wieku rozpoczęły się także

dwie wielkie równoległe reformacje – globalny rozwój chrześcijaństwa pentakostalnego i II Sobór Watykański, przejście (*exodus*) Kościoła katolickiego od katolicyzmu (konfesyjnego zamknięcia), od kontrkultury wobec protestantyzmu i nowoczesności do katolicyzmu, uniwersalnej otwartości ekumenicznej.

Nowa reformacja może nawiązać do obu tych stale trwających „niedokończonych rewolucji” i w ten sposób uczynić znaczący krok w drodze do jedności chrześcijan: jedno ciało, jeden duch, jedna nadzieja. Jestem jednak głęboko przekonany, że dar jedności otrzymamy dopiero na wspólnej drodze ku szerszej i głębszej ekumenii niż tylko jedność między nami, chrześcijanami.

Ekumenizm XXI wieku musi iść o wiele dalej niż ekumenizm ubiegłego wieku. Jedność chrześcijan nie może być ostatecznym celem nowej reformacji; może być tylko efektem ubocznym starań o zbliżenie całej rodziny ludzkiej i przejęcie wspólnej odpowiedzialności za środowisko naturalne, za całe stworzenie.

Nowa reformacja musi wzmocnić świadomość współodpowiedzialności chrześcijan za całe „ciało”, którego przez tajemnicę wcielenia Bożego Słowa jesteśmy częścią: za całą rodzinę ludzką i za nasz wspólny świat. Musimy pytać się nie tylko o to, co dziś „Duch mówi Kościołom”, ale także jak Duch, który „wieje kędy chce”, działa poza granicami Kościołów. Musimy mieć odwagę do kenotycznego samoprzekroczenia dotychczasowych postaci i granic chrześcijaństwa.

Trzeba głębiej zrozumieć i przyjąć to, co jest posłaniem i podstawą Kościołów: być skutecznym znakiem (*signum efficiens*) jedności, do której powołano całą ludzkość, być instrumentem pojednania →

→ i uzdrowienia ran naszego wspólnego świata. Staramy się o jedność nie dlatego, aby chrześcijaństwo było w tym świecie silniejsze i bardziej wpływowe, ale po to, aby było bardziej wiarygodne: aby świat uwierzył.

Posłanie, które zostało nam przekazane, mamy przekazywać w sposób wiarygodny, zrozumiały i przekonujący. Napiecie między chrześcijanami tę wiarygodność osłabia. Św. Paweł wzywa chrześcijan nie do uniformizacji, ale do wzajemnego szacunku i współpracy poszczególnych części ciała, niezastąpionych właśnie ze względu na swoją odmienność i niepowtarzalność. Właśnie taka jedność chrześcijan, jedność w różnorodności ma być początkiem, źródłem i przykładem współżycia w ramach całej rodziny ludzkiej, drogą szerzenia wzajemnej kompatybilności naszych darów doświadczeń i perspektyw. Pierwsza reformacja powstała z odwagi św. Pawła do wyprowadzenia młodego chrześcijaństwa z wąskiej przestrzeni jednej z żydowskich sekt do szerokiej ekumeny ówczesnego świata. Przedstawił je jako propozycję uniwersalną, przekraczającą religijne, kulturowe, socjalne i płciowe granice: nie jest już ważne to, czy człowiek jest Żydem, czy poganinem, mężczyzną, czy kobietą, wolnym albo niewolnikiem – wszyscy w Chrystusie jesteśmy stworzeni na nowo.

Także dziś chrześcijaństwo stoi przed koniecznością przekroczenia dotychczasowych, mentalnych, instytucjonalnych, konfesyjnych, kulturowych i społecznych granic, aby mogło wypełniać swoje uniwersalne posłanie. Musimy być bardziej otwarci i uważni na Boże wyzwania, ukryte w bólach i lękach, radościach i nadszatkach ludzi, z którymi dzielimy „oikumene” – wspólny świat.

Czy uda nam się sprawić, aby nasze świadectwo pomagało przetwarzać ten świat w „*civitas ecumenica*”, czy też z powodu obojętności i egocentryzmu będziemy ponosić współwinę za to, że te nadzieje zanikną w tragicznej wojnie cywilizacji? Czy wspólnoty wierzących staną się częścią rozwiązania problemów, które przed nami dziś stoją, czy też będą raczej częścią tych problemów?

Herezja triumfalizmu

Dzieje świata i dzieje Kościołów nie są ani jednokierunkowym postępem, ani trwałym upadkiem i alienacją od wy-



RICCARDO DE LUCA / AP / EAST NEWS

Nabożeństwo otwierające Zgromadzenie Światowej Federacji Luterńskiej.
Kraków, 13 września 2023 r.

idealizowanej przeszłości, ale otwartym dramatem – stałą walką między łaską i grzechem, wiarą i niewiarą – który trwa w każdym ludzkim sercu. Marcin Luter uczył, że każdy chrześcijanin jest „*simul justus et peccator*” (sprawiedliwym i grzesznikiem zarazem). Dodajmy, że dziś wielu ludzi w naszym świecie to „*simul fidelis et infidelis*” (wierzący i zarazem niewierzący) – hermeneutyka zaufania przeplata się w ich sercach z hermeneutyką sceptycyzmu i wątpliwości. Jeśli uda się z konfliktu wiary i wątpliwości wewnątrz naszych myśli i serc wytworzyć szczery dialog, pomoże to dojrzeć naszej wierze i może to wesprzeć dialog wierzących z niewierzącymi, którzy wspólnie żyją w pluralistycznym społeczeństwie. Wiara bez krytycznych pytań może prowadzić do fundamentalizmu, bigoterii i fanatyzmu. Wątpliwości, które nie są zdolne powątpiewać same w siebie, mogą prowadzić do cynizmu. Wiara i krytyczne myślenie potrzebują się nawzajem. Dojrzała wiara może żyć z otwartymi pytaniami współczesności i oprzeć się pokusie zbyt prostych odpowiedzi, które proponują niebezpieczne współczesne ideologie.

Kościół katolicki na II Soborze Watykańskim zobowiązał się dążyć do jed-

ności między chrześcijanami, do dialogu z wierzącymi pozostałych religii, z ludźmi niewyznającymi wiary religijnej, do solidarności ze wszystkimi ludźmi, szczególnie biednymi i potrzebującymi. Kościół wyznał, że jest „*communio viatorum*”, społecznością pielgrzymów, którzy są jeszcze daleko od eschatologicznego celu pełnej jedności z Chrystusem i w Chrystusie. Kościół na Ziemi nie jest „*ecclesia triumphans*”, Kościołem zwycięskim i doskonałym Kościołem świętych w niebie. Kto uważa jakąkolwiek historyczną postać Kościoła i jej teologię za ostateczną i doskonałą, kto zamienia ziemski Kościół walczący, „*ecclesia militans*” (Kościół, który ma walczyć przede wszystkim ze swoimi grzechami), za zwycięską *ecclesia triumphans* dopuszcza się herezji triumfalizmu, grzechu i idolatrii.

Krytykom religii, takim jak Feuerbach, Marks czy Freud zawdzięczamy świadomość, że liczne nasze wyobrażenia Boga były tylko projekcjami naszych lęków i życzeń oraz naszych stosunków społecznych. Friedrichowi Nietzsche zawdzięczamy świadomość, że ten Bóg naszych wyobrażeń jest martwy. Dietrichowi Bonhoefferowi zawdzięczamy rozpoznanie, że nasza wiara może żyć bez tego Boga naszych iluzji.

Bonhoeffer, uczeń Mistra Eckharta i Marcina Lutra, uczył nas, że jedyna autentyczna chrześcijańska transcendencja to samoprzekroczenie ku innemu, w solidarnej i ofiarnej miłości. Ku temu samo-przekroczeniu (*kenosis*) wezwani są dziś nie tylko poszczególni chrześcijanie, ale także nasze Kościoły, całe chrześcijaństwo.

Chrześcijańska dusza

Czy jednak jeśli chrześcijaństwo „przekroczy samo siebie”, to nie straci swojej tożsamości? Ludzi w epoce Marcina Lutra paraliżował strach o zbawienie duszy. W naszej epoce ludzie, narody i wspólnoty religijne oraz Kościoły paraliżuje strach przed utratą tożsamości. Być może pojęcie „tożsamość” nie jest zbyt dalekie od tego, co w przeszłości wyrażało słowo „dusza” – to najcenniejsze w nas, co nas czyni nami samymi. „Co da człowiek w zamian za swoją duszę?” (Mt 16, 25).

Populiści, nacjonalści i fundamentalści religijni wykorzystują ten strach do realizacji swoich ekonomicznych i politycznych interesów. Nadużywają go podobnie, jak kiedyś strach o zbawienie duszy był nadużywany w czasach sprzedaży odpustów. Proponują w zamian za dusze różne rodzaje kolektywnej tożsamości w postaci nacjonalizmu i politycznego albo religijnego sekciarstwa. Nadużywają także chrześcijańskich symboli i retoryki; czynią z chrześcijaństwa tożsamościową, polityczną ideologię.

Marcin Luter, ale także mistycy katolickiej reformacji – Teresa z Ávili, Jan od Krzyża i Ignacy z Loyoli – rozpoznali drogę zbawienia w wierze, osobistej relacji człowieka z Chrystusem i w relacji Chrystusa do człowieka, w jego samoofiarowaniu się dla mnie (*pro me*).

To, co tworzy fundament chrześcijańskiej tożsamości i co jest dla nas chrześcijan jednocześnie hermetycznym kluczem do rozumienia historii łącznie z dzisiejszymi znakami czasu, to wydarzenie Wielkiej Nocy, która pewnego razu weszła do historii i stale ją przetwarza. Jestem przekonany, że dziś należy znowu odnowić, przemyśleć i pogłębić teologię Krzyża Marcina Lutra.

Poprzez skumulowane globalne kryzysy naszego świata – zmiany klimatyczne, destrukcję środowiska naturalnego, pandemię chorób zakaźnych, wzrost biedy, wojen i terroryzmu – mamy swój udział w „*pasio continua*” – w trwają-

cej tajemnicy Krzyża. „Gdzie wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska” – pisze św. Paweł. Krzyż jest drogą ku zmartwychwstaniu.

Zmartwychwstanie to nie jest tani happy end; wiara w zmartwychwstanie nie jest łatwą, taną łaską. Wskrzeszony Jezus przyszedł w tak zmienionej postaci, że na początku nawet jego najbliżsi nie mogli go rozpoznać i długo nie mogli pozbyć się wątpliwości: czy to jest on, czy też nie? Także do nas Chrystus przychodzi w wielu nowych, zaskakujących, ambivalentnych postaciach.

Przychodzi do nas jak do apostołów po zmartwychwstaniu. Przychodzi w cudzoziemcach, tak jak na drodze do Emaus; poznamy go dopiero przy wspólnym łamaniu chleba. Przychodzi przez zamknięte drzwi naszego strachu, legitymuje się swoimi ranami. Kiedy ignorujemy rany naszego świata, te rany Chrystusa we współczesnym świecie, nie mamy prawa mówić wspólnie z apostołem Tomaszem: „Pan mój i Bóg mój!”.

Wiara w zmartwychwstanie zawiera w sobie przygodę szukania ukrytego, przemienionego Chrystusa. Prawdziwego Chrystusa, prawdziwy Kościół, prawdziwą wiarę poznamy po tym, że jest zraniona. Zraniony Chrystus, zraniony Kościół, zraniona wiara przynoszą światu dar ducha pokoju i odpuszczenia.

Apateiści i nones

Liczne kościoły w wielu częściach świata, które kiedyś były pełne, dziś są już puste. W wielu miejscach świata – także w tradycyjnie „chrześcijańskich krajach”, jak na przykład w Polsce – szybko rośnie liczba nones – ludzi, którzy na pytanie o swoją tożsamość religijną odpowiadają „żadna”. W wielu krajach spada liczba ludzi, którzy w pełni identyfikują się z Kościołami i biorą aktywny udział w ich życiu. Rośnie liczba byłych katolików i byłych protestantów.

Wśród nones liczni są tacy, którzy zostali rozczarowani, a często zgorzeleni stanem swoich Kościołów. Są wśród nich tacy, którzy w Kościołach szukali odpowiedzi na swoje poważne, egzystencjalne pytania, a zamiast nich słyszeli tylko religijne frazesy. Są wśród nich także „apateiści”, obojętni wobec wiary, ponieważ nigdy nie spotkali się z chrześci-

jaństwem, które mówiłoby do nich zrozumiałym i wiarygodnym językiem. Są wśród nich także ci, którzy byli w dzieciństwie wychowani w wierze, a kiedy wyrosli z infantylnych postaci tej wiary, nikt im nie zaproponował wiary dojrzałej. Kiedy Jezus daje nam za przykład dzieci, nie wzywa nas ku religijności infantylniej, ale raczej ku temu, abyśmy byli jako dzieci otwarci, spontaniczni, chłonni i zdolni do wzrostu oraz uczenia się.

Głównym poselstwem Kościołów jest ewangelizacja. Płodna i efektywna ewangelizacja polega na inkulturacji – na tworzącym wcielaniu wiary do żywej kultury, do stylu myślenia i życia ludzi. Nadchodząca reforma Kościoła jest reakcją na długotrwały proces, który był czymś przeciwnym ewangelizacji: proces ekskulturyacji chrześcijaństwa z naszego świata. O ekskulturyacji możemy mówić tam, gdzie wiara chrześcijańska, ewentualnie jej zewnętrzna forma – Kościół i jego środki wyrazu – tracą wiarygodność, zrozumiałość i płodność. Pewna postać Kościoła staje się wówczas ziarnem, które zamiast samo obumrzeć, aby wydać plon, pozostaje niezmiennym i w efekcie zanika jako bezużyteczne.

Dzisiejsza Galilea

Wróćmy jednak do opowieści Wielkonocej. Ci, którzy przychodzą do „pustego grobu”, nie powinni popadać w smutek. →

> > >

[w w w.
Tygodnik
Powszechny
.pl
/
wybierAI

< < <]



→ Nie wolno nam lamentować nad martwym chrześcijaństwem przeszłości. Nie wolno nam ignorować głosu, który mówi nam: „Dlaczego szukacie żywego między martwymi? Idźcie do Galilei, tam go zobaczycie!”.

Celem uczniów Jezusa od wielkanocnego poranka do dziś jest szukanie żywego, a jednak często zmienionego do niepoznania Jezusa Chrystusa, szukanie „Galilei dnia dzisiejszego”, w której możemy się z nim spotkać. Czyż tą Galileą dnia dzisiejszego nie jest właśnie ów świat nones, ludzi żyjących poza granicami religii? Czyż nie do nich ma przede wszystkim kierować się nasza misja?

Misyjna praca chrześcijaństwa musi dziś zmierzać najpierw do wnętrza Kościoła. Tam znajdziemy wiele „dolin martwych kości”, w których trzeba głosić Słowo Boże. Dopiero później możemy skierować się ku szerokiemu światu nones poza widzialnymi granicami Kościołów i wspólnot religijnych, ten świat musimy jednak najpierw dobrze zrozumieć. Byłoby nieporozumieniem uważać tych, „którzy z nami nie chodzą”, automatycznie za ateistów albo niewierzących. Musimy także dobrze rozróżniać wśród ateistów. Czy skoro wielu „ateistów” odrzuca określony rodzaj teizmu, ludzkie teorie na temat Boga, to nie oznacza, że są zamknięci na tajemnicę, którą my nazywamy słowem „Bóg”.

My także mamy, podążając śladami Mistrza Eckharta, Dietricha Bonhoeffera i Paula Tillicha, odkrywać i głosić „Boga ponad Bogiem teizmu”.

Częścią „nowej reformacji”, „nowej ewangelizacji” i ekumenizmu XXI wieku jest też przemiana sposobu prowadzenia misji. Nie wolno nam zachowywać się wobec innych jak arogancyści właściciele prawdy. Tylko Jezus może powiedzieć: Ja jestem Prawdą. My nie jesteśmy Jezusem; my jesteśmy niedoskonałymi uczniami Chrystusa, jesteśmy na drodze jego naśladowania, na której Duch stopniowo wprowadza nas do pełni prawdy.

Cel tej drogi, pełnia prawdy to cel eschatologiczny. Teraz widzimy tylko częściowo, jak w zwierciadle, jak w zagadce. Ta świadomość granic naszych indywidualnych i grupowych perspektyw ma nas prowadzić ku pokorze i poznaniu, że do poszerzania tych granic potrzebu-

Wiara i krytyczne myślenie potrzebują się nawzajem.

Dojrzała wiara może żyć z otwartymi pytaniami współczesności i oprzeć się pokusie prostych odpowiedzi proponowanych przez dzisiejsze ideologie.

jemy uważności i szacunku dla doświadczeń innych.

Celem misji nie ma być zyskanie nowych członków Kościołów, aby ich wciśnąć do współczesnych mentalnych i instytucjonalnych granic naszych Kościołów, ale wyjście poza te granice i wspólnie z nimi we wzajemnym szacunku i obustronnie wzbogacającym dialogu podążanie ku Chrystusowi, który jest większy niż nasze wyobrażenia o nim.

Kiedy Kościół wkracza na arenę „wojen kulturowych” ze swoim świeckim środowiskiem, wychodzi z nich zawsze pokonany i zdeformowany; walki kulturowe pogłębiają proces ekskulturacji i sekularyzacji.

Alternatywą dla wojen kulturowych nie jest konformizm i tanie przystosowanie, ale kultura duchowego rozróżniania. W tym rozróżnianiu chodzi o różnicę między „duchem czasu”, który jest mową „tego świata”, a „znakami czasu”, które są mową Boga w wydarzeniach w świecie, społeczeństwie i kulturze. W czasach komunizmu Kościół potrzebował najbardziej cnoty dzielności do obrony. Dziś potrzebuje najbardziej cnoty mądrości, sztuki duchowego rozróżniania.

Program reformy synodalnej, którą rozpoczął papież Franciszek, może mieć znacznie szersze i głębsze znaczenie niż tylko konieczność reformy Kościoła katolickiego. Jestem przekonany, że możliwy jest początek owej nowej reformacji chrześcijaństwa, która nawiąże z jednej strony do Soboru Watykańskiego II, z drugiej – do pentekostalnej rewitalizacji globalnego chrześcijaństwa. Reforma Kościoła musi sięgać o wiele głębiej niż tylko do reformy instytucji kościelnych.

Płodność reformy i przyszła żywotność chrześcijaństwa zależy od ponownego odkrycia związku z duchowym i egzystencjalnym wymiarem wiary. Odnowiona i zrozumiana na nowo duchowość chrześcijańska może znacząco wesprzeć duchową kulturę dzisiejszej ludzkości, także daleko poza granicami Kościoła.

Chodzi o więcej niż tylko o jedność chrześcijan czy o pogłębienie dialogu międzyreligijnego. Duch Boży, *spiritus creator*, nieustannie wytwarza, ożywia i przetwarza tę niedokończoną symfonię stworzenia. Żyje i działa poprzez naszą nadzieję, wiarę i miłość; nieustannie przekracza i burzy wszystkie granice, mury graniczne, które zbudowaliśmy między nami i w nas.

Miedzy nocą a dniem

Na zakończenie chciałbym zacytować chasydzką opowieść. Rabin Pinchas postawił swoim uczniom na pozór proste pytanie: kiedy kończy się noc i zaczyna dzień? „Wtedy, kiedy już jest dość światła, abyśmy mogli rozróżnić psa od owcy” – zaproponował jeden z uczniów. „Wtedy, kiedy możemy rozróżnić drzewo morwowe od figowego” – twierdził inny. „To jest w tym momencie – odpowiedział rabin Pinchas – kiedy możemy w twarzy drugiego człowieka rozpoznać swojego brata czy siostrę. Jak długo to jest niemożliwe, nadal trwa noc”.

W części naszego świata, w części naszych wspólnot wiary i naszych Kościołów, w części naszych serc nadal panuje noc. Panuje tam ciemność uprzedzeń, strachu i nienawiści. Celem nowej reformacji jest przemiana i zjednoczenie chrześcijaństwa w wysiłkach o jedność rodziny ludzkiej.

Jest to cel eschatologiczny, ale w naszej epoce mamy wykonać ważny krok na drodze ku niemu. Polega on na poznaniu i uznaniu – z wszystkimi skutkami – tego, że wszyscy ludzie są naszymi braćmi i siostrami, że mają takie same prawa do swojej godności, do naszego przyjęcia, do szacunku, miłości i solidarności.

© TOMAŚ HALÍK

Z czeskiego przeł. Tomasz Maćkowiak

* Skrócona wersja inauguracyjnego wystąpienia 14 września na Zgromadzeniu Ogólnym Światowej Federacji Luteranśkiej w Krakowie. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

ZUZANNA

Radzik: Przybysz, sierota, wdowa



„TAK SIĘ SKŁADA, ŻE TRWA ŻYDOWSKIE święto szalasów. Z jednej strony rolnicze święto plonów, a więc ludzi zakorzenionych w swojej ziemi. Z drugiej strony dni, które mają przypominać o wędrowności przez pustynię: czyli o całkowitej zależności od Boga, zaufaniu, że to Ona nas prowadzi. Dlatego ważna w te dni jest gościnność, przyjmowanie przy stole pod swoim szalasem tych, którzy mogą nie mieć dokąd iść. Takie święto zawiera w sobie jedną z wielkich biblijnych osi: byłeś obcym w Egipcie, wyprowadziłem cię stamtąd i dałem ci ziemię, ale pamiętaj, wszystko mi zawdzięczasz i też wciąż jesteś przybyszem.

Wszystko ci dałem, mówi Bóg, wszystko mnie zawdzięczasz. Namiot czy szalas, choć już symboliczny, jest po to, by przypomnieć ten stan. Gdyby dobrze się zresztą przyjrzeć Biblii, można zauważyć, że ilekroć mowa o dawaniu Izraelowi ziemi i o zasadach, jakimi się ma kierować, gdy Izrael będzie już w niej żył, jak refren wraca przypomnienie, by dbać o przybysza, sierotę i wdowę. Zaczyna się, jak są jeszcze głęboko na pustyni i co chwilę wątpia, czy gdziekolwiek dojdą. Już tam słyszą, że warunkiem jest dobre traktowanie obcych i biednych. To niczym konstytucja kraju, który ma powstać. A w niej zawsze oni: przybysz, sierota i wdowa. Ludzie spoza struktury, od których łatwo odwrócić wzrok. Czy to tylko Izraelowi Bóg przypomina, czy można jednak przyjąć, że skoro jesteśmy wszczepieni w tę opowieść, to również nam? Pamiętaj, jesteś przybyszem! Pamiętaj, kiedyś nie żyłeś u siebie i traktowano cię źle, nie bądź taki sam. Wspominaj tę drogę, żebyś nie zapomniła kruchości swojego świata i tego, co masz. I tego, że i ty znów możesz stać się przybyszem. Obcym.

Obcy, sierota i wdowa wcinają się w najważniejsze momenty zawierania przymierza między ludem a Bogiem. Księga Kapłańska grzmi: „Jeżeli w waszym kraju osiedli się przybysz, nie będziecie go uciskać. Przybysza, który się osiedlił wśród was, będziecie uważać za obywatela.

Będziesz go miłował jak siebie samego, bo i wy byliście przybyszami w ziemi egipskiej. Ja jestem Pan, Bóg wasz!” (Kpł 19, 33-34). Izraelici jeszcze błakają się po pustyni, jeszcze trochę niedowierzają, bo na razie są obywatelami bezdroża, a tu słyszą, że gdy się osiedlą w obiecany kraj, obcy ma być traktowany jak obywatel. Masz go miłować, jak siebie samego – słyszą.

I tak potem w kółko. Księga Powtórzonego Prawa powtórza jak refren: „Wy także miłujcie cudzoziemca, boście sami byli cudzoziemcami w ziemi egipskiej” (Pwt 10, 19). Chwilę dalej upomina: „będziesz się cieszył razem z lewitą i obcym, który jest u ciebie, ze wszystkich dóbr, które Pan, Bóg twój, dał tobie i twemu domowi” (Pwt 26, 11). Izrael staje się na krótko dumnym państwem mającym króla, ale ten wciąż przypomina, że fundamentalną kondycją ich wszystkich jest bycie przybyszem. Dawid bowiem w Księdze Kronik (29) zwraca się do Boga mówiąc: „od Ciebie to wszystko pochodzi i co z ręki Twojej mamy, dajemy Tobie. Jesteśmy bowiem pielgrzymami (dosł. obcymi) przed Tobą i przychodniami, jak byli wszyscy przodkowie nasi”. Dawid pragnie Bogu zbudować świątynię, ale zdaje sobie sprawę, że wszystko, co ma, wszystko, co może chcieć Bogu ofiarować, ma właśnie od Niego.

I w końcu prorok Jeremiasz przywołuje słowa Pana Zastępów nawołujące Izrael do poprawy postępowania. Temat traktowania przybysza jest wysoko na liście priorytetów nawrócenia ludu: „Albowiem jeżeli naprawdę poprawicie wasze postępowanie i jeżeli będziecie się kierować wyłącznie sprawiedliwością jeden wobec drugiego, jeśli nie będziecie uciskać cudzoziemca, sieroty i wdowy i jeśli krwi niewinnej nie będziecie rozlewać na tym miejscu i jeżeli nie pójdziecie za obcymi bogami na waszą zgubę, wtedy pozwolę wam mieszkać na tym miejscu w ziemi, którą dałem przodkom waszym od dawna i na zawsze” (Jer 7, 5-7).

Minęły dwa lata, od kiedy patrzyliśmy wstrząśnięci na Usnarz, gdzie grupa uchodźców utknęła na polskiej granicy. Wtedy wydawało się, że bunt, błaganie, odwoływanie się do wartości jeszcze mogą to zatrzymać. Teraz z nie mniejszym wstrząsem widzimy, jak migracje i uchodźstwo – niezrozumiane i zinstrumentalizowane – stają się tematem kolejnej kampanii wyborczej. Tamta z 2015 r. zaczyna przy tegorocznych popisach blaknąć. Czy da się jednak zamknąć granice, zbudować mury i tłumaczyć, że chodzi o ochronę przed przybyszem europejskiego, judeo-chrześcijańskiego dziedzictwa, jeśli w sercu zawieranego przez Boga z Izraelem przymierza byli obcy, sierota i wdowa? ©

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **WARSZAWA**, sobota, 7 października, spotkanie z cyklu „Rozmowy w ogrodzie”, „Co czytamy? Co oglądamy?” / stacjonarne /
- **WROCŁAW**, wtorek, 10 października, spotkanie z dr Ewą Woydyło-Osiatyńską, „Co drzemie w polskiej duszy?” / stacjonarne /

- **KATOWICE**, środa, 11 października, spotkanie z prof. Tadeuszem Sławkim, „Kim jestem? Gdzie jestem? O obywatelstwie dobromyślnym” / stacjonarne /
- **GRUDZIĄDZ**, czwartek, 12 października, spotkanie autorskie z prof. Andrzejem Chwałbą / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

WITAJCIE W BAWARIALANDII

Najlepsze piwo, najwyższe szczyty, najbogatsze koncerty.

I tylko politycy z największym ego mogą zwyciężać
i rządzić w tym szczególnym regionie Niemiec.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z MONACHIUM

NA TERENIE CAŁYCH NIEMIEC NAWARSTwiają się problemy. Narasta znowu kryzys migracyjny, rosną ceny, rośnie ogólny niepokój o przyszłość, rośnie też poparcie dla prawicowych populistów z Alternatywy dla Niemiec (AfD).

W takich warunkach wybory do parlamentu landowego w Bawarii – odbędą się one w najbliższą niedzielę 8 października – powinny być ważnym testem nastrojów społecznych. W końcu to największy powierzchniowo i drugi pod względem liczby mieszkańców niemiecki land. Jednak Bawaria bardzo różni się od reszty kraju. Dlatego i relacja z ostatnich dni przed głosowaniem musi być inna. Choćby dlatego, że nawet podczas krótkiej wizyty na czas kampanii wyborczej nie da się uniknąć wychylenia paru kufli piwa.

Obrazki z festynu

Bawarska odrębność zaczyna przebiegać się już w trakcie podróży pociągiem, który zmierza w kierunku Monachium. Im bliżej stolicy Bawarii, tym więcej dostrzega się kobiet ubranych w *dirndl*, tradycyjny alpejski strój, składający się z bluzki, gorsetu, spódnicy i fartucha. Jeden z pasażerów, mężczyzna w podeszłym wieku, znika na chwilę w pociągowej toalecie. Jeszcze przed chwilą w jeansach, po chwili wychodzi ubrany w typową bawarską koszulę i obowiązkowe krótkie skórzane spodnie. Spora część po-

dróżujących raczy się piwem, choć wskazówki zegara ledwo co przekroczyły godzinę dziesiątą rano.

Po przyjeździe do Monachium podobnych przebiezańców napotyka się już na każdym kroku. Podobnie jak wielojęzycznych turystów. Wielu z nich przyjeżdża właściwie tylko po to, aby wziąć udział w jednym z największych masowych wydarzeń na świecie: w Monachium od 16 września do 3 października trwa Oktoberfest. I to wydarzenie dominuje zbiorową bawarską wyobraźnię, a nie kampania wyborcza.

Obrazy z festynu w stolicy Bawarii kojarzy chyba każdy. Dla wielu są niemal synonimem Niemiec: litrowe kufle, ludzie w grupowym amoku i uśmiechnięte kelnerki, koniecznie blondynki, eksponujące dekolty i witalność, dzięki której potrafią za jednym zamachem dostarczyć do stolika całe naręczce upragnionych kufli. A że te obrazki nijak mają się do reszty kraju, gdzie dominuje raczej powściągliwy charakter? To już problem reszty Niemiec, a nie dumnych ze swoich biesiadnych tradycji Bawarczyków.

Piąta pora roku

Tradycja Oktoberfestu, zwanego też po bawarsku Wiesn (od niemieckiego *Wiese*, łąka) sięga roku 1810. Wtedy to dla uczczenia ślubu bawarskiego księcia Ludwika i saksońskiej księżniczki Teresy na łące po-

łożonej nieopodal centrum Monachium odbyły się wyścigi konne. – Imprezę zaczęto powtarzać co roku, a dla spragnionych widzów zaczęto stawiać budki z piwem – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” Christian Dahncke, główny piwowar monachijskiego browaru Paulaner.

Rozmawiamy na terenie festynu, w namiocie piwnym należącym do koncernu. Niech nie myli tu słowo „namiot”: to potężna hala, która wraz z dodatkową przestrzenią naokoło zapewnia miejsce nawet dla 8 tys. gości. Jest środa, jeszcze nie wybiło południe, a duża część namiotu jest już zapelniona.

Piwo leje się strumieniami i tak będzie do nocy. W kulminacyjnym momencie, wieczorem, w namiocie panuje hałas porównywalny do stadionowego zgietku. Tysiące gości tańczy na ławach, a kelnerki faktycznie wykonują nadludzką pracę, radząc sobie w tym chaosie.

– To dla nas piąta pora roku – mówi radośnie Dahncke. Choć jako piwowar większość czasu spędza nad technologicznymi aspektami procesu warzenia i nad umowami z dostawcami chmielu i siodu, w trakcie festynu może poczuć się jak supergwiazda. Klienci gratulują, ➔

Hubert Aiwanger, bawarski minister gospodarki i przewodniczący Wolnych Wyborców, otwiera sezon Wiesn. Monachium, 16 września 2023 r.



→ a dziennikarze, po kilku łykach i przy stole pełnym regionalnych mięsów, szybko zapominają o swojej krytycznej wszak roli i przyłączają się do peanów pod adresem lokalnych piw i atmosfery w namiocie.

Paulaner należy do monachijskiej Wielkiej Szóstki. To miejskie browary, których początki działalności sięgają średniowiecza. Od 1516 r. warzą złoty trunek wedle Bawarskiego Prawa Czystości, które zobowiązuje ich do korzystania tylko z trzech składników: wody, chmielu i słodu. Każdy z Wielkiej Szóstki ma swój namiot piwny na terenie festynu.

Całość uzupełnia trudna do zliczenia ilość dodatkowych atrakcji: karuzel, kolejek górskich, labiryntów strachu. Oktoberfest z bliska sprawia dość prząsne wrażenie, ale nikomu nie wydaje się to przeszkadzać. W przeciwieństwie do tego rocznych cen.

Rezerwacja z wyprzedzeniem

– Czternaście i pół euro za kufel! – wzdryga się Julia.

Blisko sześć lat temu przeprowadziła się z północy kraju do Monachium. Inne miejsca do życia 40-latką nie potrafi sobie już wyobrazić. Decydująca jest bliskość Alp, w których czuje się najlepiej. Ale równie ważna jest dewiza życiowa Bawarczyków, że ciężką dniówkę trzeba odreagować, najlepiej w towarzystwie znajomych, przy piwie i muzyce.

Julia przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem”, że w tym roku odwiedziła Wiesn już trzy razy. Planuje jeszcze trzy wyjścia. Wzrost cen zarówno piwa, jak i jedzenia o kilka euro boli, choć nie na tyle, żeby zrezygnować z zabawy. Pierwszą rezerwację na stolik złożyła pod koniec lutego, inaczej mogło być za późno. Wprawdzie część miejsc w namiotach nie podlega rezerwacji, ale te zajmowane są przez gości, którzy do namiotów schodzą się zaraz po śniadaniu.

W ostatnich dekadach Oktoberfest przekształcił się z regionalnej imprezy w globalną markę i jedną z największych imprez masowych na świecie. Na monachijskich ulicach na każdym kroku słychać Amerykanów i Brytyjczyków. Są też Włosi, Hiszpanie, Japończycy, Hindusi.

Ludzie z całego świata nierzadko pierwszy raz przyjeżdżają do Europy specjalnie na monachijski festyn. I po kilkudniowej balandze wyjeżdżają z dość specyficznym obrazem Niemiec, a może i całego konty-

nentu. Europa jako miejsce, gdzie nosi się góralskie stroje, ma się stale dobry humor i pije piwo do upadłego. Zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Północ Południe

Oktoberfest to znak rozpoznawczy Bawarii. Ale festyny odbywają się w całym landzie. Dysponując takim, a nie innym czasem kampanii, politycy muszą się dostosować i dotrzeć do miejsc, gdzie znajdują wyborców. Dlatego również polityczne debaty toczą się przy złotym trunku. – W Bawarii panuje południowoeuropejski klimat. W namiocie piwnym nie można gadać jak wystraszona dziewczynka – tłumaczy Hubert Aiwanger podczas spotkania z międzynarodowymi mediami, w którym uczestniczy także „Tygodnik”.

Aiwanger to lider partii Wolni Wyborcy (Freie Wähler), która obecnie współrządzi w Bawarii. Sondáže dają im ok. 17 proc. głosów. W Berlinie dziennikarze ogólnokrajowych mediów załamują ręce nad populistycznym tonem, który zdominował bawarską kampanię. Aiwanger nic sobie z tego nie robi: – Niemcy z protestanckiej północy nie rozumieją fenomenu, jakim jest kultura, która panuje w namiocie piwnym.

Podczas takich piwnych wieców Aiwanger nawołuje, by „milcząca większość odzyskała demokrację”, żąda ostrego kursu migracyjnego i rzuca niewybredne przekleństwa pod adresem polityków lewicowo-liberalnej koalicji rządzącej w Berlinie. To zresztą mantra bawarskiej kampanii: problemy generuje Berlin, natomiast u nas wszystko jest co do zasady najlepsze. Takie nieuznające krytyki tony są może i czymś normalnym w Polsce, ale w innych regionach Niemiec bawarski patriotyzm wzbudza politowanie, a czasem i wściekłość.

Taka była również reakcja na publikację „Süddeutsche Zeitung” pod koniec sierpnia. Dziennik z Monachium dotarł do ulotki, jaką Aiwanger miał – tak sugerowało początkowo „SZ” – napisać w wieku 17 lat i kolportować w liceum. Tekst był fikcyjnym ogłoszeniem konkursu „na największego zdrajcę ojczyzny”. Autor proponował takie „nagrody”, jak „darmowy lot przez komin w Auschwitz”; ulotka była szyderstwem z ofiar Holokaustu.

Przez Niemcy przetoczyła się fala oburzenia. Aiwanger zaprzeczył, jakoby był autorem ulotki, ale jego dni w polityce

wydawały się policzone. Uratował go starszy brat, który oświadczył, że to on napisał ulotkę, bo był sfrustrowany tym, że nie przeszedł do następnej klasy (bracia chodzili do tej samej szkoły).

Hubert Aiwanger zarzucił lewicowym mediom prowadzenie kampanii przeciwnemu, a poparcie dla Wolnych Wyborców wzrosło. Jego pozycja jako lidera partii jest niezachwiana.

Bawaria najpierw

Aiwanger wie, jak trafić do serc swoich wyborców. Dla Bawarczyków ich land to najpiękniejszy skrawek Niemiec, jeśli nie Europy. Ludzie są tu najbardziej życzliwi, a zarazem najbardziej przedsiębiorczy. Jest Bawaria, potem długo, długo nic, a dopiero potem pozostałych 15 innych niemieckich landów.

Dlatego interesy Bawarii mają być na pierwszym miejscu. Rząd z Monachium zaoferował w tym roku nauczycielom z innych landów bonus o wartości 3 tys. euro, jeśli zdecydują się na przeprowadzkę. Aiwanger uważa, że jest to rozwiązanie konieczne krótkoterminowo, ale nie optymalne. – Już teraz musimy oddawać 10 mld euro do federalnej kasy. Jeśli jeszcze więcej zdolnych ludzi przeprowadzi się z innych terenów do nas, to suma, którą będziemy musieli dokładać, tylko się zwiększy – mówi z przekąsem.

W pewnym sensie liczby przyznają dumnym Bawarczykom rację. Land zamieszkuje blisko 13,4 mln ludzi, więcej niż populacja Czech. Trzy dekady temu było ich o 2 mln mniej. Ludność regionu się więc powiększa, podczas gdy w pozostałych częściach Niemiec coraz bardziej daje o sobie znać kryzys demograficzny.

Ludzi przyciągają nie tylko piękno krajobrazów. W Monachium swoje niemieckie siedziby mają Google i Meta (do niej należy m.in. Facebook). Przemysł nakręcający motoryzacyjne legendy, BMW i Audi, jak też setki mniej znanych firm, które z powodzeniem eksportują swoje produkty na cały świat.

Osiem z czterdziestu największych niemieckich koncernów działa na terenie Bawarii. Klub piłkarski Bayern Monachium od ponad 10 lat co roku wygrywa Bundesligę, a bawarscy uczniowie w wynikach biją na głowę resztę kraju.

Do tego dochodzą przychody z turystyki. Ponad 6 mln gości odwiedza Oktoberfest. Półtora miliona zwiedza co roku



LUKASZ GRAJEWSKI

Christian Dahncke, główny piwowar browaru Paulaner, Monachium, wrzesień 2023 r.

bajkowy zamek Neuschwanstein, który w swoim logo uwiecznił Disney. Poważna turystyka narciarska jest na terenie Niemiec możliwa w zasadzie tylko w Bawarii. A kto zwiedzi baśniowy Bamberg, dotrze do jeziora Chiemsee lub stanie na szczycie Zugspitze, najwyższego niemieckiego wierzchołka Alp (2922 m n.p.m.), ten szybko zrozumie gorące uczucie, jakim swoją małą ojczyznę darzą Bawarczycy.

Chadecy śladem Wittelsbachów

Region ten był na przestrzeni wieków rządzony przez wielu nietuzinkowych władców, co nie pozostaje bez znaczenia także w kontekście najbliższych wyborów. Król Ludwik I, gdy na jego polecenie w Monachium wzniesiono 18-metrowy posąg z brązu przedstawiający symboliczną Bawarię, miał powiedzieć: „Neron i ja jesteśmy jedynymi, którzy dokonali tak wielkich rzeczy”. Jego wnuk Ludwik II, zwany Bajkowym Królem, był pomysłodawcą wspomnianego zamku Neuschwanstein.

W wieku XX to w Monachium Adolf Hitler stworzył i rozwijał struktury swojej partii. A również w okresie powojennym bawarska scena polityczna nie cierpiała na brak mężczyzny o przerośniętym ego. Franz Josef Strauß, legendarny premier landu w latach 1978-88, prowadził własną politykę gospodarczą i zagraniczną, chwilami niemalże niezależną od władz w Bonn, stolicy Niemiec Zachodnich. Gdy postanowił przeprowadzić rozmowy z władzami Związku Sowieckiego, do Moskwy udał się prywatną awionetką, którą sam pilotował, co podczas awaryjnego lądowania prawie skończyło się tragedią.

Również Markus Söder, który funkcję premiera Bawarii sprawuje od 2018 r., wpisuje się w regionalny charakter. Jak podkreślają wszyscy rozmówcy napotkani w Monachium, to człowiek wyprany z poglądów, którego motywuje przede wszystkim pragnienie władzy. Gdy w poprzednich wyborach nie wykluczał taktycznej koalicji z Zielonymi, pozował do zdjęć, obejmując drzewa. Teraz, gdy koalicja z tą partią mu się nie kalkuluje, niemal codziennie oskarża Zielonych o wszelkie zło.

W kampanii Söder stylizuje się na figurę ojca, który uchroni Bawarczyków przed zewnętrznymi zagrożeniami. Podobnie, jak Aiwanger, jego koalicyjny partner z Wolnych Wyborców, również Söder najlepiej czuje się w formacie przemówień w namiotach piwnych. Choć tajemnicą poliszynela jest, że piwa nie lubi. Kufel odstawia na bok od razu po zakończeniu sesji zdjęciowej.

Nic nie trwa wiecznie

Ponieważ kampania skupia się głównie na jego osobie, to również na barkach Markusa Södera spoczywa odpowiedzialność za przedłużenie rządów Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU), której jest przewodniczącym. CSU to kolejny bawarski fenomen: ta chadecka partia działa tylko regionalnie i sprawuje władzę w Bawarii nieprzerwanie od 1957 r. W wyborach do Bundestagu łączy siły z również chadecką Unią Chrześcijańsko-Demokratyczną (CDU).

Politycy CSU lubią pół żartem, pół serio rzucać aluzje, że władzę w królestwie Bawarii przez ponad 700 lat sprawowała dynastia Wittelsbachów. W poprzed-

nich dekadach CSU wielokrotnie otrzymywała grubo ponad 50 proc. głosów i rządziła samodzielnie. Głos na CSU był dla mieszkańców przede wszystkim większych terenów taką oczywistością, jak niedzielna wizyta w kościele.

Obecnie w tym wciąż najbardziej religijnym regionie Niemiec ludzie masowo odchodzą z Kościoła katolickiego. Tylko w 2022 r. oficjalnie wypisało się ponad 150 tys. wiernych. Niegdyś Monachium nazywane było „niemieckim Rzymem” i „miastem 365 kościołów”. Teraz w monumentalnej katedrze Najświętszej Marii Panny w historycznym centrum księdzu odprowadzającemu mszę towarzyszy głównie grupka zagubionych turystów.

Ugrupowanie Södera na pewno wygra i te wybory, w ostatnich sondażach może liczyć na 36 proc. głosów. Dzięki temu w przyszłej koalicji z Wolnymi Wyborcami będzie dalej grać pierwsze skrzypce. Widać jednak, że nie jest to już taka polityczna dominacja, jak niegdyś.

Formuła na przyszłość

Czas po wyborach będzie również okresem dochodzenia do siebie po blisko trzytygodniowych szaleństwach związanych z Oktoberfestem. Bawarczycy będą musieli stanąć w prawdzie, że także ich mała ojczyzna ma własne problemy.

To przykładowo horrendalnie wysokie koszty wynajmu mieszkań i życia, które coraz bardziej hamują napływ nowych mieszkańców. To nierozwinięty sektor odnawialnych źródeł energii, bo dotychczasowa linia rządzących była taka, że Bawaria jest przecież zbyt piękna, żeby stawać tu jakieś wiatraki. Tylko że po zamknięciu elektrowni atomowych przemysł coraz bardziej cierpi z powodu wysokich cen prądu.

To w końcu także styl uprawiania polityki przez rządzących. Ile by nie powtarzać, że kampania w czasie piwnych festynów rządzi się własnymi prawami, to jeśli Bawaria chce faktycznie być prymusem wśród landów, musi wymyślić dla siebie lepszą formułę na przyszłość niż trwanie w samouwielebiu i odgradzanie się od zewnętrznych problemów.

Taka wizja przebiegała się najbardziej w czasie kampanii polityków, którzy najpewniej będą dalej sprawować tu władzę. A przecież Oktoberfest jest dowodem, że największym magnesem Bawarii jest jej otwartość. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

Między nami dobrze jest, do ataku, zabić, zjeść!

ANNA KWIATKOWSKA

Dyskusja o tym, co wciąż dzieli wschód i zachód Niemiec, z biegiem lat jest coraz bardziej emocjonalna. Przypomina dyskurs polsko-niemiecki. Czyżby droga do pojednania między naszymi społeczeństwami wiodła przez wschodnie Niemcy?

OSTATNIA WIELKA ODSŁONA GORĄCYCH dyskusji na temat tego, czy mimo formalnego połączenia się – nastąpiło to 33 lata temu, 3 października 1990 r. – Niemcy nadal są podzielone, przetoczyła się za Odrą w 2020 r., z okazji 30. rocznicy zjednoczenia. Rzecz znamienita: w zależności od poglądów rozmówcy, słyszało się wtedy albo o rocznicy „zjednoczenia”, albo też „przyłączenia” (tj. byłych komunistycznych Niemiec Wschodnich do demokratycznej Republiki Federalnej), albo wręcz o „aneksji” byłej NRD (tu padało słowo Anschluss, historycznie odnoszące się do aneksji Austrii do III Rzeszy w 1938 r.).

Dziś panele dyskusyjne, medialne doniesienia, a nawet prywatne rozmowy rozgrzewa spór wokół kilku książek, które ukazały się ostatnio na temat NRD i powstałych w jej miejscu po 1990 r. wschodnich landów (pisał o tym także Piotr Bernardyn w „TP” nr 25/2023).

Nie żeby wcześniej takich publikacji i głosów brakowało. Owszem, na ten temat ukazywały się niezliczone wydawnictwa naukowe, książki publicystyczne i dziennikarskie debaty. Jednak wspólną cechą charakterystyczną tych obecnych są ich emocjonalność i bezceremonialność – zresztą niechętnie widziane na salonach, podobnie jak ich poetyka, często pełna gniewu i frustracji. Dużo również w tych dyskusjach jest niezrozumienia i daremnego lub bezpodstawnego (załży, od której strony patrzeć) oczekiwania wdzięczności.

Brzmi znajomo? Ależ tak! Czasem można odnieść wrażenie, jakbyśmy obserwowali tutaj nie dyskurs o stosunkach niemiecko-niemieckich, lecz o polsko-

-niemieckich. Co rusz napotkać można analogie i skojarzenia.

Nie będzie Niemiec Niemcowi bratem

Brak jedności i wspólnotowości, niezrozumienie, niedoceny, niewłączenie, niepojednania, a na końcu także niewiedza wypełniają litanie pretensji Niemców wschodnich pod adresem ich rodaków z zachodniej części kraju. Parafrazując Dorotę Masłowską, Niemcy żyją w braku pojednania.

Ta wyliczanka zarzutów jest jednak głównie odpowiedzią na atak. Niemcy zachodni permanentnie oskarżają bowiem Niemców wschodnich o „dzielenie społeczeństwa”, o radykalizację, o bycie komunistami lub faszystami (albo tym i tym naraz), a w końcu także o wspieranie rosnącej w siłę Alternatywy dla Niemiec, coraz niebezpieczniejszej i coraz bardziej nacjonalistycznej (w sondażach poparcia AfD jest dziś na pierwszym miejscu w czterech z pięciu landów wschodnich, które kiedyś składały się na NRD: w Saksonii, Turynii, Brandenburgii i Meklemburgii-Pomorzu Przednim; wszędzie tam ma 32-33 proc.).

Fascynujące jest przy tym, jak bardzo ta kolekcja oskarżeń pod adresem wschodnich Niemców pokrywa się z zarzutami, które niemiecki „mainstream”, zdominowany przez Niemców z zachodnich landów, kieruje pod adresem wielu społeczeństw Europy Środkowej i Wschodniej, w tym polskiego.

I równie interesujące jest, jak bardzo pretensje pod adresem własnego państwa oraz współobywateli, artykułowane przez mieszkańców niemieckich landów

wschodnich, przypominają te, które kierowane są przez Polaków pod adresem Niemiec.

Jak Zachód ocenia Wschód (i nas)

Czyżby więc jedynym sposobem, aby doszło do pojednania i porozumienia polsko-niemieckiego, miało być porozumienie się wschodnich i zachodnich Niemców? Czy tylko znalezienie autentycznego pojednania między Odrą a Renem ma szansę zaowocować porozumieniem między Polakami a Niemcami?

Do takich właśnie wniosków można dojść, śledząc niemiecko-niemieckie debaty. Uzmysławiamy sobie wówczas, że główne zarzuty artykułowane w tym dyskursie ogniskują się wokół tego, jak Zachód postrzega Wschód – i jak w związku z tym go traktuje.

Niemcy ze wschodnich landów słusznie konstatają, że bez przezwyciężenia wszechobecnego uprzedzeń i błędnej polityki porozumienie na partnerskich zasadach będzie niemożliwe.

Po pierwsze, w Republice Federalnej diagnozuje się dominację narracji, także tej historycznej, w której Zachód przedstawiany jest jako norma i normalność oraz postrzegany pozytywnie, Wschód zaś jako wynaturzenie, aberracja, ewentualnie jako coś, co znajduje się na niższym poziomie rozwoju i do Zachodu ma się dostosować, czy też nadgonić swoje zapóźnienie.

Po drugie, „tych ze Wschodu” traktuje się jako „niepełnych” bądź „przysposobionych” Niemców (w przypadku obywateli państw Europy Środkowej i Wschodniej mieliby to być niepełni czy wybrakowani Europejczycy). Nawet o Angeli Merkel pisano kiedyś jako o „przyuczonej Niemce” (niem. *angelerte*), którą biografia rodem z NRD miała „obciążać”. Konstatoowano, że pomimo to (sic!) jakoś sobie poradziła.

Po trzecie wreszcie, nadal żywe są konsekwencje dość powszechnej w latach 90. XX w. manieri postrzegania i przedstawiania „wschodniaków” (niem. *Ossis*) jako generalnie nienadających się (niem. *unfähig*), niedostatecznie wykształconych, z „zepsutymi (przez system) głowami” lub „bezrozumnych”, niezdolnych do udźwignięcia poważnych zadań i sprawowania ważnych stanowisk.



*Trabant
– dla wielu
symbol NRD
– z wyborczymi
hasłami
Sebastiana
Wippela,
kandydata
AfD
na burmistrza
Görlitz, 2019 r.*

Niedoreprezentowani

To ostatnie skutkuje brakiem adekwatnej reprezentacji, a w konsekwencji brakiem poczucia sprawczości. Z najnowszego „Monitora elit” – projektu wschodniemieckich uniwersytetów – wynika jasno, że wschodni Niemcy są niedoreprezentowani w elitach.

I tak, według danych za rok 2022 jedynie 12,2 proc. najwyższych stanowisk kierowniczych w ważnych instytucjach państwowych i obywatelskich zajmowali Niemcy wschodni – przy ich udziale w populacji wynoszącym 20 procent. W mediach stanowią oni tylko 8,1 proc. ścisłego kierownictwa, w kulturze 8 proc., w biznesie i stowarzyszeniach pracodawców jedynie 4,3 procent. Również w elitach naukowych odsetek Niemców wschodnich, wynoszący 8,2 proc., nie jest nawet w połowie tak wysoki jak ich udział w populacji. W sądownictwie jest on wręcz znikomy i wynosi 2,1 procent.

Do tego dochodzi problem strukturalny, jakim są nadal niższe płace we wschodnich krajach związkowych – zarabia się tutaj średnio o ok. 22 proc. mniej za tę samą pracę niż w zachodnich landach.

Postulaty wschodnich Niemców są jasne. Wszystko, co powyżej opisane, musi się radykalnie zmienić. „Wschodniacy” nie chcą być już traktowani jak dzieci specjalnej troski i nie godzą się na ofero-
wanie im „opieki” w paternalistycznej formie, którą odczytują jako ubezwłasnowolniającą. Nie chcą np. specjalnych dodatków do ogólnoniemieckich gazet

adresowanych jedynie do mieszkańców wschodnich landów. Nie chcą też urzędu pełnomocnika rządu federalnego ds. Wschodu. Chcą za to reprezentacji i równych plac. Bez tego nie ma demokracji, na tym żeruje Alternatywa dla Niemiec.

Pojednać się ze Wschodem

Przewyciężenie stereotypów i przyznanie równych praw wschodnim Niemcom, a nawet sama debata na ten temat w Niemczech mogą mieć zbawienne skutki także dla stosunków polsko-niemieckich.

Wyobraźmy sobie, że Niemcom wschodnim udałoby się przeorać świadomość i zmienić politykę zdominowaną przez „zachodniaków” mediów i instytucji państwowych. Czy ich zarzuty i postulaty zmian nie są w dużej części naszymi, tyle że nasze rozciągają się na Europę, w tym na Niemcy? „Zmienimy debatę na Zachodzie o Wschodzie, bo ta obecna jest cyniczna, ahistoryczna, arogancka”. „Wywalczmy obecność i reprezentację opowieści w mediach, bo obecne budują narrację o Wschodzie z perspektywy Zachodu”. „Zaprzestańmy nauczania historii wyłącznie z zachodniej perspektywy”. Jeśli Niemcom wschodnim udałoby się taka reedukacja ich rodaków z Zachodu, wtedy Polska i inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej prawdopodobnie wiele by na tym skorzystały.

Jednocześnie polska polityka mogłaby rozważyć zmianę podejścia do niemieckiego Wschodu i jego mieszkańców. Z badań (m.in. Polskiego Insty-

tutu Spraw Międzynarodowych), przeprowadzanych w Niemczech na temat stosunków polsko-niemieckich wynika, że mieszkańcy Wschodu lepiej znają Polskę, mają tu więcej kontaktów i interesują się nią w większym stopniu niż Niemcy z Zachodu.

Polska Ossipolityk

To niewykorzystany potencjał w naszych relacjach. Warto więc zdyswersyfikować działania polskiej dyplomacji, ale też biznesu i intensywniej spotykać się oraz współpracować z przedstawicielami niemieckich landów wschodnich wszelkich szczebli urzędniczych, instytucji oraz organizacji rządowych, pozarządowych czy kulturalnych. Mimo że dzielą nas także tematy trudne, np. stosunek do Rosji.

Taka zintensyfikowana współpraca z landami wschodnimi raczej nie spodoba się w Berlinie. Ale niemieccy politycy w końcu także prowadzą niejednolitą politykę wobec różnych grup i instytucji w Polsce, a nawet wobec różnych części naszego kraju. Potraktujmy to jako dobrą praktykę i zamiast podejmować mało skuteczne próby zmiany polityki sąsiada, zmodyfikujmy swoją. ©

Autorka kieruje od 2005 r. zespołem Niemiec i Europy Północnej w Ośrodku Studiów Wschodnich imienia Marka Karpią w Warszawie.

Tytuł tekstu jest cytatem z piosenki „Między nami dobrze jest” punkowego zespołu Siekiera.

Maharadża i Pięcioro Oczu

WOJCIECH JAGIELSKI

Europa i USA były już niemal pewne, że w konfrontacji z Chinami i Rosją udało im się zyskać sprzymierzeńca w Indiach, gdy jeden z zachodnich przywódców oskarżył Delhi o polityczne gangsterstwo.

W RZESIEŃ TEGO ROKU MIAŁ BYĆ DLA indyjskiego premiera Narendry Modiego miesiącem jego największego triumfu.

Kilka miesięcy wcześniej w świat poszła wiadomość, że Indie liczą już ponad 1,4 mld mieszkańców i że wyprzedziły Chiny, stając się najludniejszym krajem na ziemi. A także, że ich gospodarka rozwija się najszybciej na świecie. Podano też, że Indie są już bogatsze niż Wielka Brytania (ich była kolonialna metropolia), a za kilka lat wyprzedzą pod względem bogactwa także Japonię i Niemcy – ustępując (jeszcze) tylko Stanom Zjednoczonym i Chinom.

Do największych i najlepiej uzbrojonych na świecie od lat zalicza się indyjskie wojsko, a dyplomaci z Delhi dobijają się, by ich kraj został włączony do elitarnego klubu stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ (dziś należą do niej USA, Wielka Brytania, Francja, Chiny i Rosja).

Za symbol niezwykłego wzrostu znaczenia Indii uznano też kariery wywozujących się z nich polityków. Rishi Sunak, którego rodzice pochodzą z Pendżabu, jest premierem Wielkiej Brytanii. Leo Varadkar, którego ojciec przybył z Bombaju (dziś Mumbai), rządzi Irlandią. Z tej części Pendżabu, która po po-



Sikhijscy demonstranci palą indyjskie flagi i deptają portret premiera Narendry Modiego przed konsulem generalnym Indii. Toronto, Kanada, 25 września 2023 r.

dziale brytyjskich Indii przypadła Pakistanowi, pochodzi rodzina premiera Szkocji Hamzy Haroona Yusufa. Burmistrzem Londynu jest Sadiq Khan, którego ojciec muzułmanin podczas rozbioru Indii uciekł do Pakistanu z indyjskiego Uttar Pradeś. Z Indiami spowinowacana jest wiceprezydent USA Kamala Harris (przez matkę pochodzącą z Madrasu-Czennai; jej ojciec pochodził z Jamajki). Prezesem Banku Światowego jest Ajay Banga, obywatel USA pochodzący z sikhijskiej rodziny z Maharasztry.

Król subkontynentu

Sławą najwybitniejszego ze współczesnych synów Indii cieszy się jednak 73-letni Narendra Modi. Premier, arcy-mistrz prawicowego populizmu, który odwołując się do hinduskiego nacjonalizmu rządzi Indiami już od prawie 10 lat. Za rok, w kolejnych wyborach, najpewniej przedłuży panowanie o kolejną pięciolatkę. Jego życie przypomina baśń o tym, jak biedak i ulicznik zostaje maharadzą, niemalże królem indyjskiego subkontynentu.

To pod jego rządami Indie, ten bogaty kraj biednych ludzi, wybiły się na światową potęgę. Ameryka, Japonia i Australia zaprosiły je do klubu QUAD, konkurującego na Pacyfiku z Chinami. Po-

nadto Indie należą też do klubu BRICS (z Brazylią, Rosją, Chinami i Południową Afryką), a także do Szanghajskiej Organizacji Współpracy; obie organizacje konkurują z Zachodem.

Niedawno, we wrześniu, Indie były gospodarzem dorocznej narady przywódców państw G-20, grupy najbogatszych i najbardziej wpływowych krajów świata. Dla Modiego, który latem był goszczony z honorami w Waszyngtonie i Paryżu, to spotkanie na szczycie światowych potęg w indyjskiej stolicy miało być ukoronowaniem jego wspinaczki na najwyższe polityczne szczyty.

I zakończyłoby się triumfem Hindusa, gdyby nie to, że niedługo po wyjeździe z Delhi, w poniedziałek 18 września, premier Kanady Justin Trudeau oskarżył go o to, że podległe Modiemu służby wywiadowcze zabiły w Kanadzie indyjskiego dysydenta.

Zabić sikha

„Mamy wiarygodne powody, by sądzić, iż oficerowie wywiadu podlegli indyjskiemu rządowi są powiązani z zabójstwem kanadyjskiego obywatela w Kanadzie – obwieścił Justin Trudeau w kanadyjskim parlamencie. – Jeśli potwierdzi to prowadzone wciąż śledztwo, będziemy mieli do czynienia z niedopusz-

czalnym pogwałceniem naszej suwerenności”.

Trudeau mówił o zabójstwie 45-letniego sikh Hardeepa Singha Nijjara, który został zastrzelony w czerwcu na przedmieściu Vancouver. Zabójców nie udało się schwycić. Sikh, który wyjechał z Indii do Kanady, a w 2007 r. otrzymał jej obywatelstwo, był działaczem emigracyjnego ruchu na rzecz powstania Chalistanu, niepodległego państwa sikhów. Chalistańczycy zamierzają je wykroić z indyjskiego Pendżabu. W latach 80. i 90. XX wieku powstanie zbrojne zwolenników Chalistanu pochłonęło w Indiach życie kilkudziesięciu tysięcy ludzi – w tym premier Indiry Gandhi, zastrzelonej przez sikhijskich zamachowców.

Wprawdzie ruch na rzecz niepodległego Chalistanu nie cieszy się dziś już na terenie indyjskiego Pendżabu dużym poparciem, za to wciąż ma wielu zwolenników w kilkumilionowej sikhijskiej diasporze, rozsianej po Wielkiej Brytanii, Australii i USA, a najliczniejszej w Kanadzie (mieszka tam prawie milion sikhów).

Indie uważają chalistańskich działaczy za terrorystów. Od lat domagają się, by rządy w Londynie, Waszyngtonie, Canberze i Ottawie położyły kres ich działalności, i nie mogą pogodzić się z tym, że ich próśby i żądania są zbywane tłumaczeniami o wolności słowa i zgromadzeń.

Dyplomatyczna wymiana ciosów

Na oskarżenie kanadyjskiego premiera Indie odpowiedziały oburzeniem. „To wierutne bzdury” – oznajmił rzecznik ministerstwa dyplomacji i zarzucił Kanadzie, że to ona powinna uderzyć się w piersi, bo od lat wspiera terrorystów. Gdy rząd w Ottawie wyrzucił z kraju szefa kanadyjskiej komórki indyjskiego wywiadu RAW – oficjalnie pracującego w indyjskiej ambasadzie – w odpowiedzi rząd w Delhi wyrzucił jednego kanadyjskiego dyplomatę i wstrzymał wydawanie wiz kanadyjskim obywatelom.

Indie nie spuściły z tonu nawet po tym, jak przedstawiciele rządu Kanady i ambasador USA w Ottawie oznajmili, że źródłem kanadyjskich podejrzeń są informacje wywiadowcze pozyskane przez tzw. Sojusz Pięciorga Oczu – to przymierze wywiadów USA, Kanady, Wielkiej Bry-

tanii, Australii i Nowej Zelandii, których stacje nasłuchowe wywiadu elektronicznego opłatają bez mała cały glob.

Także politycy z Waszyngtonu, Londynu i Ottawy sugerowali w wypowiedziach (anonimowych), że premier Trudeau nie wystąpiłby z tak ciężkim oskarżeniem, gdyby nie miał do tego poważnych powodów.

Trudeau dodał, że zarówno on, jak też prezydent USA Joe Biden rozmawiali o tej sprawie z premierem Modim podczas spotkania G-20 w Delhi, ale że ten zbył ich milczeniem. Trudeau tłumaczył też, że z powodu toczącego się wciąż śledztwa nie może ujawnić żadnych dowodów, i że Kanada współpracuje tu ściśle z USA. Wezwał również Indie, by potraktowały całą sprawę z należytą powagą i pomogły w wykryciu i ukaraniu winnych zabójstwa.

Kłopotliwi przyjaciele

Kanadyjsko-indyjska wojna dyplomatyczna wybuchła w najgorszym momencie. Przywódcy Zachodu wyjechali ze spotkania G-20 w Delhi wierząc, że udało im się przekonać Modiego, iż tylko w przymierzu ze światem zachodnim Indie staną się trwale światowym mocarstwem, wygrają wyścig z Chinami, oraz że także dzięki temu Zachód będzie górą w globalnej rywalizacji z Pekinem i Moskwą.

Prezydenci Chin i Rosji nie przyjechali w ogóle do Delhi, a Biden za podwójny sukces delhijskiej narady uznał, po pierwsze, jej końcową deklarację (kraje G-20 nie potępiły w niej wprawdzie rosyjskiego najazdu na Ukrainę, ale nie wystąpiły też w obronie Kremla), po drugie zaś – czy nawet przede wszystkim – zapowiedź wspólnej z Hindusami i Saudyjczykami budowy wielkiego szlaku handlowego, mającego być alternatywą dla chińskiego szlaku „Jednego Pasa, Jednej Drogi” (współczesnego Jedwabnego Szlaku).

Oskarżenia Kanadyjczyków sprawiły, że w dyplomatycznym szpagacie znaleźli się zwłaszcza Amerykanie. Nie wspierając Kanady, odwróciliby się od starego i sprawdzonego przyjaciela, w dodatku sojusznika z NATO. Stając jednak po stronie Kanady, narażają się na utratę Indii, dopiero co pozyskanego i trudnego sprzymierzeńca, potrzebnego, by przeciwstawić się Rosji, i niezbędnego, by przeciwstawić się Chinom.

Brytyjczycy i Australijczycy, partnerzy w sojuszu „Pięciorga Oczu”, mogą sobie pozwolić na to, by ograniczyć się do „wyrażenia zaniepokojenia” i wzywać do „najwyższej powagi” oraz „pełnego wyjaśnienia”. Amerykanie, przywódcy Zachodu, wezwali Indie, by pomogły Kanadyjczykom w śledztwie, ale też woła – jak na razie – unikać jednoznacznych wypowiedzi. „Indie, bez dwóch zdań, są krajem o wielkim i coraz bardziej rosnącym znaczeniu i musimy z nimi współdziałać – mówił Trudeau w parlamencie. – Nie chcemy powodować kłopotów, ale nie możemy udawać, że nie widzimy, jak łamane jest prawo, i nie możemy bronić bezpieczeństwa naszych obywateli. To kwestia zasad i wartości”.

Wartości i polityka realna

Prezydent USA oraz premierzy Wielkiej Brytanii, Australii i Nowej Zelandii podzielają te zasady i wartości, choć w polityce, zwłaszcza tej największej, światowej, zwykle ustępują one pierwszeństwa tzw. sprawom wyższej konieczności. W czasach nowej zimnej wojny nawet Stanów nie stać na to, by w imię najważniejszych zasad i najświętszych wartości wyprzeć się sprzymierzeńców, którzy tych zasad i wartości nie podzielają, i z którymi w innej sytuacji byłoby im nie po drodze.

Walcząc w 2020 r. o prezydenturę, Biden zapowiadał, że uczyni pariasem saudyjskiego księcia Mohammeda ibn Salmana za to, że w 2018 r. ten kazał zabić do konsulatu królestwa w Stambule i zgładzić dysydenta Dżamala Chaszogdziego, obywatela USA (potwierdziły to ustalenia CIA). Już jako prezydent, chcąc nie chcąc Biden pogodził się jednak z saudyjskim następcą tronu, bo potrzebuje go w rywalizacji z Chinami i Rosją. Indii potrzebuje dziś jeszcze bardziej.

Indyjskiemu maharadży, Modiemu, cała ta awantura ułatwi tylko utrzymanie się u władzy. Nieustępliwość w sporze z Zachodem i bezwzględność w walce z rodzimymi przeciwnikami politycznymi (muzułmanami, sikhami i chrześcijanami) – wszystkich ich Modi wyklina jako wrogów Indii – pomoże mu ożywić patriotyczne wzmożenie wśród Hinduśców. Oraz umocnić własną legendę nieustraszonego przywódcy-wojownika, pogromcy demonów. ©



Dmytro Sołowjow na swojej wystawie „Dziedzictwo modernizmu w Zaporozh'ju”. Zaporozh'je, sierpień 2023 r.



Budynek Politechniki Lwowskiej, lata 70. XX wieku. Projekt Pawła Maryjew



Typowy blok budownictwa socjalistycznego po ataku rosyjskim. Awdyjiwka, maj 2023 r.

Don Kichot znad Dniepru

ANTONINA PALARCZYK Z ZAPOROŻA

Dmytro Sołowjow przeciwstawia się niszczeniu architektonicznych śladów sowieckiego modernizmu. Dziś nie jest to w Ukrainie postawa popularna. Spotkaliśmy go w jego rodzinnym mieście.

GDYBY ZAPYTAĆ GO, CZY JEST UKRAIŃSKIM PATRIOTĄ, oburzyłby się na samo pytanie.

A jednak pewnie nie jeden je sobie zadaje, gdy słyszy, o co walczy Dmytro Sołowjow – ten 33-letni absolwent filologii ukraińskiej na uniwersytecie w rodzinnym Zaporozh'ju, a z pasji fotograf, miejski aktywista i przewodnik po zabytkach architektury modernistycznej.

Na Instagramie i Facebooku, które są jego narzędziem (można go tu znaleźć pod hasłem „ukrainian modernism”), równie skrupulatnie odnotowuje zniszczenie każdego kolejnego obiektu architektonicznego przez rosyjską bombę, jak też każdy modernistyczny budynek czy mozaikę na przydrożnym przystanku, które zostały zdemontowane przez lokalne władze ukraińskie. Nie byłoby to może niezwykle, gdyby nie jeden szczegół: ukraiński modernizm w architekturze – to modernizm z czasów sowieckiej Ukrainy.

TAKŻE NASZ SPADEK | Skąd taka pasja u niego, mieszkańca kraju postsowieckiego, którego obywatela coraz mniej życzliwie patrzą – zwłaszcza po 24 lutego 2022 r. – na ślady sowieckiej przeszłości?

– Modernizm to styl międzynarodowy. Możesz go znaleźć w każdym miejscu świata, to zjawisko globalne – tłumaczy Dmytro. – W Ukrainie ma swoje piętno, bo ten okres w architekturze przypadł na czas, gdy nasz kraj był częścią Związku Sowieckiego. Ludzie odnoszą się do niego niechętnie tylko dlatego, że powstał w sowieckiej epoce.

Sołowjow przyznaje: – Od rozpoczęcia pełnoskalowej wojny przekonywanie Ukraińców do tej architektury i do ukraińskiego dziedzictwa modernistycznego jest jeszcze trudniejsze niż przedtem. W Związku Sowieckim

Ukraina nie miała wiele do powiedzenia, ale też wszystko tutaj powstawało rękami Ukraińców. I ta ukraińskość jest kluczem. Staram się o tym właśnie opowiedzieć: że każda mozaika została stworzona przez ukraińskiego artystę, każdy budynek został zaprojektowany przez ukraińskiego architekta. To nasz spadek.

– W jednym z przemówień Putin powiedział, że całe sowieckie dziedzictwo należy do Rosji – irytuje się. – Z jakiegoś powodu wielu Ukraińców zgodziło się z nim, mówiąc: „No jasne, zabierajcie się z tym”. Lokalne władze i narodowi aktywiści zaczęli niszczyć mozaiki, burzyć pomniki wielkiej wojny ojczyźnianej, zwłaszcza w zachodniej Ukrainie, nawet jeśli były to pomniki stawiane Ukraińcom walczącym przeciw z niżm.

– To dla mnie dziwne – dodaje – zważywszy, ilu naszych przodków zginęło w tej wojnie, walcząc z nazistami. A teraz słyszę, że „to rosyjski pomnik, trzeba go zburzyć”. Ależ on jest ukraiński! To niszczenie naszego dziedzictwa. Bo to jest przeszłość, której nie możemy zmienić.

MIĘDZY TRENDAMI | Ukraińskie dziedzictwo architektoniczne jest dziś między młotem a kowadłem. Kowadłem są lokalne władze, które starają się wpasować w obecny trend antysowieckości i bez skrupułów burzą architekturę z tych czasów. Dmytro: – Nazywają ten populistyczny gest patriotyzmem. A dokonujący tego politycy prawicowych ugrupowań mają w tym własną polityczną agendę, by dopieć rywalom z innych partii.

Młotem zaś są rosyjskie pociski. One starły z powierzchni ziemi choćby unikalne mozaiki w Mariupolu. Na skutek rosyjskiego ostrzału ucierpiał wyjątkowy modernistyczny dworzec w Dnieprze.

Ostatnio głośna była decyzja o zamianie symboliki na Pomniku Matki Ojczyzny – to monumentalna statua czuwająca nad Kijowem – z sierpa i młota na ukraiński tryzub. Sołowjow jest w grupie tych, którzy są sceptyczni: – To dalszy ciąg przepisywania historii na nowo. Pomnik jest na wskroś socrealistyczny, a teraz na miejsce sierpa i młota pojawiło się na nim godło niepodległej Ukrainy. To ze sobą nie gra. To jak podmienianie na aucie logo marki: to wciąż mercedes, choć z logo audi. Jeśli chcesz

usunąć sowiecką symbolikę, zrób to, ale zostaw pustą przestrzeń. To najuczciwsze rozwiązanie.

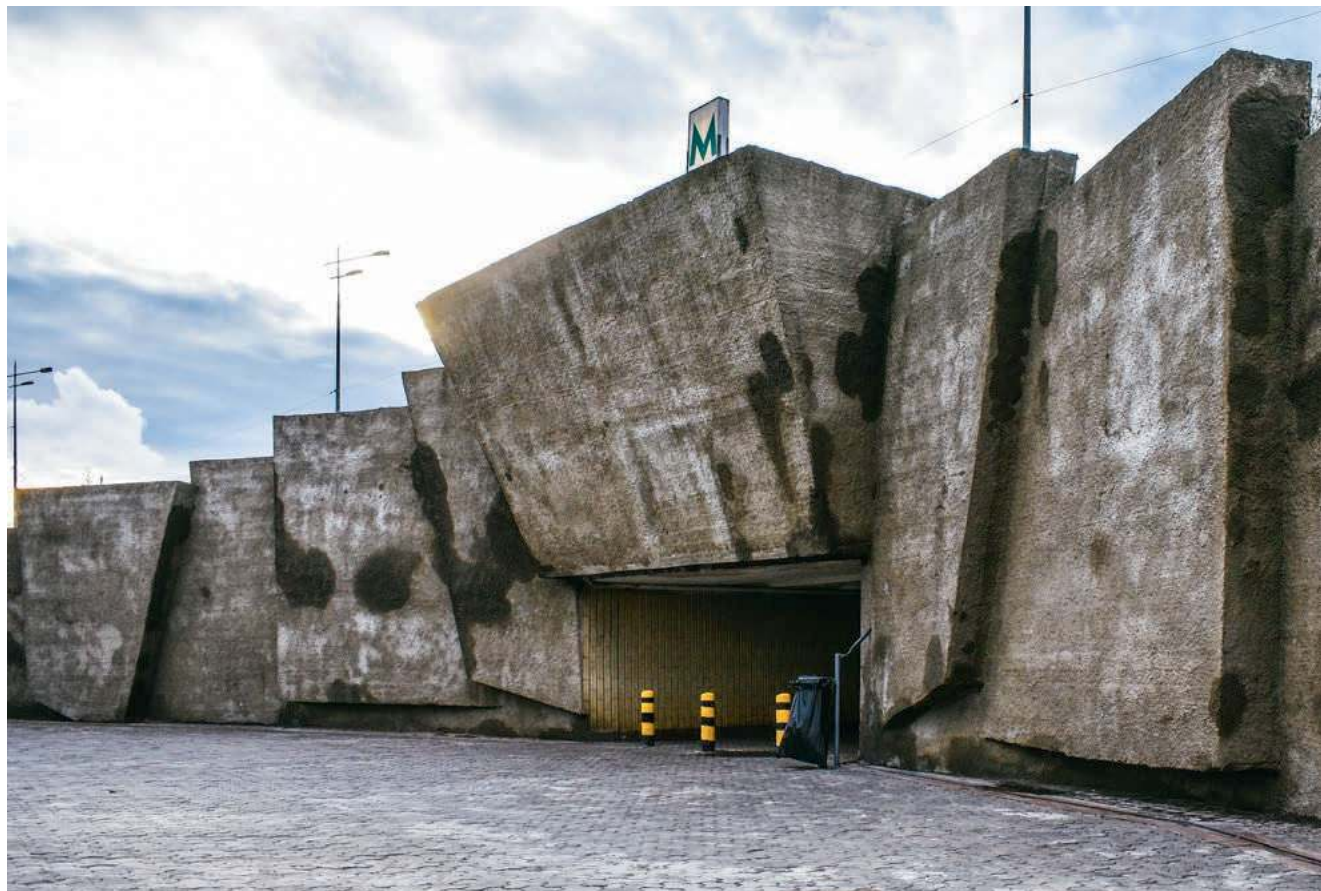
Jednak zamiana symboli sowieckich na tryzub zadowolili niemal wszystkich – oponuje. Sołowjow: – To zrozumiałe, ten gest odczytano jako małe zwycięstwo, i to niewymagające wysiłku. To kolejna upolityczniona kwestia, tak jak ustawy dekomunizacyjne z 2015 r.

Podpisane przez prezydenta Poroszenkę, cztery ustawy dotyczyły usuwania pomników komunistycznych i zmian nazw związanych z komunizmem. Wzbudziły wówczas spory ze względu na zarzut o ograniczenie wolności słowa i na profil historyczny bohaterów, których honorowały (w tym bojowników UPA).

ŁUDZIE, NIE MASZYNA | Aktywność Sołowjowa śledzi na Instagramie ponad 100 tys. osób – dużo, zważywszy na jego poglądy i, nazwijmy to, wąską specjalizację.

– Około 40 proc. z moich obserwatorów to Ukraińcy, pozostali to obcokrajowcy – opowiada. – Teraz, ze względu na wojnę, niewielu jest zagranicznych ➔

Brutalistyczne wejście do stacji metra Sławutycz w Kijowie i przejście podziemne pod aleją Mykoły Bażana, otwarte w 1992 roku.



→ uczestników moich wycieczek po architekturze modernistycznej.

Co pokazałby, oprowadzając np. po Kijowie? Dmytro: – Pokazuję Kijów pod innym kątem. Chcę zaszczepić umiejętność zwracania uwagi na szczegóły, jak przepiękne mozaiki, witraże. Tworzono je ze zmysłem estetycznym. Nawet lampy uliczne. Opowiadałem o ich twórcach, to wszystko ukraińscy artyści i architekci! Konkretni ludzie, a nie abstrakcyjna sowiecka maszyna. To najważniejsza rzecz, jaką staram się przekazać.

A kontekst, epoka? – Oczywiście opowiadałem dużo o kontekście, o tym, jak i dlaczego wszystko to zbudowano.

Dmytro podkreśla, że choć modernizm był stylem światowym, takich mozaik nie ma w USA czy Australii. Są za to w Czechach, Polsce czy w Izraelu: – W krajach zorientowanych na socjalizm sztuka była umieszczana w przestrzeni publicznej, a ulice traktowano jak muzea na wolnym powietrzu. Próbuje przekonać, że – zamiast nienawidzić – warto doceniać tę otaczającą nas przestrzeń. Powinniśmy chronić te dzieła sztuki.

MY I NAEJÉDŹCA | Sołowjow uważa się za patriotę, który promuje unikalne w świecie dziedzictwo kulturowe Ukrainy.

Przyznaje ponownie, że od 24 lutego 2022 r. jest mu trudniej: – Ten straszny stres związany z wojną miesza w umysłach i wyłącza krytyczne myślenie. To, co przed 24 lutego mogło być jeszcze postrzegane w odcieniach szarości, dziś jest widziane w czarno-białych kategoriach. Mamy wroga i mamy siebie. To zrozumiałe jako zjawisko psychologiczne, ale mimo to smutne.

Rok temu w Kijowie usunięto Pomnik Przyjaźni Narodów, wzniesiony z okazji 60-lecia istnienia Związku Sowieckiego. Dmytro: – To dzieło mimo wszystko ukraińskiego artysty. Przedstawiało robotnika ukraińskiego i rosyjskiego. Sądziłem, że zostanie delikatnie usunięte i gdzieś schowane. Zrobiono z tego widowisko. Podczas demontażu jednej z figur odpadła głowa. Trwa wojna, ale powinniśmy pozostać ludźmi i nie zmieniać się w wandali. To także powinna być różnica między nami i najejdzcą.

– Zwróciłem uwagę w internecie, że usunięcie pomnika powinno się odbyć w bardziej cywilizowanych warunkach, bo jesteśmy cywilizowanym krajem –



Mozaika przedstawiająca grecką boginię zdrowia Higieję na fasadzie apteki Uniwersytetu Medycznego we Lwowie; autor Walery Marczak.

wspomina. – To był mój jedyny komentarz w tej sprawie. Tysiąc użytkowników na Instagramie przestało obserwować mój profil po tych słowach, a mnie nazywano proputinowskim kolaborantem.

– Mam teraz spore grono przeciwników mojej działalności, którzy uważają mnie za zwolennika czasów sowieckich i Stalina – przyznaje. – A przecież on nie znosił modernizmu. Stalin zdusił konstrukttywizm, jeden z pierwszych kierunków w architekturze modernistycznej wywodzący się ze Związku Sowieckiego, i narzucił swój styl stalinowskiego neoklasycyzmu. Reprezentowany choćby przez warszawski Pałac Kultury i Nauki, pierwotnie imienia Stalina.

SPÓR O „PANELKI” | W rodzinnym Zaporozu Dmytro został zaproszony przez dom kultury do stworzenia wystawy o tamtejszej architekturze. Zamysłem organizatorów było skłonienie zwiedzających do docenienia własnego miasta. Wystawiane zdjęcia powstały w latach 2015-2022 i nie jedno z utrwalonych na nich miejsc zostało w międzyczasie zniszczone.

Poza obiektami użytku publicznego na zdjęciach jest to, co najtrudniej pokochać w postsowieckim krajobrazie: bloki z wielkiej płyty, przez mieszkańców zwane „panelkami”. Gdy Dmytro publikuje w sieci ich zdjęcia, znajduje entuzjastów, ale pojawia się też wiele negatywnych komentarzy: „Są okropne”, „Nie da się w nich żyć”.

Polemizując, Dmytro wyjaśnia kontekst, w jakim „panelki” projektowano: to rodzaj budownictwa komunalnego, które dziś nie istnieje, a wtedy pozwoliło zaspokoić podstawowe potrzeby. Miało zapewnić mieszkańcom osiedli także przestrzeń i kontakt z zielenią.

– Mikrodzielnice, jak nazywane są te osiedla, dają przestrzeń do uprawiania sportu, wyjścia z psem na spacer. Wszystko, co chcesz, poza zaparkowaniem auta – uśmiecha się Dmytro. – Bo na to jest miejsce poza osiedlem. I jest tyle zieleni. Mieszkańcy wciąż dbają o ogródki sadzone między blokami, budowanymi w rozsądnych odległościach od siebie. To wszystko planowano jak jeden organizm. A najbardziej Kocham przestrzeń! Nie ma jej na nowych osiedlach, zwłaszcza kijowskich. Czterdziestopiętrowe wieżowce, stawiane blisko siebie, wywołują klaustrofobię. Deweloperzy są nastawieni na maksymalny zysk.

WYCIECZKA DO WARSZAWY | Dmytro słyszy pytania, po co dzieli się zdjęciami „paneli”, przecież to zwykłe bloki. – Modernizm nie musi być piękny w najprostszym tego słowa znaczeniu, to po prostu styl posiadający pewne cechy i „panelki” mają te właśnie cechy, geometryczne wzory, proste linie – odpowiada wtedy.

W dniu otwarcia wystawy często słyszał: „O, mieszkalem w tym bloku” albo „Tam przecież mieszka teraz mój chłopak”. Wielu oglądających nie spodziewało się, że miejsce ich zamieszkania może mieć tego rodzaju wartość. Dmytro: – Dla mnie to poruszające, a im może pomóc spojrzeć inaczej na swoją przestrzeń. To też chciałem zakomunikować: dla wielu ludzi miasto to tylko dekoracja dla życia, na którą nie zwracają uwagi, gdy zajmują się własnymi sprawami. A przecież każdy mijany budynek ma swoją wartość artystyczną.

– Sam nauczyłem się tego, o czym teraz opowiadałem, a zainteresowałem się tym po pierwszej wizycie w Polsce – wspomina. – Wtedy zobaczyłem Pałac Kultury i Nauki. Zrobił na mnie wrażenie! Spędziłem tam cały dzień, zastanawiałem się: „Dlaczego krążę wokół budynku i robię mu zdjęcia, co może być tu interesującego?”. A gdy wróciłem do Ukrainy, byłem na wystawie dotyczącej miast budowanych specjalnie dla pracowników elektrowni atomowych, jak Enerhodar czy Prypeć. Wtedy usłyszałem słowo „architektura” i coś kliknęło. Zrozumiałem, że architekt jest artystą, a to, co wychodzi spod jego ręki, nazywa się sztuką.

© ANTONINA PALARCZYK

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 330/23 postępowanie z wniosku Wiesławy Tomaszewskiej i Patryka Tomaszewskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Jarocinie, o powierzchni 1,25,50 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00003298/3.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności następców prawnych właściciela nieruchomości – Anieli Pietrzak, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Tychach Wydziałem I Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 340/23 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Piotrze Osku, synu Pawła i Janiny, zmarłym w dniu 15 czerwca 2021 roku w Tychach, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy. Skład spadku oraz zawód spadkodawcy nie są znane.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tychach Wydziałem I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 107/23 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Janinie Korzec, córce Jana i Walentyny, zmarłej w dniu 6 października 2019 roku w Tychach, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Tychach. Skład spadku oraz zawód spadkodawczyni nie są znane.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 82/23 prowadzone jest postępowanie z wniosku Danuty Kubickiej z udziałem Stanisława Kubickiego, Skarbu Państwa – Starosty Powiatu Jarosławskiego i Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa Oddziału Terenowego w Rzeszowie o stwierdzenie nabycia prawa własności nieruchomości stanowiących działki oznaczone numerami ewidencyjnymi:

- 1906/8, położonej w Kramarzówce, gmina Pruchnik,
 - 682, położonej w Kramarzówce, gmina Pruchnik,
 - 684, położonej w Kramarzówce, gmina Pruchnik,
- w drodze zasiedzenia, na zasadzie wspólności ustawowej majątkowej małżeńskiej.

Jak ustalono w toku dotychczasowego postępowania, działka oznaczona numerem ewidencyjnym 1906/8 o powierzchni 0,7203 ha stanowi grunty orne i położna jest w Kramarzówce. W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu prowadzona jest dla tej nieruchomości księga wieczysta numer PR1J/00022376/0. Jak ustalono, nieruchomość ta wydzielona została z działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1906/2, objętej księgą wieczystą numer PR1J/00022376/0, a następnie ujawniona w operacie ewidencji gruntów i budynków w dniu 27 listopada 2015 roku. W rejestrze gruntów jako właściciel działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1906/8 wpisany jest Jan Maksyśko. W dziale II tej księgi jako właściciel nieruchomości wpisany jest Skarb Państwa.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygn. akt I Ns 1082/22 z wniosku Marka Kozłowskiego z udziałem Edwarda Korytkowskiego, Henryka Korytkowskiego, Jerzego Mariana Kozłowskiego o zasiedzenie działek nr 317, 476 położonych w Szczepankowie, gmina Śniadowo, powiat łomżyński, województwo podlaskie.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i wykazali swoje prawa własności do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zajądą ku temu przewidziane prawem przesłanki.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży I Wydziałem Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 666/23 z wniosku Danuty Batorzyńskiej i Jacka Roberta Batorzyńskiego o stwierdzenie nabycia własności przez zasiedzenie nieruchomości w postaci działki nr 10848 o pow. 0,0437 ha położonej w Łomży, gm. Łomża, woj. podlaskie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Łomży, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 62/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Harasimczuku, synu Stanisława Harasimczuka i Marianny Matwiejczuk, zmarłym w dniu 3 grudnia 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie. Spadkodawca pozostawił po sobie udział w nieruchomości lokalowej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Działka oznaczona numerem ewidencyjnym 682 położona jest w Kramarzówce, ma powierzchnię 0,1702 ha. W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu prowadzona jest dla tej nieruchomości księga wieczysta numer PR1J/00059293/2. W dziale II tej księgi jako właściciel nieruchomości wpisana jest Rozalia Mazur, c. Michała i Franciszki. Według informacji uzyskanych przez Sąd Rozalia Mazur zmarła w dniu 20 czerwca 1995 roku. Sąd nie posiada informacji o jej następach prawnych.

Działka oznaczona numerem ewidencyjnym 684 położona jest w Kramarzówce, ma powierzchnię 0,0510 ha oraz stanowi grunty orne i łąki trwałe. Sąd Rejonowy w Jarosławiu prowadzi dla tej nieruchomości księgę wieczystą numer PR1J/00080501/0. W dziale II tej księgi jako właściciel wszystkich nieruchomości nią objętych wpisana jest Agencja Nieruchomości Rolnych, Oddział Terenowy w Rzeszowie. Następcą prawnym tej instytucji jest Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa w Warszawie.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, a w szczególności następców prawnych Rozalii Mazur, a także Jana Maksyśko, względnie jego następców prawnych, aby w terminie sześciu miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności tej nieruchomości zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie ono udowodnione.

JEZUICCY AWANTURNICY

Z zacięciem łowców przygód, w wiekach XVI i XVII zakonnicy-misjonarze z Towarzystwa Jezusowego rewolucjonizowali świat lingwistyki. Walcząc również z łowcami niewolników.

ALEKSANDER R. MICHALAK

DZIŚ, W EPOCE TŁUMACZY INTERNETOWYCH, trudno sobie wyobrazić, jakim wyzwaniem była kiedyś nauka języków. Mimo to na przestrzeni około 250 lat (od początku XVI w. do drugiej połowy wieku XVIII), gdy pomieszczenia wciąż oświeślały świece, udało się Europejczykom stworzyć dziesiątki słowników i gramatyk języków, o których istnieniu jeszcze niedawno nie mieli pojęcia. Większość ich autorów była jezuitami.

Jak do tego doszło?

AŻ PO DACH ŚWIATA | Dotarcie statków Kolumba do Ameryki i wytyczenie morskich szlaków do Azji kazało Europejczykom stawiać pytania, których dotąd sobie nie zadawali. Poruszający się od wieków znajomymi ścieżkami, nagle usłyszeli, że istnieją nieznane im ludy, kultury i języki. W miejsca te należało, jak uważali, zanieść chrześcijaństwo.

Nie było to proste także dlatego, że w Nowym Świecie (jak zwano obie Ameryki) i Azji używano setki języków. Aby głosić tam Ewangelię, należało przygotować ludzi, którzy mogą porozumieć się z miejscową ludnością. Stąd awangardę lingwistów stanowili wtedy zakonnicy: franciszkanie, dominikanie, augustianie, kapucyni – i człon-

kowie Towarzystwa Jezusowego, założonego w 1540 r.

Dzieło jezuitów okazało się najbardziej imponujące. Przed rozwiązaniem ich zakonu (nastąpiło to w 1773 r., po czym przywrócono go w 1814 r.; to osobna historia) jezuita opracowali dziesiątki gramatyk i słowników języków, które nawet dziś dla większości z nas brzmią egzotycznie – jak algonkiański, tagalog, bikol, tupi, ajmara, kimbundu.

Zawędrowali w południowoamerykańskie lasy deszczowe, puszcze Kanady i zakątki Azji. Nie oparł im się, zupełnie wówczas izolowany, dach świata – Tybet. Jezuita Ippolito Desideri, który deklarował, że dla tybetańskich dusz przejdzie płomień piekieł, po pełnej przygodzie podróżą w 1716 r. dotarł do Lhasy. Jako jeden z dwóch pierwszych Europejczyków nauczył się języków tybetańskich i studiował zapisane w nich teksty.

WYZWANIE TYTANICZNE | Warunki ich pracy w różnych miejscach były odmienne. Ameryka Południowa i Filipiny należały wówczas do imperiów Hiszpanii i Portugalii, część Ameryki Północnej do Francji, za to w Chinach i Japonii jezuita byli zdani tylko na siebie.

Nauka języków i w ogóle działalność zakonników nie przebiegały w dostoj-



nych wnętrzach bibliotek i auli. Aby uświadomić sobie ogrom ich przedsięwzięć, wypada zacząć od samej podróży. Dotarcie z Europy do Ameryki i Azji wymagało wielotygodniowej, czasem wielomiesięcznej drogi statkami. Te, bywało, tonęły, a pasażerów nękały choroby.

Na tych, którzy szczęśliwie dotarli na miejsce, czekały dalsze trudy. Można sądzić, że już wkrótce wielu zaczynały nękać obawy i tęsknoty. Z relacji wiemy, że nawet najgorliwsi bali się cierpienia – jak Cristóbal de Mendoza, zamęczony na terenie obecnej Brazylii.

Problemem numer jeden była jednak komunikacja. Nawet dziś dla Europejczyka nauka rodzimych języków obu



Florian Baucke, „Przygotowanie do bitwy”.
Ilustracja z cyklu „Życie Indian Guaranów oczami ojca jezuity” (1749-1767), Zwettler Codex.

Ameryk i Azji jest trudna – wówczas było to wyzwanie tytaniczne. Języki krajów, do których wyruszyli misjonarze, różniły się radykalnie od indoeuropejskich, ich gramatyka nie przypominała znanych wzorów, wymowa i składnia były odmienne. Niektóre nie posiadały przymiotników. Wiele głównych języków azjatyckich i niektóre południowoamerykańskie były językami tonalnymi: każda sylaba ma tu własny ton.

ODPORN I UZDOLNIENI | Gdy idzie o Chiny, Japonię i Koreę, istniała bogata literatura w językach tych krajów. Za to Ameryka Południowa była lingwistyczną *tabula rasa* – nikt w Europie nie mówił

w tych językach, nie istniały słowniki ani opracowania gramatyczne. W dodatku niemal wszystkie języki obu Ameryk funkcjonowały bez pisma. Uczyć się więc można było tylko w terenie, przez kontakt z mówiącymi.

Często też znajomość głównych języków regionu nie wystarczała – w imperiach Azteków i Inków istniały języki wspólne (nahuatl i keczua), ale w wielu miejscach kontynentu funkcjonowała tak ogromna ich liczba, że niektórzy jezuici, rozgoryczeni tym lingwistycznym wyzwaniem, byli skłonni przypisywać to zamiarom diabła.

„Terenowa” metoda nauki języka – i zarazem ewangelizacji – obfitowała w przy-

gody. Przemierzający Himalaje Ipolito Desideri dostał ślepoty śnieżnej. Ojciec Paul le Jeune prowadził wraz z grupą Indian Montagnais koczowniczy tryb życia, a trudów dokładał mu jego konflikt ze słynnym szamanem. Wielu zginęło – jak Jan de Brébeuf, znawca języka Huronów (wendat), który został zamęczony przez Irokezów.

Natura tej pracy prowadziła do selekcji wśród zakonników. Np. w Nowej Francji (tak zwano późniejszą Kanadę) misjonarze, którzy nie wykazywali się talentem językowym, byli traktowani jak ciężar – sugerowano odesłanie ich do Europy. Sukces ewangelizacji zależał bowiem tyleż od odporności na trudy, co

→ od umiejętności językowych. Stąd wśród jezuitów nadreprezentacja ludzi, którzy odznaczali się i uzdolnieniami lingwistycznymi, i zacięciem niemal awanturnym.

W JĘZYKU SERCA | Taki był Antonio Ruiz de Montoya. On nie musiał przemierzać oceanu – urodził się w Limie. Burzliwą młodość zwieńczyło wstąpienie do jezuitów w 1606 r. Skierowany został na misję na terenie obecnego Paragwaju.

W tym czasie w Nowym Świecie wśród jezuitów nie było zgody co do nauki miejscowych języków. Dopiero w latach 80. XVI w. generał zakonu Claudio Acquaviva uznał, iż należy się ich uczyć (oficjalnie nakaz wprowadzono w 1594 r. na Piątej Kongregacji Generalnej Towarzystwa w Rzymie). Ale już wcześniej w miejscowości Juli nad jeziorem Titicaca (dziś Peru) jezuita założył eksperymentalną misję, gdzie uczyli religii chrześcijańskiej w językach ajmara i keczua. Uczniowie pomagali zapamiętywanie pismem węzłkowym, kipu. Misja w Juli uchodzi za prekursorską wobec późniejszych słynnych osad misyjnych (zwanych redukcjami) wśród plemienia Guaranów na terenie obecnej Brazylii, Paragwaju i Argentyny.

Montoya został posłany w region Guayrá i współzakładał tam 13 osad misyjnych. Nie wszyscy jego poprzednicy byli przyjęci przychylnie – wcześniej siedmiu jezuitów zostało zamordowanych przez plemiona podburzone przez szamanów.

Jednym z kluczy do duchowej misji wśród Guaranów był język. W swoich osadach jezuita nie tylko uczyli się od Guaranów języka, ale uczyli ich także zapisywania ich rodzimego języka i odczytywania go. Czynie to w opozycji do kolonialnych władz regionu, które nakazywały im uczyć hiszpańskiego. Jednak jezuita uważali, że katechizmu powinno się nauczać w rodzimych językach nawracanych mieszkańców. Mieli zresztą jak najlepsze opinie o języku guarani, który swoją elegancją miał konkurować z łaciną i greką.

BITWA POD MBORORÉ | W swoich osadach jezuita pozyskiwali serca i umysły Guaranów także muzyką i medycyną. Ci przypisywali im nawet szamańskie moce, dzięki którym udawały się polowania na jaguary-ludojady.

Montoya i inni jezuita dzielili surowe warunki życia Guaranów i także ryzyko – bandy łowców niewolników, zwanych *bandeirantes*, zapędzały się na terytoria jego misji. Montoya, wielki obrońca Guaranów, pisał do władz zakonu o bandach: „Zabijają Indian jak zwierzęta, niezależnie od wieku i płci. Zabijają dzieci, żeby ich matki szybciej chodziły. Ponieważ osoby starsze nie mogą chodzić wystarczająco szybko i nie mogą pracować, zabijają je”.

Montoya za młodu był żołnierzem – i gdyby odwołać się do filmu „Misja” z 1985 r., można by go opisać jako połączenie uduchowionego ojca Gabriela z wojowniczym fechtmistą Mendoza. Wobec nieustannego zagrożenia ze strony łowców niewolników, on i inni jezuita postanowili dokonać brawurowej ewakuacji 12 tys. mieszkańców ze strefy wpływów portugalskich do strefy hiszpańskiej, w górnym biegu rzeki Parana. Przygotowano setki tratw i łodzi. Wodospady Guairá zatrzymały uciekinierów i zmusiły ich do wędrowki przez dżunglę, a potem do budowy kolejnych łodzi. Wielu po drodze zmarło, ale inni ocalili.

Ponieważ łowcy niewolników nie zaprzestali swego procederu, Montoya wyruszył do króla do Madrytu, by uzyskać od niego zgodę na uzbrojenie Guaranów w broń palną, a od biskupów – ekskomunikę dla właścicieli niewolników. Dostał zgodę na uzbrojenie mieszkańców osady. Ale zanim król oficjalnie ją wydał, uzbrojeni Indianie pod przywództwem jezuitów rozbili siły *bandeirantes* w kilkudniowej bitwie pod Mbororé. Położyło to kres rajdom łowców niewolników.

AMAZOŃSKA WIEŻA BABEL | Montoya był nie tylko obrońcą Guaranów, ale też znawcą guarani. Twierdził, że posługuje się nim lepiej niż hiszpańskim. Stworzył wiele prac dotyczących tego języka, m.in. słownik oddający jego strukturę semantyczną (wydany w Madrycie w 1639 r.).

Montoya poruszał się w obszarze języka uchodzącego jeszcze za relatywnie łatwy – inne języki tego regionu były bardziej wymagające. Ojciec Antônio Vieira ubolewał, że gdy w czasach wieży Babel miały istnieć 72 języki, w dorzeczu Amazonii doliczono się ich już co najmniej 150, a każdy różni się od innych jak portugalski od starożytnej greki.

Ponieważ pierwotnie nauka miejscowych języków bazowała na słuchu, ogromną trudność stanowiły pewne dźwięki wydawane przez mieszkańców lasów deszczowych – wydawały się one jezuitom zupełnie niezrozumiałe i nienadające się do zapisu.

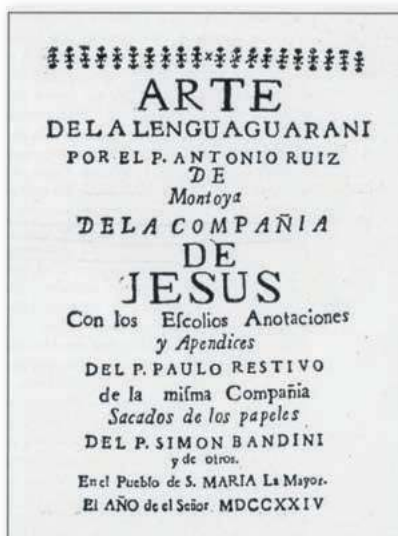
Można sądzić, że stosowali oni metody podobne do tych używanych w lasach Ameryki Północnej: tam jezuita poszukiwali osoby autochtonicznej, możliwie dwujęzycznej. Zadawali jej pytania, słuchali odpowiedzi i spisywali słowa. Następnie testowali je, czytając je wspomnianej osobie. Gdy zebrali dość notatek, szukali zasad językowych. Ucząc się zaś języka, początkowo przyswajali sobie słowa, ważniejsze zwroty i zarys gramatyki. Potem tłumaczyli podstawowe teksty liturgiczne, modlitwy i pieśni, a także zarysy katechizmu. Następnie zaczęli tłumaczyć cytaty biblijne i objaśniające je homilie.

Nie będzie zaskoczeniem, że pierwszej próbie systematyzacji języków Ameryki Południowej dokonał jezuita Lorenzo Hervás. Efekty pracy członków Towarzystwa Jezusowego z Ameryki Łacińskiej drukowano potem w Limie i Bogocie, Rzymie i Sewilli.

JEZUICKI BRAMIN | Inne wyzwania czekały w Azji, a zwłaszcza Chinach, które kulturowo pod wieloma względami przewyższały Europę. Pierwsza misja, podjęta tam przez czterech franciszkanów przybyłych z Filipin, skończyła się fiaskiem: wysiedli w Guangzhou z naiwnym optymizmem, ale bez pieniędzy i znajomości języka; wkrótce wrócili do Manili.

Jezuita wyciągnęli lekcję z ich porażki. Uznali też, że aby nieść Ewangelię Chińczykom, nie wystarczy nauczyć się języka komunikacji, lecz potrzebna jest jego znajomość w formie prestiżowej, jaką posługiwali się wykształceni urzędnicy-mandaryni. Ten rodzaj chińskiego, określany jako „język urzędników” (*guanhua*), jezuita zestawiali z łaciną. Jego znajomość miała wzbudzać zaufanie i zyskiwać szacunek niezbędny do konwersji.

Przekonał się o tym jezuita Michele Ruggieri: zyskał uznanie ważnego mandaryna, gdy był w stanie odczytać napisany przez niego tekst. Jego następca, słynny Matteo Ricci, obdarzony genialną fotograficzną pamięcią, nie tylko nauczył się języka, ale potrafił cytować z pamięci ob-



WIKIPEDIA

U góry: okładka książki Antonia Ruiza de Montoya „Arte de la Lengua Guarani”, 1724. Obok: Matteo Ricci (z lewej) i nawrócony Chińczyk. Ilustracja z „The Embassy of the Oriental Company of the United Provinces towards the Emperor of China, or Grand Cam of Tartaria” Pierre’a de Goyer i Jacoba de Keysera. Leida, 1665 (kolorowane).

szerne teksty konfucjańskie. Zyskał tym prestiż w elicie Chin. Nie zaniedbał też zewnętrznych przejawów akulturacji – ubierał się w strój szacownego mandaryna.

Akultuacja, podobnie jak nauka języków, była zresztą znakiem rozpoznawczym jezuitów. W Indiach Henrique Henriques, chcąc być lepiej zrozumiany w swoich tłumaczeniach tekstów łacińskich na język tamilski, dokonał kulturowych przeróbek, włączając Tamilów w narrację biblijną. Np. pisząc o narodzeniu Jezusa, wspominał o trzech tamilskich królach, którzy przybyli złożyć mu hołd.

Roberto de Nobili, znawca języków Indii, zalecał wręcz współbraciom nabywanie lokalnych obyczajów. On sam, tak jak Ricci, dostosował się do miejscowych zwyczajów strojem, fryzurą i stylem bycia tak, że stał się kimś w rodzaju jezuickiego bramina.

TRAGICZNY SPÓR | Jednak to działalność jezuitów w Chinach, wykorzystująca chińskie tradycje (w tym kult przodków), była najbardziej krytykowana. Zaowocowało to tzw. sporem akomodacyjnym, ostatecznie rozstrzygniętym na niekorzyść tych, którzy opowiadali się za włączaniem chińskich elementów kulturowych w ewangelizację.

Ze sporem tym łączy się tragiczna śmierć jezuita Nicolasa Trigaulta, autora pierwszej transkrypcji mandaryńskiego na łacinę. Po pobycie w Chinach Trigault podróżował przez Europę, gdzie zbierał środki i rekrutował chętnych na misję. Opowiadając o przygodach i wyzwaniach czekających w Państwie Środka, wzbudzał zapal młodych zakonników. W czasie tej podróży wyjednał nawet u papieża zgodę, by w Chinach odprawiać msze po chińsku.

O ile jego podróż po Europie zakończyła się sukcesem, o tyle po powrocie do Chin zaczęły się spory dotyczące przekładu pojęć teologicznych na chiński. Jednym z nich było słowo „Bóg”. Jeszcze Ricci przetłumaczył je, używając zaczerpniętego z chińskiej religii i historii słowa „Shangdi”. Zaczęto jednak podważać zasadność tego terminu.

W sporze tym Trigault, który utrwał dziedzictwo Ricciego, poparł jego przekład. Podobnie uczyniła większość jezuitów w Chinach. Mimo to dysputa doprowadziła wrażliwego Trigaulta do załamania nerwowego i samobójstwa. Wzbudziło to konsternację w zakonie, fakt samobójstwa usiłowano ukryć. Ostatecznie uznano, że należy słowo „Shangdi” wykreślić z chrześcijańskich słowników

i zastąpić bardziej neutralnym terminem „Tianzhu” (Władca nieba), którego Ricci używał również w swoich wcześniejszych tłumaczeniach.

SPUŚCIZNA | Działania jezuitów nie wszędzie budziły entuzjazm. Wypędzono ich z Japonii, gdzie niektórzy zginęli śmiercią męczeńską. Wzbudziła też niechęć chrześcijan malabarskich w Indiach. Z czasem zaczęli być coraz gorzej postrzegani przez monarchów europejskich. W 1767 r. król Karol III wypędził ich z posiadłości hiszpańskich w obu Amerykach, co położyło kres jezuickim osadom. Wygnanie jezuitów z tego regionu otworzyło nowy okres w tamtejszej polityce językowej – z faworyzacją hiszpańskiego.

W Chinach spór akomodacyjny i odrzucenie przez papieżstwo dziedzictwa Ricciego doprowadziły w wieku XVIII do osłabienia pozycji zakonu, wypędzania zakonników, a nawet sporadycznych prześladowań. Chińskie elity odcięły się od chrześcijaństwa. Odtąd jezuiti mogli prowadzić misję jedynie wśród ubogich i niewyedykowanych.

Jakkolwiek oceniać działalność jezuitów, ewangelizacja zmuszała ich do ciągłej pracy lingwistycznej w najcięższych warunkach – co przyniosło imponujące rezultaty. Według wyliczeń badaczki Brigitte Schlieben-Lange opracowali 58 języków w Ameryce Południowej, 46 w Ameryce Północnej i Środkowej, 32 w Afryce i 34 w Azji (poza Azją Południowo-Wschodnią).

Część ich prac nie przetrwała. Np. przez większość pobytu w Nowej Francji nie mieli prasy drukarskiej, teksty przepisywali ręcznie, co ograniczało liczbę kopii; w efekcie wiele rękopisów utracono. Jednak nawet te, które przetrwały, są cennym materiałem dla historyków języka i aktywistów próbujących wskrzesić martwe już dziś języki.

Bo nawet klasyczny guarani, używany w osadach jezuickich, znany jest dziś jedynie ze słowników, gramatyk i katechizmów ówczesnych misjonarzy. Wciąż świadczą o ich wyjątkowym lingwistycznym dziele.

© ALEKSANDER R. MICHALAK

Autor jest pracownikiem naukowym w jednym z pomorskich muzeów i pisarzem, doktorem historii i religioznawstwa.



NAUKA

HYBRYDY

Współpraca między roślinami i zwierzętami czasem przybiera tak ścisłą formę, że trudno jednoznacznie odróżnić, gdzie kończy się jeden organizm, a zaczyna drugi.

KATARZYNA NOWICKA

NAJBARDZIEJ SPEKTAKULARNY PRZYKŁAD zwierzęco-roślinnej symbiozy można znaleźć na rafach koralowych. To dzięki współpracy z jednokomórkowymi glonami (algami) koralowce, należące do bezkręgowców, mogą tworzyć największe struktury biologiczne na Ziemi.

Algi żyją wewnątrz komórek koralowców, dzięki czemu są bezpieczne i mogą korzystać ze związków azotu, fosforu, a także dwutlenku węgla, którego potrzebują do prowadzenia fotosyntezy. Odwdzięczają się żywicielom stałymi dostawami cukrów i tlenu. Obecność alg zwiększa szybkość tworzenia przez koralowce wapiennego szkieletu i nadaje im kolor. Badania prowadzone na koralowcach nieposiadających glonów symbiotycznych pokazały, że roczne przyrosty ich szkieletów wynoszą niespełna 2 mm, podczas gdy u koralowców żyją-



HERIEVNAHA / SHUTTERSTOCK

Kwiat raflezji w parku narodowym Gunung Gading. Kuching, Malezja, luty 2019 r.

kolory (a zatem i roślinnych partnerów) straciło 94 proc. koralowców. Po roku trzy czwarte z nich już nie żyło.

Niesmiertelna hydra

Mitologiczna hydra jest przedstawiana jako wielogłowy potwór, siejący grozę w rejonie miasta Lerna w starożytnej Grecji. Jego pokonanie było jedną z dwunastu prac Heraklesa, który próbował odciąć węzowe głowy hydry mieczem. Bezskutecznie, bowiem na miejscu jednej odciętej głowy odrastało kilka nowych. *Hydra viridissima*, czyli stulbia zielona, zapożyczyła nazwę od mitologicznego monstrum właśnie ze względu na niesamowitą zdolność do regeneracji. Znacząco różni się jednak od swojej imienniczki.

Stulbia nie wygląda jak potwór – jej długość ciała wynosi do 3 cm. Żyje w słodkich wodach stojących i wolno płynących, głównie w strefach przybrzeżnych jezior oraz stawów. Choć prowadzi osiadły tryb życia, może się przemieszczać, odrywając i przyczepiając do podłoża otwór gębowy i stopę. Dla larw owadów czy pierścienic stulbia ma jednak coś z potwora – jest drapieżnikiem. Poluje na organizmy, które są w stanie zmieścić się w jej jamie chłonąco-trawiącej. Gdy tylko ofiara dotknie jednego z ośmiu ramion stulbi, natychmiast w jej stronę wystrzelwane są „harpuny” z jadem, który ją paraliżuje. Pozostałe ramiona łapią zdobycz.

W przerwach między posiłkami stulbia korzysta z przekąsek w postaci małtozy, dostarczanej przez glony żyjące w jednej z warstw komórek jej ciała. Algi należące do gatunku *Chlorella vulgaris* zdomowały się w komórkach nabłonka stulbi, gdzie mają dostęp do wody i niezbędnych substancji organicznych, a także są chronione przed enzymami trawiennymi. Glony dostarczają stulbi składniki odżywcze wytwarzane w procesie fotosyntezy i nadają jej charakterystyczny, jaskrawozielony kolor. Podczas długich okresów ciemności (np. zakwitów wody, blokujących dostęp do światła słonecznego), *Chlorella* ginie i hydra znów musi odżywiać się w klasyczny dla drapieżników sposób. Kiedy dobre warunki świetlne powracają, glony ulegają

szybkiemu namnożeniu i mogą ponownie zasiedlić organizm żywiciela w ciągu kilku dni.

Największą zagadką stulbi jest jednak jej niesmiertelność. Oczywiście, może zginąć np. w paszczy ryby, ale dzięki obecności hydramycyny (substancji bakteriobójczej) nie mają się jej żadne infekcje. Jeśliby hydrę pokroić, to odtworzy swój organizm z fragmentów. Jej zdolnością do regeneracji zachwycił się już XVIII-wieczny szwajcarski przyrodnik Abraham Trembley, który rozcinał stulbie na kawałki i jako pierwszy udowodnił, że rozmnażanie bezpłciowe, przez pączkowanie, występuje w królestwie zwierząt. Dziś wiemy, że większość ciała stulbi zbudowana jest z komórek macierzystych. Mają one zdolność ciągłego dzielenia się i przekształcania w komórki wyspecjalizowane. Dorosły organizm stulbi zachowuje więc zdolność, która u innych zwierząt występuje jedynie we wczesnych fazach rozwoju embrionalnego.

Miętowe robaki

Spacerując po plażach północno-zachodniej Francji, można zaobserwować osobliwe zielone organizmy, na pierwszy rzut oka wyglądające jak wodorosty. Przykuły one uwagę angielskiego botanika Fredericka Keeble, który często spędzał wakacje w pobliżu miasta Roscoff w Bretanii. Uczony nazwał je roślinami-zwierzętami i opisał w 1910 r. Dziś znamy je jako plażince *Symsagittifera roscoffensis*, zwane też robakami z Roscoff lub robakami sosu mięowego (wyglądają tak, jakby ktoś rozlał taki sos na plaży).

Symsagittifera są niemal przezroczyste, a jednak wydają się zielone. To dzięki maleńkim komórkom alg *Platymonas*, które są pochłaniane przez larwy plażinców i żyją wewnątrz ich ciał. Całe życie alg, od narodzin do śmierci, przebiega wewnątrz ciał plażinców. Dociera do nich światło słoneczne i w swoich żywych, ruchomych „szklarniach” prowadzą fotosyntezę, a niektóre jej produkty dostają się do ciał *Symsagittifera* i je odżywiają. Same glony korzystają z użytecznych dla siebie produktów przemiany materii plażinców, pozyskując je np. z kwasu moczowego. Biorą także udział w usuwaniu toksycznych metabolitów.

Robaki nie pobierają pokarmu w klasyczny dla zwierząt sposób, więc dorosłe

cych w symbiozie mogą być dziesięciokrotnie większe.

Gdy ta obopólnie korzystna współpraca zostaje zerwana, dochodzi do zjawiska blaknięcia raf koralowych. Przy zbyt wysokiej temperaturze wody koralowce pozbywają się alg, spowalniając proces wzrostu i tracą barwy – a w dłuższej perspektywie wiele z nich obumiera. O tym, jak gwałtowne może być to zjawisko, przekonali się m.in. John A. Burt z Uniwersytetu w Nowym Jorku i współpracownicy, którzy opisali blaknięcie ośmiu raf koralowych w Zatoce Perskiej w 2017 r. w czasopiśmie „Coral Reefs”. Codziennie woda na głębokości rafy nagrzewała się przeciętnie do 36 st. Celsjusza (w najgorętszych porach dnia nawet do 37,7 st.), co dla wielu z tych organizmów było już nie do zniesienia. W efekcie, między kwietniem a wrześniem 2017 r.

→ osobniki pozbawione są „ust” oraz przewodu pokarmowego. Muszą za to zadbać o stały dostęp do światła. Dlatego w trakcie przyprływu zakopują się w piasku, a w momencie odpływu wychodzą na jego powierzchnię, aby algi mogły przeprowadzać fotosyntezę. Związek alg i płazinców jest tak bliski, że tylko za pomocą mikroskopu można stwierdzić, gdzie kończy się zwierzę, a zaczyna roślina.

Co ciekawe, w świecie przyrody występuje również proces zamiany zwierzęcia w roślinę. Jedne z najbardziej fascynujących morskich ślimaków kradną roślinom chloroplasty. Kleptoplastia to specyficzna forma symbiozy, w której organizm ma zdolność do przejmowania i przytrzymywania funkcjonujących pla-

stydów (organelli roślinnych, najczęściej chloroplastów) z trawionych ciał ofiar. Umiejętność tę posiadają niektóre wirki, bruzdnice i orzęski. Została także zaobserwowana u ślimaków.

Elysia chlorotica wygląda jak miniaturowy liść sałaty – przypomina go ubarwieniem i kształtem ciała. Dzieje się tak za sprawą chloroplastów, które pozyskuje od glonów z rodzaju *Vaucheria*. Wbudowuje je w komórki nabłonka jelita i może prowadzić fotosyntezę nawet przez 9 miesięcy. W tym czasie osiągający ok. 3 cm ślimak nie potrzebuje pokarmu, korzystać może jedynie ze światła i dwutlenku węgla asymilowanego przez symbiotyczne chloroplasty. Zwążywszy na to, że cykl życia ślimaka trwa ok. 10 miesięcy, staje się on prawie zupełnie samowystarczalny. „Ukradzione” glonom chloroplasty mają pełną wydajność przez około miesiąc, więc ślimak musi je uzupełniać. Wyzwanie jest ułatwione dzięki temu, że ślimak żywi się różnymi gatunkami glonów.

Cudzym kosztem

Znamy więc szereg organizmów wywodzących się z grupy istot cudzożywnych, które w toku ewolucji nauczyły się korzystać z pomocy glonów, by w swoich ciałach przeprowadzać fotosyntezę. Ale zdarzają się też sytuacje odwrotne, gdy to rośliny upodabniają się do zwierząt. Nie wszystkie bowiem mają chloroplasty i same przygotowują sobie swój posiłek.

Kanianka to prawdziwa osobliwość. Nie ma korzeni ani liści. Jej nasiona kiełkują wiosną i od razu poszukują żywiciela. Kiedy trafiają na młode pędy (np. wierzby), chwytają się ich, tracą kontakt z glebą i żyją dalej jako pasożyt. Przyrastają do tkanek przewodzących żywiciela i bardzo szybko pną się ku górze. Z pewnością każdy kiedyś widział poskręcane, nagie, czerwone pędy, ciasno oplatające gałęzie innych roślin. Tak właśnie wygląda kanianka.

Bardziej wyrafinowane metody odżywiania się ma indonezyjska rafleja. Ta pasożytnicza roślina nie posiada liści, korzeni ani nawet łodygi. Aby przeżyć, wysysa wodę i składniki odżywcze z korzeni i łodyg innych roślin (głównie pnączy), otulając je cienkimi włóknami, wyglądającymi jak komórki grzybów. Przez kilka lat praktycznie żyje we wnętrzu swoich

żywicieli. A potem wypuszcza pączek, który po kilku miesiącach rozwija się w gigantyczny kwiat – dzbanek, okolony mięsistymi płatkami. Może mieć on nawet metr średnicy. By przyciągać zaś potrzebne do zapylenia muchy, roślina wydziela intensywny zapach gnijącego mięsa. Rafleja potrafi także kraść DNA swoich żywicieli i wbudowywać je do swojego własnego genomu.

Mięsne przekąski

Wbrew pozorom, popularne rośliny mięsożerne nie są w pełni cudzożywne. Dzbaneczki, rosiczki, kapturnice czy mucholówki z przyjemnością korzystają z mięsnych przekąsek, równolegle prowadzą jednak także fotosyntezę. W naturze rośliny te występują głównie w siedliskach, które są wyjątkowo niekorzystne dla prawidłowego wzrostu i rozwoju dla roślin zielonych, np. w szczelinach skał, na terenach piaszczystych, wysokich torfowiskach.

Rośliny mięsożerne posiadają bardzo zróżnicowane metody polowania i różnorodne pułapki. Mogą to być proste dzbanki wypełnione płynem trawiącym, chwytne pęcherzyki (pływacz), chwytne liście (mucholówka) i różnego rodzaju substancje lepiące (tłustosz, rosiczka). Mechanizmy ich działania są bardzo wyrafinowane. „Paszcza” mucholówki to dwie połowki liścia zaopatrzone w ząbki, które się zamykają po podrażnieniu włosków czuciowych. Aby tak się stało, roślina musi otrzymać sygnał z dwóch różnych włosków w określonym czasie. Wówczas liść przemyka się na tyle, by uniemożliwić owadowi ucieczkę. Dopiero czując szamotanie się ofiary, pułapka zatraskuje się na dobre, a gruczoły wewnątrz skórki wydzielają enzymy trawienne.

Rośliny żyjące „po zwierzęcemu” nie są produktem symbiozy, jak te zwierzęta, w których ciałach zachodzić może proces fotosyntezy. Ale jedne i drugie pokazują kreatywność ewolucji, która czasem pozwala sobie na nietypowe eksperymenty. Dla niej w zasadzie nie ma barier poza jedną – nie może wyewoluować tylko to, co nie ma prawa działać.

© KATARZYNA NOWICKA

Autorka jest rzeczniką prasową Centrum Nauki Kopernik. Należy do zespołu organizacyjnego Festiwalu Przemiany.

Festiwal Przemiany

■ Od 6 do 8 października w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie odbędzie się Festiwal Przemiany, a na nim m.in. wystawa „**SUPERORGANIZM**”, z pracami artystów inspirowanych się zwierzętami przeprowadzającymi fotosyntezę i roślinami zachowującymi się „jak zwierzęta”. „Tygodnik” jest patronem medialnym festiwalu. Wstęp wolny.

■ Robaki *S. roscoffensis* są bohaterami instalacji „**PLANT-ANIMALS**” Elvina Flamingo, który zbudował dwa inkubatory mieszczące 27 kolonii tych organizmów.

■ Punktem wyjścia filmu animowanego „**R/EWOLUCJA**” Jarosława Kozakiewicza są szerszenie azjatyckie, posiadające na odwłokach mikroskopowe „paneły fotowoltaiczne” – struktury przetwarzające światło na użyteczną dla tych owadów formę energii.

■ „**INTERSPECIES**” Susanny Hertrich to poszukiwania artystyczne nawiązujące do samej idei hybryd. Inspirowane klasycznymi portretami zdjęcia pokazują twarze ludzi wyposażonych w dodatkowe narządy, pochodzące od zwierząt.

ELIZA

Kącka:

Stawiam na potop



DZWONI MAMA OD TEATRÓW DLA DZIECI. „Pani Elizo, jutro urodziny Norwida”. „Ano”. „Czy on ma tak ze dwa dobre wiersze o człowieku?”. „Tak ze dwa ma”. „Uff! Kupiłam czarne kwiaty. Dalie, sztuczne. W auli są pianino, tablica, flaga też”. „Uhm”. „Mój scenariusz: Norwid mówi wiersze”. „O człowieku”. „Tak. Szopen przy pianinie, w tle muzyka”. „Szopena”. „Z jutuba. Potem Norwid idzie do tablicy i pisze: »Ojczyzna to wielki obowiązek«”. „Zbiorowy”. „A Szopen powiewa za nim flagą. Norwid całuje”. „Szopena?”. „Flagę! Powrót na miejsca. Wchodzi ciężka muzyka”. „Szopena?”. „Tak. Norwid recytuje »Fortepian«. Bierze kwiat, wręcza Szopenowi, wraca do mikrofonu. Szopen wstaje, kaszle, słania się krótko i upada na znak, że nie żyje. Norwid modli się wiecznym odpoczywaniem”. „Słusznie”. „Zmieniam muzykę. Norwid wyciąga z kieszeni niebieskie wstążki, rozdaje uczniom w pierwszym rzędzie. One zapraszają go na dyskotekę, on pokazuje, że nie chce”. „To rozumiem”. „Na koniec bierze czarną kapę i zakrywa pianino”. „Na znak, że spadło. A co z truchłem Szopena?”. „Aj! Dzięki! Nie może wciąż tam leżeć”. „Tak, trza przysypać garstką piasku”. „Pani Elizo!”.

DWIE POD PIĘDZIESIĄTKĘ W AUTOBUSIE 116. „Trzeba było nie dawać na bilet”. „To by od ojca wziął”. „Ale byś przynajmniej nie wspierała propagandy”. „Ja mu powiedziałam, że nie po to walczyliśmy, żeby teraz jego pokolenie opłacało zdrajców”. „Słusznie”. „Ależ oni są wyszczekani! Ja bym matki nie polemizowała. A ten mi jeszcze krzyczy, że propaganda to po drugiej stronie”. „Zartujesz?”. „Że telewizja kłamie”. „Publiczna?! Jakby kłamali, to bym się pierwsza połapała”. „Nie ma o czym mówić, przekręcanie kota ogonem. Dziennikarz w wiadomościach kłamie, minister kłamie, a film mówi prawdę...”. „Ha, ha, tak to nigdy nie było”. „No ale wiesz, dzieci nie przeżyły komuny, to się dają ogłupiać”.

KOŁOBRZEG, OKOLICE SOLNEJ, STRAGANY. Rzut beretem do portu, o czym informują tabliczki i rączki. Stoję chwilę przy artykułach kołobrzeskich różnej maści. Miody, mydła i pokrewne. Kątem oka skanuję czyjś niepokój. Mężczyzna w średnim wieku, schludny, w szarym tiszercie i dżinsach. Zaczepia stojącą obok. „Proszę pani, jak ja dojdę nad morze?”. Ta na zdziwieniu: „No tamtędy, o tam, gdzie ta grupa skręca”. „Tak, ale jak ja dojdę”. „Co też pan, dobrze się pan czuje?”. „Nie, bo nie dojdę do morza”. Usiadł na krawężniku. Podcho-

dzę, płacze. „Wszyscy mnie oszukują”. „Tam jest morze”. „Nie dla mnie. Niech pani coś dla mnie zrobi”. „Aha”. „Jak pani się uda, niech pani sobie przypomni, że próbowałem”. „Może pójdziemy razem?”. „Nie, ja już nie doszedłem”. Poszedł z rękami splecionymi na karku, szlochając.

STRAGANY KOŁOBRZESKIE, STOJAK Z OBRAZKAMI PIASKOWYMI. Obraca się taki, a piasek usypuje górkę księżycowe w różnych kolorach. Przy stojaku Niemcy. Siwi, schludni, na sportowo. Ona z fascynacją bierze obrazek po obrazku i obraca, śmiejąc się jak dziecko do żółtych, niebieskich, fioletowych panoramek. Mówi do niego, że miała kiedyś zabawkę – kolorowe klepsydry. Podchodzi do mnie gość z sąsiedniej instalacji: „Rozumie pani ten szwargot?”. Ja, że owszem. „Wie pani, trzeba im powiedzieć, że to jest towar, a nie wesołe miasteczko”. „Aha”. „Te obrazki mają działanie lecznicze”. „?”. „Relaksacyjne, mejd in Poland”. „Pojmuję”. „Fioletowy bym jej na oko polecał”. „Uhm”. „Żeby się wyciszyła. W jeden musi patrzeć. Niech im pani powie, że są piękne i mają certyfikat”. „Medyczny?”. „Po prostu: certyfikat, oryginał. A dla pani żółty, porządkuje zmysły”. „Nie, nie, u mnie grozi hipnozą”. Spojrzał dziwnie. „A, to nie pomogę”. „Ech, trudno”. „Ale niech pani kupi, tylko nie obraca”.

KOŁOBRZEG, PLAŻA, RANEK, NIEMAL NIKOGO. Dziewczyna czyta tuż na skraju wody, gość zachęca do brodzenia niedobudzone dziecko. Kładę się na piasku, pachnie słono. Niedaleko siadają ludzie; nie przyglądam się, słucham tylko. „Niech to się wszystko skończy”. „Weź tak nie mów, zawsze jest nadzieja”. „Że?”. „Że się przesili. Już tyle razy...”. „Ano właśnie, już tyle razy”. „Wiesz, wojna nas zniszczyła”. „Która? Stawiam na potop szwedzki”. „Jesteś złośliwa”. „Nie, zmęczona”. Pauza, słuchamy morza. Mówi trzecia: „Wiecie, jak nachodzą na siebie dachówki?”. „No, tak do połowy?”. „Właśnie. Tu się wszystko tak odbywa: do połowy. Jedno gnije, a już nachodzi kolejne”. „Ech”. „A jak ktoś chce to przeciąć, musi wyjść”. Uśmiech w głosie drugiej: „Ale gdzie, Ela? W morze?”. „A choćby. Gdzie indziej”.

SKWER CHORWACKI, CIEPŁE POPOŁUDNIE. Staruszkowie na sąsiedniej ławce. Ona: „Czytałam o tym w przepowiedni”. On: „O czym?”. „Że szatan będzie szczególnie atakował Polskę”. „Ty mi to od lat mówisz”. „Ale teraz mamy potwierdzenie od mistyczek”. „A z jakich to objawień?”. „Prywatnych”. „No domyślam się, że nie publicznych”. „W Ameryce Południowej rozmawia z Maryją głównie o Polsce, wyobraź sobie”. „No patrz, nie wiedziałem, że nasze problemy są aż tak zajmujące”. „Jest specjalna komórka szatana w Warszawie, ludzie zaprzysięgli”. „Zawsze podejrzewałem...”. „Nie zwyciężą, ale będziemy musieli wiele cierpieć”. „Ech, jeszcze od nich?”. „Ale Polska potem okaże duchową potęgę”. „W Ameryce Południowej? Popieram”.

©

Od Autorki: Formuła zapisu felietonu zmieniona na prośbę redakcji „TP”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/
Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

NAGRODA CONRADA

2 0 2 3

Idea Nagrody Conrada, wyróżnienia ufundowanego przez Miasto Kraków, narodziła się w środowisku Festiwalu Conrada, podczas którego nie tylko prezentujemy twórczość uznanych pisarek i pisarzy z całego świata, ale także aktywnie wspieramy rozwój polskiego i międzynarodowego pola literackiego. Nagroda przyznawana jest za najlepszy debiut prozatorski.

Wydaje się, że największym wyzwaniem dla początkujących osób autorskich jest debiut książkowy. Bardzo często prawdziwe trudności zaczynają się jednak dopiero wtedy, gdy pisarka lub pisarz po debiucie chce kontynuować przygodę z pisaniem. Nagroda Conrada to nie tylko 30 tysięcy złotych i statuetka, ale także kampania promocyjna, którą zapewniają Festiwal Conrada i instytucje partnerskie: Krakowskie Biuro Festiwalowe i „Tygodnik Powszechny”, oraz pobyt rezydencyjny w Krakowie.

Dotychczas przyznaliśmy osiem nagród, które trafiły do znakomitych polskich pisarek. Niektóre z nich stale współpracują z Festiwalem Conrada i Krakowem Miastem Literatury UNESCO.

Zwracamy uwagę na nowe zjawiska literackie i nowe sposoby opowiadania o rzeczywistościach, w których żyjemy. Nagroda pozwala wzmacniać lokalne i ogólnopolskie środowisko literackie, otwiera drogę do współpracy między nagrodzonymi a instytucjami kulturalnymi i wydawniczymi. Do tego środowiska należy również festiwalowa publiczność, która jest dziewiątym jurorem. Jury wybiera najpierw dziesięć książek, spośród których wskazuje pięć nominacji. O ostatecznym werdykcie decydują po połowie głosy kapituły (której członkinie i członkowie nie podejmują podobnych prac dla innych instytucji) oraz publiczności.

Nagroda Conrada była pierwszym polskim wyróżnieniem za debiut prozatorski. Z roku na rok jej znaczenie rośnie, a co najważniejsze – m.in. dzięki niej ukazuje się w Polsce coraz więcej debiutujących książek.

Grzegorz Jankowicz
DYREKTOR PROGRAMOWY
FESTIWALU CONRADA
Juror Nagrody Conrada



**GŁOSOWANIE NA NAJLEPSZY DEBIUT
PROZATORSKI MINIONEGO ROKU**
potrwa od 2 października 2023 roku od godz. 12.00
do 27 października 2023 roku do godz. 23.59
na stronie www.conradfestival.pl.

GALA WRĘCZENIA NAGRODY CONRADA
odbędzie się 29 października 2023 roku
o godz. 20.00 w Centrum Kongresowym ICE Kraków
przy ul. Marii Konopnickiej 17.

Nominacje do NAGRODY CONRADA 2023



Mateusz Górniak
Trash Story
Wydawnictwo Ha!art



Urszula Honek
Białe noce
Wydawnictwo Czarne



Paweł Koziół
Wariant La Plata
KIT Stowarzyszenie Żywych Poetów



Krzysztof Umiński
Trzy tłumaczk
Wydawnictwo Marginesy



Małgorzata Żarów
*Zaklinanie węży
w gorące wieczory*
Wydawnictwo Czarne

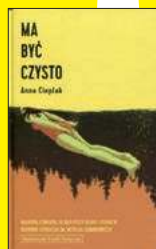
Laureatki Nagrody Conrada



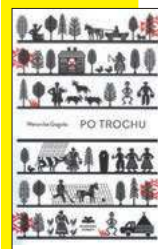
2015
Liliana Hermetz
Alicyjka
(Nisza)



2016
Żanna Słoniowska
Dom z witrażem
(Znak Literanova)



2017
Anna Cieplak
Ma być czysto
(Wydawnictwo Krytyki Politycznej)



2018
Weronika Gogola
Po trochu
(Książkowe Klimaty)



2019
Olga Hund
Psy ras drobnych
(Korporacja Ha!art)



2020
Dorota Kotas
Pustostany
(Niebieska Studnia)



2021
Elżbieta Łapczyńska
Bestiariusz nowohucki
(Biuro Literackie)



2022
Paulina Siegień
Miasto bajka. Wiele historii Kaliningradu
(Wydawnictwo Czarne)

Skład Kapituły Nagrody Conrada



Michał Paweł Markowski
Przewodniczący Kapituły,
dyrektor artystyczny Festiwalu
Conrada, krytyk literacki,
eseista, tłumacz, publicysta.



Urszula Chwalba
Dyrektorka wykonawcza Festiwalu
Conrada. Kuratorka programu
Kraków Miasto Literatury
UNESCO w Krakowskim Biurze
Festiwalowym.



Julia Fiedorczuk
Pisarka, poetka, tłumaczka
i wykładowczyni w Instytucie
Anglistyki Uniwersytetu
Warszawskiego.



Grzegorz Jankowicz
Dyrektor programowy Festiwalu
Conrada, filozof literatury,
krytyk i tłumacz, doktor nauk
humanistycznych.



Monika Ochędowska
Krytyczka literacka, publikuje na
łamach „Dwutygodnika” i „Tygodnika
Powszechnego”.



Olga Stanisławska
Dziennikarka, pisarka, autorka
reportaży, studiowała literaturę
angielską i amerykańską
w Warszawie.



Joanna Szulborska-Lukaszewicz
Sekretarzynie Nagrody Conrada,
wykładowczyni Uniwersytetu
Jagiellońskiego, teatrolożka.



Błażej Warkocki
Profesor w Zakładzie Antropologii
Literatury na Wydziale
Filologii Polskiej i Klasycznej
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu.

organizatorzy



dofinansowanie



partnerzy strategiczni



KROWY SĄ DOBRE

MAŁGORZATA LEBDA, POETKA:

„Dożywianie” – to słowo brzmiało jak wyrok,
bo pokazywało miejsce w hierarchii: jesteś z biednego domu.
Kiedy je usłyszałam, poczułam wstyd i upokorzenie.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: „Świetna w uprawie ziemniaków” – informacja w Twoim biogramie na okładce powieści „Łakome”. To rodzaj deklaracji?

MAŁGORZATA LEBDA: Wskazówka, że kontynuuję pracę moich rodziców, rolników. Moje korzenie są na wsi w Beskidzie Sądeckim.

Dlaczego akurat ziemniaki?

Mam do nich słabość – pod koniec lat 80. i na początku 90., w czasie, kiedy byłam dziewczynką, nieraz ratowały moją rodziną przed – to nie będzie za mocne słowo – głodem. Potrafiłam i potrafię się nimi delektować, a ulubione danie to placki ziemniaczane. Oraz ziemniaki z wody. A znasz coś takiego jak ziemniaki, które się „kłóci”? Ziemniaki kłócone. Tak się u nas mówiło na ugniecione ze śmietaną lub masłem ziemniaki, takie beskidzkie *purée*. A latem i jesienią ziemniaki z ogniska.

Po prostu jedzenie?

Najlepsze. Rodzice pracowali w polu i w gospodarstwie, nasze życie było zależne od ziemi, upraw, pasieki, kurnika, obory. Ojciec czuł się spokojny dopiero wtedy, kiedy dwie rzeczy przed zimą były gotowe: drewno na opał i piwnica pełna ziemniaków. A sam czas ich kopania był czasem uświęconym. Rodzice pisali wtedy usprawiedliwienia dla mnie i rodzeństwa, zwalniając nas z lekcji lub tłumacząc nieobecność właśnie pomaganiem w wykopkach.

Ciężka praca.

Ale też piękna: jesteś w otoczeniu natury. Choć bywało ciężko i niebezpiecznie. Kiedyś z ojcem wyciągaliśmy traktorem, z lasu, pień potężnych rozmiarów, trzeba było wyjechać z nim na strome zbocze, a w mojej pięcioletniej głowie zrodził się pomysł, żeby przejechać się na tym pniu. Usiadłam na jego końcu. Po chwili poczułam, że pień zaczyna się obracać wraz ze mną. Nie mam pojęcia, jak udało mi się zeskoczyć, to był zwierzęcy odruch. Ojciec nawet nie widział tego, co się dzieje z tyłu. Wielokrotnie prace na polu kończyły się zadrapaniami, siniakami. Wyrastałam w cieniu fizycznego zagrożenia, ran.

To zmienia?

Wyostrza zmysły. Do teraz nieustannie jestem w czujności, obserwuję, co się dzieje dookoła, jak zwierzę w lesie. To męczące: nie umieć odpuścić niepokoju. Jakby ktoś w dzieciństwie podkręcił mi czujność i nigdy jej nie wykręcił. Co ma i dobre strony: zmaksymalizowana uważność pozwala intensywniej doświadczać, a to wydaje mi się konieczną podwaliną pod pisanie.

Ciekawią mnie te pszczoły, które pojawiają się w „Łakomych”.

To motyw z tego, co przeżyte w dzieciństwie. Tu, na wsi, gdzie mieszkam od grudnia ubiegłego roku, planuję założyć pasiekę. I pierwszy rój przejąć od wujka, który zajął się ulami po śmierci mojego taty. Wiem, że ojcu zależało na tym, że bym pracowała przy pszczołach. Uważał,

że to najwspanialsze stworzenia. Od najmłodszych lat asystowałam mu w pszczelarskich pracach: przy miodobraniu trzymałam podkurzaczy, do którego wkładałam zioła – wrotycz, kobyłak, dziurawiec i hubę – dym z tego uspokajał pszczoły. W czasie miodobrania wyciągaliśmy ramki z ula i przynosiliśmy do domu, do sieni, w której stała miodarka. Kiedy któraś z pszczoł spadała na ziemię, ojciec podnosił ją delikatnie i wynosił na zewnątrz, troszczył się o każdą.

Uzależnienia?

Jego ciało niemal nie reagowało, pojawiały się delikatne zgrubienia i tyle. Miód i jego sprzedaż to był rytuał. Zimą do naszego domu przychodzili ludzie ze wsi po miód, który przelewałam do butelek →

MAŁGORZATA LEBDA (ur. 1985 r.) jest poetką, autorką tomów poetyckich „Matecznik” (Nagroda im. Stanisława Barańczaka 2017), „Sny uckermärkerów” (Nagroda Literacka Gdynia 2019), i „Mer de Glace” (Nagroda im. Wisławy Szymborskiej 2022). Dorastała w beskidzkiej wsi Żeleźnikowa Wielka. Doktor nauk humanistycznych, ultramaratonka. We wrześniu 2021 r. zrealizowała projekt „Czytanie wody: Wiśła”: wzdłuż najdłuższej polskiej rzeki przebiegła 1113 km. Właśnie ukazała się nakładem wydawnictwa Znak jej pierwsza książka prozatorska, powieść „Łakome”.



→ po wódce. Za te pieniądze rodzice opłacali dla nas podręczniki, buty, ubrania... Dzięki temu, że ojciec był pszczelarzem, nie czułam się gorsza. Pszczelarz to we wsi był ktoś. Dlatego do głowy nie przychodziła mi myśl, że pochodzę z niezamożnego domu.

Kiedyś przyszła?

Pod koniec szkoły podstawowej. W pewnym momencie wprowadzono coś takiego jak dożywianie. Kwalifikowano do niego na podstawie wysokości dochodu w rodzinie. Jednego dnia, to była siódma klasa, wychowawczynie wyczytała nazwiska osób, które będą dożywiane. „Do-ży-wia-ne” – to słowo brzmiało jak wyrok, pokazywało twoje miejsce w hierarchii: jesteś z biednego domu. Kiedy wychowawczynie powtórzyła dwa razy nazwisko Lebda – moje i mojej siostry bliźniaczki – poczułam wstyd i – wtedy nie wiedziałam, jak to nazwać, bowiem poczułam to pierwszy raz, teraz wiem: upokorzenie. To był też ten moment, w którym moje dziewczęce ciało zmieniało się, zaczynałam widzieć w sobie młodą kobietę, chciałam być atrakcyjna, podobać się, imponować rówieśnikom, kolegom i koleżankom w klasie. A tutaj taka stygmatyzacja: biedaki.

I jak Cię dożywiali?

Rodzaj spektaklu: na długiej przerwie pani woźna stawiała na środku korytarza, osoby dożywiane ustawiały się w kolejce, każdy dostawał po trzy wielgachne słodkie drożdżówki i po słodkim batoniku. Zdrowe to nie było. Z siostrą opracowałyśmy różne taktyki, by nie stawać w kolejce. Wstydziłam się, może najbardziej tego, jak się na nas patrzy. Sama o nas myślałam: dożywiane, godne współczucia.

Opowiadałaś o tym rodzicom?

Nie skarżyłam się, trzymałam to w sobie. Poza tym mało się rozmawiało w naszym domu, spojrzenia i gesty zastępowały słowa. To było też miejsce z jasno ustalonymi regułami. Każdy wiedział, co ma zrobić – my, dziewczyny, troszczyłyśmy się o rośliny i porządek, pracowałyśmy na roli, starszy brat pracował na polu, opiekował się zwierzętami, majstrował przy maszynach, prowadził ciągnik, zresztą my też. Najbardziej lubiłam

Pszczelarz to był ktoś.

Dlatego do głowy
nie przychodziła mi myśl,
że pochodzę
z niezamożnego domu.

Dla ojca pszczoły to były
najwspanialsze stworzenia.
Ja trzymałam podkurzacz.

wyrzucać gnój spod krów, ten obowiązek podkradałam ojcu.

O!

Tata zajmował się oporządzaniem dużych zwierząt, mama tych drobniejszych. Doiła też krowy, a mleko oddawała do mleczarni. Latem rodzice wstawali o czwartej rano i zaczęli się krzątać po gospodarstwie. Czułam, że nasz dom to wspólnota ludzka, ale też nie-ludzka. Wszyscy mieszkaliśmy pod jednym dachem, stajnia była częścią domu. A każdego roku pod stołem w kuchni mama ustawiała skrzynkę z kurczętami, których doglądała i które dogrzewała żarówką. W naszym domu zwierzęta takie jak koty i psy były pod specjalną ochroną, inne, jak świnię, indyki, kury, kaczki, były zabijane.

W „łakomych” pojawia się też rosół z gołębia.

Nie gotowało się go ze specjalnego gatunku, nie był to king czy karno, to były te zwykłe gołębie. Kiedy na studiach powiedziałam znajomym, że jadłam gołębie w czasie przechodzenia chorób, byli zszokowani. A dla mnie to był drób, jak indyk czy kura – jako dziecko przyjmujesz reguły świata takimi, w jakich się wychowujesz. Refleksja przychodzi z czasem.

Także refleksja o ubojni opisywanej w „łakomych”?

Po jednej stronie rodzinnego domu stały ule, po drugiej ubojnia. Okno pokoju, który od najwcześniejszych lat dzieliłam z siostrą, wychodziło bezpośrednio na stronę rzeźni. Zwierzęta przywożono nocą, reflektory aut tworzyły w naszym pokoju coś na kształt dyskoteki. Koło północy budziłyśmy się, obserwo-

wałyśmy błyski na suficie, ścianach. Nie wiedziałam, czy to się śni, czy nie. Pytałyśmy się z siostrą nawzajem, czy to jawa, czy sen, szczyptałyśmy się, żeby – miałyśmy nadzieję – wybudzić się z tego. Było to mocno psychodeliczne. Do tego zapach krwi i gnoju dochodzący z ubojni. Oraz ryki krów przeczuwających – tak sobie wyobrażam – że idą na rzeź. Z jednej strony więc straszne miejsce, z drugiej kuszące, budzące zaciekawienie. My, dzieciaki, chodziliśmy podglądać, co się tam dzieje, wkładaliśmy ręce w martwe ciała, dotykaliśmy kości, szczątków. To była zabawa, bez tych wszystkich uczuć pojawiających się wraz z pierwszą śmiercią kochanego zwierzęcia, z którym jest się blisko.

Ta pierwsza śmierć?

Maliny. Z siostrą pasłyśmy krowy. Uciekły nam w wieś i na jednym z podwórek weszły w popielisko, w którym zakopane były ziemniaki oraz druty ze spalonej opony. Jedna z krów zjadła taki drut, pochorowała się, tata zaprowadził ją do ubojni. Do domu wrócił już sam, powiedział, że we wnętrznościach Maliny weterynarz znalazł kawałek drutu, że nie dało się jej uratować. Do teraz mam poczucie winy, że ona zginęła przez moje, nasze niedopatrzenie. W tamtym czasie myślałam, że to koniec świata.

No, a ta refleksja?

Kilka lat później, zdaje się, że w ósmej klasie podstawówki, w gminnej bibliotece trafiłam na „Psalmy” Tadeusza Nowaka. Stały się dla mnie przełomową lekturą, która uzmysłowiła mi, że poezja nie musi dotyczyć tylko spraw wysokich i bohaterskich, ale jej pokarmem są też sprawy przyziemne i prozaiczne, takie jak życie na wsi czy praca. Nowak był czuły na los zwierząt, rozpałał moją pracę wyobraźni, kierował uwagę na to co obok: dzikie i oswojone. I zaczęłam wtedy stawiać niewygodne dla rodziców pytania: dlaczego krowę, którą mamy od dziesięciu lat, prowadzi się do ubojni? Dlaczego nie oszczędza się tych wyjątkowych zwierząt? Mówili, że taki jest porządek, że tak zawsze było, chociaż przecież widziałam, że nie jest im obojętne zęgnąć krowę, która była z nimi dekadę.

Albo coś takiego: każda kolejna krowa mojego wujka dostawała to samo imię: Baśka. Zresztą inny wujek tak nazywał

swoje konie. To też imię mojej siostry. Kiedy więc wołali: „Baśka”, nie wiadomo było, o kogo właściwie chodzi. Zwierzęta, które zabijał człowiek, nosiły ludzkie imiona – to mnie nieustannie porusza. Na znak solidarności z nie-ludzkimi istotami przestałam jeść mięso.

Obraz wypasanych krów wraca w „Łakomych”.

To było obcowanie z dużymi, a przy tym szalenie łagodnymi zwierzętami. Fascynujące jest obserwowanie krów: każda ma swój temperament, humory. Słabość szczególną miałam do Jagody, która po godzinie skubania trawy kładła się na boku i zapadała w drzemkę. Przytulałam się do niej, przykładając ucho do jej ogromnego cielska. Czułam wtedy, jak wszystko w niej pracuje – drgają mięśnie, bije serce, trwają procesy w żołądku. Lubiłam tę bliskość, w której żywe przytula się do żywego, nie ma podziału, różnic.

Natomiast Róża, bohaterka „Łakomych” ma słabość do małych zwierząt.

Pierwowzorem dla tej postaci jest moja mama, która najbardziej chroniła pajaki. Zapewne wiązało się to też z przesądem, że zabicie pajaka przynosi ulewne deszcze. Mówiłam wcześniej o kurczaczkach w skrzynce pod stołem. Teraz dodam, że przy tych okazjach czułam zazdrość – widziałam czułość mamy skierowaną na inne istoty, nie tylko nas, dzieci. Wtedy dotarło do mnie, że ona nie należy wyłącznie do nas, że ona matkuje też innym. Było w niej wiele czułości, macierzyństwo rozszerzała na wszystko, co potrzebowało opieki.

Jaka jeszcze była?

Silna. W czasie dwuletniej choroby nowotworowej, przy której jej towarzyszyłam, nie usłyszałam z jej ust słowa skargi, chociaż teraz wiem, że wyzwalające byłoby dla mnie, gdybym zobaczyła ją wtedy płaczącą. Jeśli płakała, to nigdy przy nas. Z siostrą jesteśmy późnymi dziećmi, mama urodziła nas po czterdziestce. W liceum wychowawczyni powiedziała, myśląc o mamie, że mam wspa- niałą babcię.

Zabolało?

Bardziej zastanowiło. Zdałam sobie sprawę, że rodzice odejdą wcześniej niż

rodzice moich rówieśników. Muszę dodać, że dawali nam wiele wolności, chociaż nie w sprawie edukacji, tu nie mieliśmy wyboru, nasze karty były rozdane od początku. My z siostrą miałyśmy iść do liceum, a potem na studia. Rodzice mieli nadzieję, że Kraków nas zatrzyma, nie chcieli, żebyśmy wracały na wieś.

To chyba dobrze?

W tamtym czasie to było dla mnie bolesne, chciałam zostać na gospodarce. Ale to mój brat, jako pierworodny, został wyznaczony na dziedziczącego. Miał zrealizować jeden cel: skończyć szkołę rolniczą i przejąć ziemię. I tak też się, po latach, stało. Jestem przekonana, że gdyby dostał szansę na wyższą edukację, związałby życie z miastem. Boli mnie, że nie dostał szansy wyboru. Widzę niesprawiedliwość. Mówi się, że kobiety są ograniczane, to prawda, ale w mojej rodzinie było tak, że reguły gospodarskiego domu nie pozwoliły mojemu bratu dalej się uczyć.

Powrót w Beskid Sądecki to spełnienie młodzieńczego marzenia?

To mój drugi powrót, po tym do chorującej mamy. Wtedy zamroziłam krakowskie życie i przyjechałam na wieś, by przez dwa lata zajmować się ukochanym człowiekiem. Mama zmarła ponad dziesięć lat temu, a dopiero teraz mogłam napisać „Łakome”, o których myślałam od dnia odprowadzenia jej ciała na cmentarz.

Chodzi o dystans?

Potrzebowałam czasu i potrzebowałam fikcji, by tę autobiograficzną opowieść otworzyć i uniwersalizować. Dzięki temu mogłam głaskać swoje traumy, szczerzej mówić o emocjach, upominać się o czułość dla osób, które opiekują się swoimi chorymi. Te dwa lata przy chorobie były trudne – niełatwo jest być z najważniejszym dla siebie człowiekiem, który cierpi, którego ciało na twoich oczach kurczy się, znika. Ludzie opiekujący się śmiertelnie chorymi sami potrzebują wsparcia. Dostają je rzadko. Przyglądam się temu w powieści. Materią są moje doświadczenia, te bolesne, ale i te piękne, jak chociażby to: czytanie mamie na głos wierszy Krystyny Miłobędzkiej i Tadeusza Nowaka.

A tata?

Dumny, jak i mama, że jestem – jak lubili podkreślać – poetką, traktowali to jako awans społeczny, podobnie to, że dostałam się na studia doktoranckie i planowałam związać się z uniwersyte- tem. Dla nich, ludzi po podstawówce, to było ważne, stąd te naciski, żebyśmy się uczyły.

Utrata taty przyszła też szybko: zmarł nagle pół roku po mamie. Wywróżył sobie to, mówił, że pójdzie za mamą, nikt temu nie dowierzał. I stało się. W punkt. Wtedy w moim rodzinnym domu zamieszkała żaloba. Nie jestem w stanie spędzić tam więcej niż dwa, trzy dni. Zamieszkałam nieopodal, żeby być blisko, ale nie dać się na nowo dotknąć żalobie, którą uruchamia chociażby widok jabłoni, teraz wydającej owoce, a szczepionej przeze mnie i ojca trzydzieści lat temu.

To początek w nowym miejscu?

Od kilku miesięcy żyję w przysiółku, malowniczo osadzonym w paśmie Jaworzyny Krynickiej, usytuowanym ponad moją rodzinną wsią. Wróciłam na moich zasadach. Mieszkam z bliskim mi człowiekiem, psem Dunajem i kotem Kłakerem, w domu wybudowanym w roku 1947. Pierwsze, co tu przeniosłam, to biblioteka i od tego momentu to miejsce nazywam domem. Uprawiam trzy odmiany ziemniaków: bellarosę, poleconą przez poetkę i botaniczkę Ulę Zajączkowską, eksperymentuję też z denarem i irgy. Posadziłam je w różnych miejscach, inaczej nasłonecznionych, obserwuję, badam. Nawożę je naturalnymi gnojówkami, które robię z pokrzyw i żywokostu. Zarazy i stonka, odpukać, nie interesują się tymi uprawami. Zbieram grzyby, robię kiszonki i soki, szykując się na białą i mroźną zimę tu, na grani. Więc nowy początek, tak, po stratach, które mnie i moje rodzeństwo dotknęły.

One są policzalne?

Te ludzkie szły tak: utrata jedynej i ukochanej babci, tej od strony mamy, potem, w odstępie sześciu miesięcy, rodziców. W nowy początek biorę moich bliskich zmarłych. Też moją siostrę Magdalę, która zmarła przy porodzie na dwa lata przed naszym urodzeniem. O jej śmierci usłyszałyśmy z siostrą po raz pierwszy od jednej z ciotek. Powiedziała kiedyś, przy nas, do mojej mamy: „Weroniko, zobacz, Bóg zabrał ci dziecko, →

→ żeby za chwilę oddać ci namnożone, dwójkę”. Wstrząsnęło to nami. Z siostrą zastanawialiśmy się, która z nas jest tą starszą siostrą. Wyobraź to sobie – mała dziewczynka, która pyta samą siebie patrząc na swoje odbicie w lustrze: czy ja jestem sobą? Czy ja rzeczywiście jestem Małgorzatą, czy bardziej zmarłą Magdaleną, która wcieliła się na nowo w ciało?

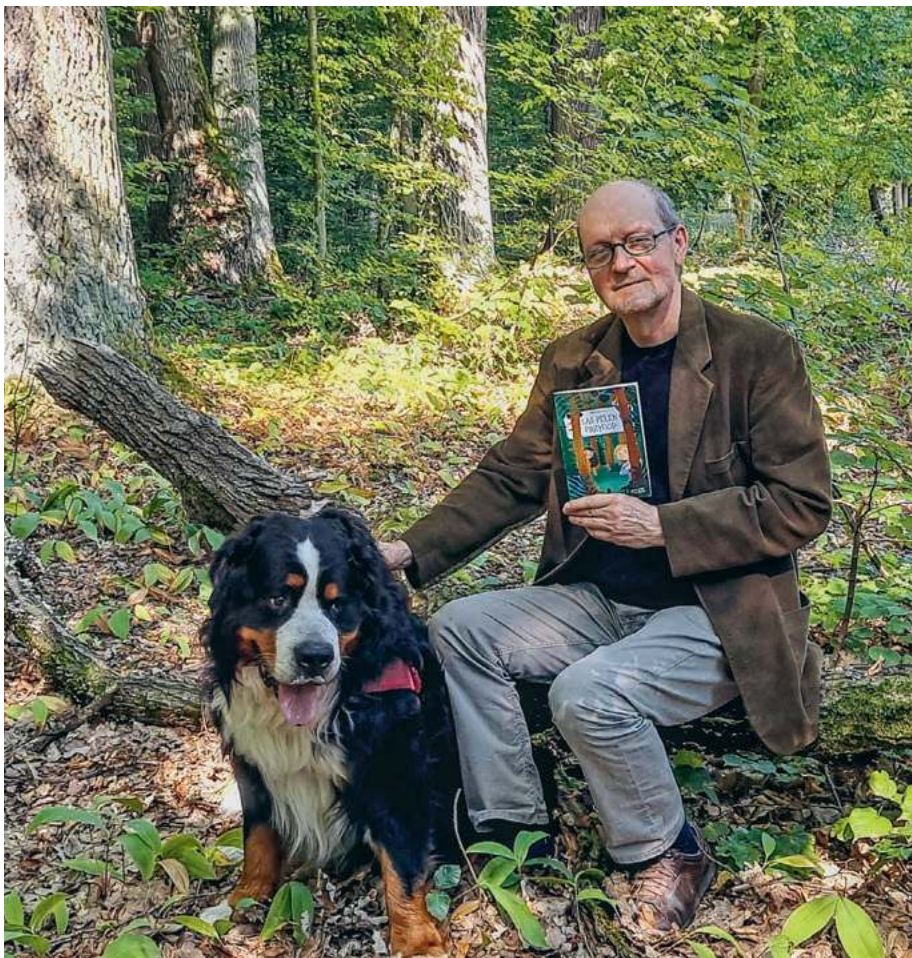
Mam poczucie, że od momentu, kiedy wyszło na jaw, że miałyśmy siostrę, ona zaczęła w nas i przy nas żyć. W dziecięcym domku na miedzy bawiliśmy się z kuzynostwem w ten sposób, że przygotowując stół do kolacji, jak na wigili, stawialiśmy jeden talerz więcej, dla niej. Lub idąc z grupą dzieciaków przez las, oglądałam się za siebie, sprawdzając, czy wszyscy są, czy nikt się nie zgubił. Wierzyłam, że za którymś razem zobaczę Magdalenę.

Jeszcze ta ostatnia śmierć: twojego pierwszego męża, Kacpra, który zginął w Alpach w maju tego roku.

To tragedia nie do opisania słowami. Ta śmierć nie powinna się wydarzyć. Trwam w szoku. A przy tym dla mnie te kilkanaście lat dzielenia codzienności z alpinistą było ekstatyczne i inspirujące. Dzięki niemu sama zaczęłam się wspinać. Równoległe było to życie na nieustannym gigancie niepozwalającym przestać myśleć o śmierci. Kiedy więc przyszła wiadomość o tej tragedii, sparaliżowało mnie. Nie był to jednak pierwszy taki paraliż.

Dwa razy przeżyłam już myślenie, że zginął. Zdarzyło się to w czasie, kiedy wspinał się w Karakorum i Himalajach. Byliśmy umówieni na konkretny czas, w którym po zejściu z gór ma dać mi znać, że wszystko dobrze. Taki dedlajn, do upłynięcia którego mam się nie martwić. Dwa razy o kilkadziesiąt godzin przekroczył te – i tak bezpiecznie ustalone – dedlajny. To było za każdym razem po kilkadziesiąt godzin żałoby. Po czasie okazywało się, że nie kontaktował się z powodów prozaicznych: raz telefon uległ awarii, kiedy indziej wyczerpała się bateria. Ale rysy zostają – kiedy raz pomyślisz o kimś jak o umarłym, to już takim w jakiejś mierze zostaje. Nieznośne, wyczerpujące poczucie. Współczuję wszystkim bliskim Kacpra. Pozwalam sobie też na współczucie wobec siebie.

©© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA



Wyskoczyło z krzaków

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Marek Stokowski chce zrehabilitować skompromitowany gatunek ludzki i przynieść udręczonemu światu nadzieję. Pisarz z Puszczy Sztumskiej właśnie wydał „Las pełen przygód”. Dla dzieci? Czytam właśnie. Jest też i dla Was.

TA SCENA WCALE NIE PRZEDSTAWIA wygłupów leśnej menażerii: „Drozd zawył jak wilczek, czym wystraszył młode sarny, a wilczki śpiewały jak drozdy, potwornie fałszując... Buki udawały wielkie słonie na wysokich, grubych nogach, zaś dęby sprawały wrażenie, że zostały stadem żubrów. Krępe graby, te, wiadomo, zmie-

niły się w grabie, a Mariam w wiewiórkę, wiewiórki zaś w mrówki. Mrówki przedzierzgnęły się w jelenie (w nadzwyczajnie liczną chmarę), a jelenki – w sennie jeże najeżone porożami... Sarnięta i lisy starały się bardzo, żeby fruwać jak sokoły, a sokoły i krogulce próbowały skakać w trawie tak jak żaby i ropuchy”.



Marek Stokowski, wrzesień 2023 r.

To jest poważna przymiarka do planu oszukania Vandalo, wielkiego wroga lasu, kalającego środowisko śmieciami, wnykami i hałasem, dewastującego je piłami i ogniem. Terroryzowana przyroda – ożywiona i nie tylko – jest niemal bezradna, ale oto niespodziewanie na ratunek przybywają dziesięcioletni Tomek i jego rówieśnica, Gruzinka Mariam.

– Tomka, jak wielu innych moich bohaterów, spotkałem podczas jednej z leśnych wędrówek, parę kilometrów od mojego domu – mówi 66-letni pisarz. – On pewnie wyszedł z różnych lęków i trudnych wspomnień, ale i z wielkiej nadziei. Z lęków przed chorobą i nieszczęściami. I z nadziei na to, że nie jesteśmy sami i możemy być ocaleni.

Mariam z kolei to dziecięcy powidok studentki z Tbilisi, która przez rok uczęszczała na zajęcia prowadzone przez Stokowskiego, wówczas kustosa malborskiego Muzeum Zamkowego.

Tomek i Mariam nie pojawiają się w lesie jako przypadkowi spacerowicze. Przenoszą się tam mocą wyobraźni, niezależnie od siebie, w poszukiwaniu harmonii. Fizycznie nie byłiby w stanie, bo obydwójce są pacjentami szpitala – Mariam ma za sobą operację nerek, Tomek jest ofiarą wypadku drogowego, w którym ucierpieli też jego rodzice.

Wyobraźnia jako ocalenie

W lesie pomagają zwierzętom powstrzymać wysychanie rzeki czy pożar torfowiska, uwalniają sarnie koźle z prymitywnych sidła. A także uczą się mocy szczerych pragnień, modlitwy i dobrych uczynków.

Z pewnością polubiliby się z M, bohaterem trylogii Stokowskiego „Samo-loty” (2005). Występuje tam jeszcze jako Marcin Sadowski, być może porte-parole autora. M występuje też w „Stroicielu lasu” (2010) i „Kinie krótkich filmów” (2014). W pierwszej powieści bohater jest jeszcze chłopcem z warszawskiego Okęcia, który usiłuje wcielić w życie plan lotniczej ucieczki ze ściśniętej gomulkówską pętlą Polski Ludowej do taty, będącego głosem Radia Wolna Europa, natomiast w dwóch kolejnych odnajdujemy go jako dorosłego, mocno poturbowanego przez zły los mężczyznę, mogącego uchodzić za nieco zdzienniałego jurodiwego.

Gdy zachodzę w głowę, skąd u Stokowskiego wiara w pierwotne dobro dzieci, gdy z mediów regularnie dowiadujemy się o przerażających ekscesach nieletnich i o młodocianych terrorystach, pisarz przypomina mi o Chrystusowych słowach „Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie” i dodaje, że dziecko góruje nad dorosłym, bo mocą fantazji potrafi marzyć, istnieć w równoległych rzeczywistościach: – Dziecko to figura początku, nowej możliwości, a przede wszystkim potencjał wyobraźni. A jednym z fundamentalnych tematów mojego pisania jest właśnie fenomen wyobraźni, wyobraźni rozpaczliwej, chorej, ucieczkowej i niszczącej, ale też tej tworzącej, broniącej i ocalającej.

Ale przyznaje, że i on w warszawskim przedszkolu przy Filtrowej doznawał upokorzeń ze strony rówieśników, a w latach szkolnych z bliska poznał „niewyobrażalne okrucieństwo, bezwzględność i – jeśli można tak powiedzieć – psychopatyczny kodeks mafijny gitowców”.

Lęk i rozpad

W powieściach Stokowskiego zło przychodzi głównie od ludzi – funkcjonariuszy opresyjnego systemu, czy to PRL-owskiego (indoktrynujący nauczyciele, esbecy), czy tego z III RP (przerośnięta patologia gminna nomenklatura), albo zwykłych szubrawców (gitowcy w PRL, wandale i kłusownicy współcześni): – To zło przybiera postać przemocy psychicznej i fizycznej, zastraszania i szcucia, niszczenia i rozstrajania świata.

Dlatego tak ważne jest zrobienie pierwszego kroku – pokonanie lęku. Gdy lecący wyobrażonym aeroplanem mały Marcin z „Samo-lotów” ląduje w Ameryce, konstatuje z radosną ulgą: „Ja – kompletnie – się – nie – bałem. Do tej pory miałem zawsze kamień w brzuchu, nawet latem, nawet w święta. (...) Boże, jakie to jest fantastyczne – nie bać się własnego życia”. Złem jest więc i lęk.

A także rozpad oswojonego świata – separacja Tomka od rodziców leżących na innym oddziale szpitala, wyjazd Moniki, ukochanej M, do Szwecji na leczenie, emigracja ojca Marcina. Być może to echo rozvodu rodziców samego Stokowskiego, gdy przyszły pisarz miał 10 lat.

Jest też inne zło, od ludzi niezależne, będące, jak mówi mi pisarz, „tajemnicą nie do przeniknięcia”: – To choroba i związane z nią cierpienie, o jakim ks. Tischner powiedział, że jednak nie uszlachetnia. Choroba dotyka Marcina, dotyka Monikę w dwóch kolejnych powieściach o M, doświadcza jej też Tomek i Mariam. Nie próbują się z nią mierzyć, pragną tylko uzdrowienia, uwolnienia. Boją się nawet nie śmierci, a cierpienia i właśnie cierpienie tak trudno im przyjąć. Swoje i cudze.

Najwyraźniej Stokowski bierze „na klatę” różne własne traumy i usiłuje rozbroić je w powieściach, by na przekór złu dostrzec światło, którego ciemność nie ogarnie. Jak mówi psi narrator „Stroiciela lasu” (a także „Kina krótkich filmów”): „Chyba nie chciał zbawiać świata, tylko sprawić, żeby chociaż w jednym jego kącie panowało mniej chaosu i cierpienia”.

Wszak i sam autor jako nastolatek uświadomił sobie po niebezpiecznym wypadku na nartostradzie gorzką prawdę: – Nieszczęścia nie przydarzają się wyłącznie innym ludziom, ale mogą dotknąć także mnie, bo nie jestem boskim, zachowującym bezpieczny dystans obserwatorem sceny z marionetkami, którym ktoś

→ łamie kości lub wyrwa paznokcie, ale niemal bezbronnym uczestnikiem tych wydarzeń, jednym z bohaterów tego dramatu łamania gnatów lub utraty bliskich.

W obliczu zła ważne jest współdziałanie. Sam Tomek czy sam M nie byłiby w stanie postawić tamy niegodziwości. To ważny element prozy Stokowskiego. W kluczowym momencie „Samołotów” Marcin jest sam i pozostaje mu wymuszona ucieczka w powypadkową śpiączkę. Tomek działa ręką w rękę z Mariam i ręką w łapę z całą leśną społecznością. Podobnie M, któremu poza zwierzętami w sukurs przychodzą „znajomi piloci”, „eskadra świętego Michała”, czyli nadprzyrodzone byty opiekuńcze, aniołowie – i wspierają stawanie się cudu.

Sam Stokowski napisał kiedyś w legalnie udostępnionym mi liście do pewnej czytelniczki: „Czasem zdarzają się cuda, nie bardzo wiadomo dlaczego, skoro nie wydarzają się inne”. Te, które się zdarzają, to owoce wspólnego działania.

Zło śmiechem zwyciężaj

Mówimy cały czas o fundamentach ludzkiego doświadczenia – złu, cierpieniu, odkupieniu – a ani słowem dotąd nie wspomnieliśmy o tym, czym proza Marka Stokowskiego jest przesączona na równi z herbertowskim przekazem moralnym – o dowcipie, obecnym już w wydanych przed ćwierćwieczem „Snach dla dorosłych i dla dzieci” (1998).

I co z tym śmiechem? Okazuje się: – Śmiech? Po pierwsze, lubię. Po drugie, nie da się opowiadać śmiertelnie poważnie o trudnych sprawach, bo inaczej i piszący, i czytający zwariują, a na pewno potwornie się zniechęcą albo znudzą. Po trzecie, to wyśmienity kontrapunkt. A po czwarte – to fantastyczne lekarstwo dla duszy i ciała. No i broni przed lękiem, więc pewnie dlatego podczas wojny i w czasach komunizmu funkcjonowała taka masa znakomitych dowcipów. Śmiech zawsze był groźny dla despotów.

Zaczyn każdej jego powieści, także dwóch wciąż czekających na wydanie, czyli „Świętego Leonarda z pól” i „Lotnicha”, to założenie, że będzie do śmiechu. Dopiero potem rzeczywistość podnosi paskudny łeb i wsacza w fabułę gorzką ośnowę. Niemniej to właśnie wtedy pojawiają się komiczne epizody: –Jestem klasycznym smutnym błaznem. Ale też błaznem pracującym, którego

MAREK STOKOWSKI:

Czasem zdarzają się cuda,
nie bardzo wiadomo
dlaczego, skoro
nie wydarzają się inne.

technika pisarska polega na tym, że stawiam sobie zadania do rozwiązania. Łączę po lesie i szukam słów i obrazów. Uparcie. Gdy wejdę w mocny rytm, to wyobraźnia tak się rozgrzewa, że wtedy co i rusz wyskakują z krzaków coś obiecującego. Także dowcipnego.

Ten dowcip zawojował swego czasu prawdziwych specjalistów, członków grupy Mumio, którzy w radiu czytali całą trylogię o M, a Zbigniew Zamachowski – cykl niewydanych humoresek Stokowskiego „Zbyszek leży na leżąco”.

Dowcip to szczególnie, czasem dyskretny, czasem miażdżący. Ot, weźmy taką królową hiszpańską, która w „Kinie krótkich filmów” staje swoją kolasą przed żuławskim GS-em, mieszczącym się „w niebieskim kontenerze. No i mają tam nie tylko ćwikłę, ale także gwoździe i saletrę. Królowa kupuje zapalki. Widzi bułkę z rodzynkami. Też prosi i bierze, żeby sobie poprobować. Dworzanie kupują śmietanę, na później”. Zaś po odjeździe orszaku „robi się zupełnie pusto, raczej cicho, tylko zgrzyta luźna blacha oderwana z boku kontenera, tak że trudno mieć zupełną pewność”. Albo takiego kolegę z Gardei, który w tymże „prosi każdą z napotkanych pań do tańca” i „obtańcowuje niemal wszystkie, od samego rana do wieczora, na ulicach i na placach, w sklepach, w kwaterunku i na pocztach” (w tymże „Kinie”). Czy młodego Rogera Moore’a, który żałuje, że w ’67 albo ’68 chciał „przyjechać do Lasowic srebrnym volvo (...), z tym że jakoś tak nie wyszło”.

Przesłanie z lasu

Z przyjazdem do lasu wyszło za to samemu Stokowskiemu – jak wspomina, jeszcze w warszawskich czasach była to dlań zrazu wakacyjna przestrzeń przygody i wolności, ale z czasem także ma-

tecznik, do którego czmychał w każdej wolnej chwili, choćby do podmiejskiego zagajnika, byle dalej od miejskiego smrodu, tłoku, hałasu, betonu i chamskiej walki o podstawowe towary. Wreszcie, zainspirowany snem, w którym ujrzał „w słonecznym, letnim lesie wąską drogę o powierzchni cieplej jak skóra zwierzęcia i gęstwinę, w której w ciszy znikają moi przyjaciele ze szkoły średniej”, zaczął poważnie myśleć o zerwaniu łańcucha wielkomiejskiej, zimnej rutyny i rozpoczęciu przygody, czyli „życia wypełnionego pracą, działaniem, tyle że w pokoju ducha i w zachwycie”.

I w 1981 r., zaraz po studiach, przeniósł się na północ, w skandynawskie światło lasów Pomorza i Powiśla. Dwa lata później zaczął pracować w Muzeum Zamkowym, szybko stając się wyśmienitym znawcą i popularyzatorem wiedzy o historii tego miejsca. A od dziesięciu lat na stałe mieszka w Puszczy Sztumskiej, słowami próbując wypełnić rolę, jaką w powieści powierzył M, strojącemu lasy, by wyeliminować dysharmonię i dysonanse, leczyć świat z fałszywych tonów, ubytków, chorób.

W czasie, gdy krytycy głośno i słusznie wychwalają śmiałość, „ryjące beret” i często fenomenalne eksperymenty stylistyczne, nie traćmy z oczu prozy, która oferuje nam nieco inny eksperyment – psychologiczny. Eksperyment polegający na tym, że o tych samych sprawach można też mówić językiem wyzbytym cynizmu i brutalizmu, a jednak nowoczesnym, bo wydobywającym to, co ważne tu, teraz i zawsze, treściwym i mającym swoisty *flow*. I pobudzającym ku uważności, działaniu i nadziei.

W końcówce „Lasu pełnego przygód” czytamy: „Dziewczynka podniosła się z miejsca. Stała prosto i tak pewnie, jak sosny i buki. A Tomek stał przy niej. Wydawało się, że razem świecą”.

W gruncie rzeczy chodzi właśnie o to. By trochę poświecić.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI



Marek Stokowski
LAS PEŁEN PRZYGÓD
Wydawnictwo
Jedność,
Kielce 2023.



MATERIAŁY PRASOWE / ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Na pierwszym planie Wenus Bartholoni, druga połowa II w., własność prywatna

Powrót do przyszłości

PIOTR KOSIEWSKI

Odkrycie setek antycznych przedstawień nagich kobiet i mężczyzn radykalnie zmieniło myślenie o cielesności, jej erotycznym wymiarze. Ale i to nie było najważniejsze.

WYSTAWA „PRZEBUDZENI” NA ZAMKU KRÓLEWSKIM W WARSZAWIE opowiada o wielkim przełomie, który do dziś jest fundamentem naszej kultury – początkach włoskiego renesansu w XV wieku. O odkryciu dziedzictwa starożytnej Grecji i Rzymu, które zrewolucjonizowało sposób myślenia o sztuce, człowieku i otaczającym go świecie.

Doskonalsze niż w naturze

Na Zamku znalazła się między innymi „Dama z jaśminowcem” Lorenza di Credi, jeden z najpiękniejszych portretów stworzonych w tym czasie. Są obrazy Giovanniego Belliniego, Andrei Mantegni i Pietra Perugina, ceramiczne rzeźby Andrei della Robbia oraz rysunki wybitnych architektów – Donata Bramantego i Baldasara Peruzziego. Jednak to nie obecność

dzieł ważnych twórców sprawia, że „Przebudzeni” są szczególnym wydarzeniem. Twórcom wystawy udało się – za pomocą ponad 160 dzieł: obrazów, rysunków, rzeźb, manuskryptów i starodruków pochodzących z ponad 50 publicznych i prywatnych kolekcji z Europy oraz Stanów Zjednoczonych – stworzyć fascynującą opowieść o czasach, w których powstały podwaliny nowożytnego świata.

XV-wieczni twórcy nie byli pierwszymi, którzy odwoływali się do antyku. Tradycja starożytnego Rzymu była ważna dla cesarza Karola Wielkiego (zmarł w 814 r.); jego ciało złożono nawet w antycznym sarkofagu, którego dekoracja przedstawia historię Prozerpiny. Do antyku odwoływali się też jego następcy, jak Fryderyk II Hohenstauf, który został sportretowany w stroju rzymskiego cesa-

rza. Odkrywany po wiekach zapomnienia Arystoteles był kluczowy dla filozofii Tomasza z Akwinu. Do starożytności nawiązywali wreszcie Boccaccio, Dante i Petrarca. Jednak dopiero XV wiek uznał antyk za punkt odniesienia.

Donatello i Filippo Brunelleschi – kluczowi artyści dla powstania sztuki odrodzenia – udali się do Rzymu, by studiować tamtejsze antyczne pozostałości. Brunelleschi, jak pisze Giorgio Vasari w „Żywotach najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów”: „nie poprzestał, dopóki nie został przez niego odrysowany każdy rodzaj budynku, okrągłe i prostokątne świątynie (...) akwedukty, łaźnie, łuki, cysterny”. A po powrocie do Florencji przedstawił projekt kopuły tamtejszej katedry, jednego z najsłynniejszych dzieł doby renesansu. Leon Battista Alberti całą swą architekturę oparł na rzymskiej tradycji. Andrea Mantegna uważał zaś, że „dobre statuy antyczne są doskonalsze i mają w sobie wiele piękniejszych partii, niż to się spotyka w naturze”.

Największą pochwałą dla artysty stało się porównanie z antycznymi twórcami. Vasari opisuje wielki hołd, jaki po śmierci oddano Donatellowi. Mieszkańcy Florencji uznali bowiem, że jego dzieła „posiadały tyle wdzięku, artyzmu i doskonałości, że dorównywały znakomitym pracom starożytnych Greków i Rzymian”. ➔

→ A o wielkości talentu młodego Michała Anioła zdaniem jemu współczesnych świadczyło to, że jego „Śpiący kupidyn” został wzięty za starożytne dzieło.

Szukając Polii

W 1581 r. francuski historyk i antykwarisz pisał: „starożytność jest tak szanowana przez ludzi, mających jakieś poczucie człowieczeństwa, że mało jest osób zażożnych, które, choćby nawet niewiele o niej wiedziały, nie pragnęły przedstawić jej sobie w miarę możliwości”, czyli posiadać antyczne monety, rzeźby czy dawne inskrypcje.

Czasy średniowiecza zaczęły wydawać się długim snem, z którego właśnie się wybudzono. Stąd tytuł wystawy, zaczerpnięty z opublikowanego w 1499 r. w Wenecji dzieła „Hypnerotomachia Poliphili”, autorstwa dominikanina Francesca Colonna – jednej z najbardziej tajemniczych, a jednocześnie niezwykle pięknie wydanych książek czasów renesansu. Opowiada o wędrówce Polifila w poszukiwaniu swojej jedynej miłości, Polii. Podróż niezwykle, bo odbywa ją we śnie. Po świecie zaludnionym przez nimfy i bogów, żyjących w ogrodach i wśród antycznych budowli. Wyprawy, w której jednocześnie odkrywa on starożytność.

Warszawska wystawa także jest podróżą na granicy jawy i snu. Oglądający, niczym bohater opowieści Colonna, są świadkami odkrywania antyku przez XV-wiecznych artystów. Szczególnie miejsce zajmuje tu Rzym, który od tego czasu staje się celem nie tylko religijnych pielgrzymek, ale też artystycznych peregrinacji. Jego starożytne budowle i zgromadzone w nim dzieła sztuki zawładnęły wyobraźnią całej Europy. Są podziwiane i kopiowane, jak słynny konny posąg Marka Aureliusza czy „Spinario”, czyli rzeźba chłopca wyjmującego kolec ze stopy. Ich przeniesienie w 1471 r. – decyzją Sykstusa IV – sprzed pałacu papieskiego na Lateran na Kapitol jest uważane za początek oficjalnego uznania antycznego, pogańskiego dziedzictwa. Odkrycie zaś bogato zdobionych malowideł i stiukami grot – okazały się pozostałościami legendarnego Domus Aurea Nerona – rozpowszechniły w całej Europie modę na groteski: ornamenty roślinne połączone z fantastycznymi motywami postaci ludzkich lub zwierzęcych.

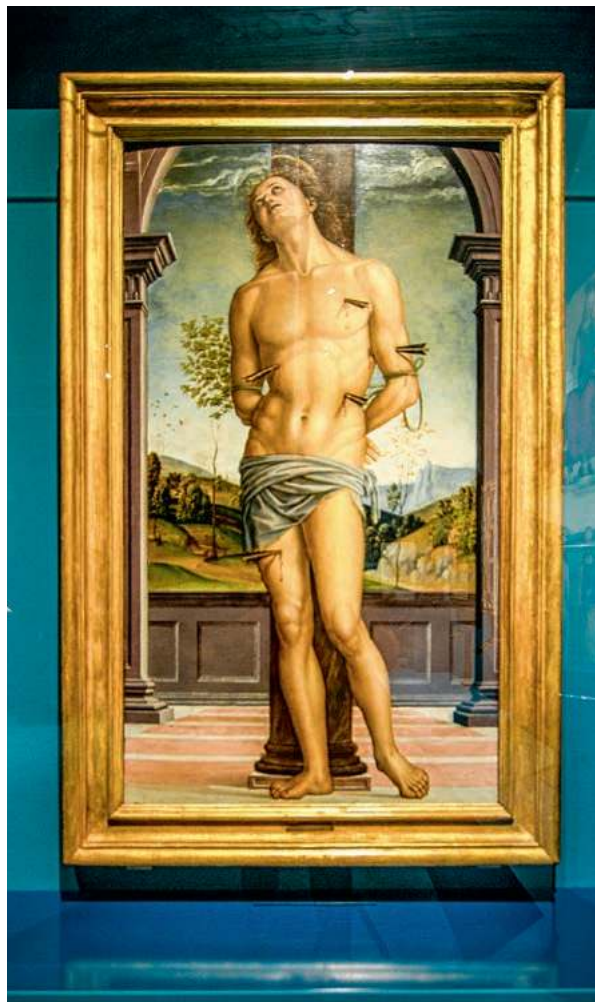
Obok:
*Perugino (przypisywany),
Męczeństwo
św. Sebastiana,
ok. 1490-1495, Galeria
Borghese, Rzym*

*Na prawej stronie
od góry:*

*Na pierwszym planie:
Satyr odpoczywający,
2 ćw. II w.,
Zamek Królewski
w Warszawie*

*Andrea Mantegna,
Ofiarowanie Izaaka,
ok. 1490-1495,
Kunsthistorisches Museum,
Wiedeń*

*Lippo d'Andrea,
Putto grający na flecie
i bębnie (verso),
ok. 1420-1450, własność
prywatna*



MATERIAŁY PRASOWE / ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE X4

Starożytność trafia też do sfery prywatnej. W Zamku Królewskim znalazły się przykłady dzieł zamawianych w związku z zaślubinami: *cassoni* – skrzyń posagowych i *spalliere* – malowideł montowanych najczęściej jako zaplecki łóża. Dekorowano je często scenami zaczerpniętymi z historii antycznych, które miały przygotowywać nowożeńców do ich nowych ról. Można nawet zobaczyć rzadki przykład *desco da parto*, tacy porodowej, którą traktowano jako pamiątkę narodzin. Na niej także znalazły się motywy antyczne.

Kto tu wejdzie...

Quattrocento to początek fascynacji konkretnymi dziełami sztuki, ich kult, uznanie ich za – używając współczesnego języka – ikoniczne. Jednym z nich jest słynny Tors Belwederski – na wystawie znalazł się jedynie jego gipsowy odlew. Rzeźba, która była nieustannie szkicowana przez artystów, powielana w różnych wersjach. Inspiracje tym niezwy-

kłym dziełem można odnaleźć w pracach wielu, także najwybitniejszych artystów tego czasu.

Z docenieniem dziedzictwa starożytnych wiąże się też bardziej zasadnicza zmiana, jaka zaszła w tym okresie: stosunku do dzieł sztuki, także powstających współcześnie. Dostrzeżenie, że, jak podkreśla Krzysztof Pomian, „tylko sztuka pozwala przekształcić coś przemijającego w coś trwałego”. Zmienia się wreszcie stosunek do samych artystów, ich miejsce w społeczeństwie. Coraz częściej dostrzega się w nich kogoś więcej niż sprawnych rzemieślników. Artyści zaczynają zdobywać autonomiczną pozycję, status niezależnych twórców.

Dochodzi do jeszcze jednego, fundamentalnego przełomu: w sposobie postrzegania człowieka. Odkrycie setek antycznych przedstawień nagich kobiet i mężczyzn, wprowadzenie aktu na pełnych prawach do sztuki, to wszystko radykalnie zmieniło myślenie o cielesności, łącznie z erotycznym wymiarem.



Dotyczyło to także dostrzeżenia nieheteronormatywności – o czym wystawa wprost mówi. Znalazł się na niej zresztą dość niezwykły obiekt: tzw. Torso Sassi, czyli fragmentarycznie zachowana rzeźba Apolla. Można ją oglądać dokładnie tak, jak widzieli ją wchodzący na renesansowy dziedziniec Casa Sassi przy dzisiejszej via del Governo Vecchio w Rzymie, czyli odwróconą tyłem, by można było podziwiać jego starannie wymodelowane plecy i pośladki.

„Przebudzeni” skupiają się na artystycznym wymiarze przemian, jakie zaszły w XV wieku pod wpływem odkrycia antyku. Jednak były one znacznie głębsze. Ostatecznie podważony został tradycyjny, dominujący do tego czasu obraz przeszłości, którego podstawą było przeciwstawianie przeszłości chrześcijańskiej i pogańskiej, a co za tym idzie, *sacrum* i *profanum*. Starożytność została uznana za pełnoprawną część dziedzictwa, a to, co świeckie, uzyskało swój należny głos.

Zmiana ta stała się podstawą świata nowożytnego, a dziedzictwo starożytności, odtąd nieustannie na nowo interpretowane, przez wieki będzie jednym z najważniejszych punktów odwołania. Źródłem inspiracji zarówno dla władz autokratycznych, jak i dla społeczeństw

demokratycznych. Bez niego nie byłoby Oświecenia ani nowoczesności. Brzemienne okazały się słowa przestrogi, które usłyszał w swym śnie-podróżu Polifil: „Kto tu wejdzie, nie może już się cofnąć”.

Antyk dzisiaj „zdaje się po raz kolejny stawać punktem odniesienia, kołem zamachowym dla nowej humanistycznej autorefleksji” – podkreśla Mikołaj Baliszewski, kurator wystawy. Pomocne może być doświadczenie ubiegłego stulecia. Dziedzictwo starożytności inspirowało wtedy nie tylko twórców totalitarnej architektury i twórców kolejnych neoklasycyzmów, ale też Pabla Picassa, Cy’a Twombly’ego czy Louise Bourgeois – wielkich twórców XX wieku. Dziś także, jak podkreśla duński artysta wietnamskiego pochodzenia Danh Võ, jeden z najciekawszych twórców ostatnich dekad: „Te dzieła nie należą do przeszłości. Są to obiekty, z którymi do dziś się spotykamy”. Od nas zależy, jaki kształt nadadą naszej przyszłości. Bo nadadzą.

© PIOTR KOSIEWSKI

PRZEBUDZENI. RUINY ANTYKU

I NARODZINY WŁOSKIEGO RENESANSU, Zamek Królewski w Warszawie, wystawa czynna do 15 października br., kurator wystawy: Mikołaj Baliszewski

Różnica czasu

ANITA PIOTROWSKA

Oto jeden z piękniejszych filmów traktujących (między innymi) o radzeniu sobie z poczuciem straty, pokusie alternatywnego losu i o tym, kim jesteśmy w oczach innych.



KTÓŻ Z NAS, PATRZĄC NA NIEZNANĄ parę w restauracji czy barze, nie zastanawiał się, o czym z takim przejęciem rozmawiają i kim dla siebie są? A gdyby jeszcze była ich trójka i na dodatek rasowo zróżnicowana... Uruchamia się wówczas wyobraźnia tudzież usilne pragnienie, by na moment zabawić się scenarzystę czyichś losów. Tak rozpoczyna się film „Poprzednie życie” i w pewnym momencie jedyna w owym gronie kobieta patrzy wprost na tego, kto ich z oddali podpatruje. Czyli na nas albo najwyżej w kamerę, bowiem Celine Song stworzyła obraz, w który włożyła wiele z siebie – nie tylko ze swych doświadczeń imigranckich.

Ta historia mogłaby stać się punktem wyjścia dla późnego Kieślowskiego, ale tu rozwija się zupełnie inaczej i za pomocą zupełnie innych środków. Z tamtego kina mogłaby pochodzić co najwyżej powtarzająca się symbolicznie liczba dwanaście. Dokładnie tyle lat mieli Na Young (Greta Lee) i Hae Sung (Teo Yoo), kiedy w seulskiej szkole połączyło ich coś więcej niż rywalizacja o stopnie. Następnie

dziewczynka wyjechała z rodzicami do Toronto i minęło równe dwanaście lat, kiedy dzięki mediom społecznościowym bohaterowie nawiązali ze sobą pierwszy kontakt. A potem było kolejne dwanaście, gdy już jako dojrzały ludzie mogli spotkać się ze sobą na żywo. Po drodze ona została nowojorską pisarką i szczęśliwą mężatką, on zaliczył wojsko, studia inżynierskie i dalej, wzorem wielu swoich kolegów, mieszka z rodzicami.

Dzieli ich wszystko: tysiące kilometrów, różnica czasu, a jej koreański zdążył „zardzewieć” po latach rzeźbienia w angielszczyźnie. Zmieniła nawet imię i teraz jest Norą, jednakże Hae Sung nadal widzi w niej tę odnalezioną po latach dziewczynkę ze Skype’a, o ile nie tamtą dziewczynkę z warkoczykami, z którą bawił się w Seulu. Tylko czy jest sens odwoływać się do czegoś tak mglistego, jak wspomnienia z dzieciństwa, budować na tym cokolwiek i z tego powodu coś burzyć?

Kiedy wreszcie się spotykają, nie mogą oderwać od siebie wzroku. To dlatego Nowy Jork jest w filmie Song tak ostentacyjnie pocztówkowy – na tę chwilę traci znaczenie, przypomina własną makietę. Dla Nory ów obcy i zarazem jakże bliski mężczyzna staje się wcieleniem świata dawno temu utraconego i możemy się jedynie domyślić, czym był dla małej Na Young wyjazd w nieznane oraz pokonywanie przeszkód związanych z imigracją.

To nie pierwszy tytuł traktujący w ostatnich latach o azjatyckiej diaspo-

rze w USA, by wymienić „Minari”, „Kłamstewko” czy „Wszystko wszędzie naraz”. Choć ich bohaterowie potrafili wtopić się lepiej lub gorzej w wielokulturowy pejzaż, powraca na różne sposoby problem odmiennej tożsamości i ceny, jaką płaci się za asymilację. Tego akurat w „Poprzednim życiu” nie mówi się wprost, zresztą Nora będąc dzieckiem uznanego filmowca z pewnością nie miała aż tak „pod górkę”. Ale właśnie zaskakująca intensywność relacji z Hae Sungiem sporo mówi na temat tego większego oddzielenia – od znajomych miejsc, własnej kultury i języka. Przygląda się temu z boku mąż bohaterki, Arthur (John Magaro) i niespodziewanie to właśnie on wyrasta na prawdziwego bohatera.

Nie przypadkiem Nora jest także z zawodu scenarzystką i gdyby kiedyś napisała film o sobie, byłby też o tym, że w związkach nie ma równości ani symetrii, że zawsze ktoś tęskni bardziej albo zupełnie inaczej, zaś mit dwóch połówek jabłka bywa tyleż romantyczny, co szkodliwy. W jednej ze scen wspomniany jest zresztą „Zakochany bez pamięci” Michela Gondry’ego, nie do tego jednak tytułu nawiązuje swoim melancholijnym klimatem film Song. Bliżej mu do „Między słowami” czy trylogii „Przed wschodem słońca”.

Podobna w nim moc rozmowy, również tej odbywającej się w niezrozumiałym języku. Mamy też podobnie rozmazane spojrzenia, spokojny rytm i odra-

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



GUTER FILM

POPRIEDNIE ŻYCIE

(*Past Lives*) – reż. Celine Song. Prod. USA/Korea Południowa 2023. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 13 października, wcześniej pokazy przedpremierowe.

Celine Song w dzieciństwie wyemigrowała z Korei Południowej do Kanady. Zaczynała jako dramaturg i reżyserka teatralna w USA. Następnie była współautorką scenariusza serialu „Koło czasu” (2021). Film „Poprzednie życie”, oparty częściowo na własnej biografii, jest jej debiutem reżyserskim, pokazywanym na festiwalu Sundance i w konkursie Berlińskim.

czanie kulminacji, by długo sycić się tym, co z pozoru nieważne i niezręczne. Daje to także widzowi przestrzeń do namysłu i przeżywania razem z bohaterami historii równoległych: dziejącej się na naszych oczach i tej spod znaku „co by było, gdyby”. Kluczowa scena spotkania całej trójki w nowojorskim pubie zamienia się w dialogowy majstersztyk, nie mówiąc o kadrowaniu emocjami.

Dosłownie tytuł tłumaczy się jako „Poprzednie życie” i owa liczba mnoga lepiej oddaje istotę sprawy. I to w dwójnasób, bo dotyczy nie tylko paralelnych nitów scenariusza rozsnutych na różnych kontynentach. Pierwszy etap spotkania, czyli niewinny romans dwudziestoparolatów w sieci, kiedy każde powiadomienie komunikatora przyspiesza bicie serca i wszystko jeszcze wydaje się możliwe, wnosi perspektywę dwunastu lat dorastania, szukania własnej drogi, młodości i ambicji. Po latach ci sami bohaterowie są już zupełnie kimś innym, na innych etapach i niektóre furtki zamknęły się przed nimi na zawsze. A może nie do końca? Sugerując snucie narracji w trybie warunkowym, Song raz po raz zostawia jakąś furtkę uchyloną. Nic dziwnego, że w obliczu trudnych wyborów bohaterowie czują, że zmagają się z czymś dużo większym od nich.

Okazuje się, że Koreańczycy nazywają to *in-yun*, połączenie opatrności i przeznaczenia. Nora wspomina o tym zrazu półzartem, jakby był to zaledwie literacki motyw czy kulturowa ciekawostka. Później coraz częściej ma wrażenie, że stoi nad nimi ktoś, kto pociąga za sznurki i reżyseruje przypadki. Aczkolwiek w subtelnie metafizyki.

Postacie może i chciałyby wierzyć, że to, czego teraz doświadczają, „jest im pisane” (istotna fraza w odniesieniu do literackiej profesji Nory i Arthura), i że wyrasta z rozumianego po buddyjsku „poprzedniego życia”. Jednakże mądrość tego filmu, który przez cały czas balansuje między filozoficzną zadumą a melodramatem o pierwszym kochaniu, jest przede wszystkim mądrością jego trojga bohaterów. A składa się na nią zaufanie, zrozumienie, cierpliwość, umiejętność wycofania się – dziwny zestaw w naszych egocentrycznych czasach. Jeszcze dziwniejszy wydaje się delikatny ton opowieści, chociaż czujemy przecież, że pod spodem wrze. ©

Lektor: Grimmowie, odstona pierwsza



■ ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE,
PÓKI NIE UMARLI.

NIEZNANE BAŚNIE BRACI GRIMM

Wybór i przekład Eliza Pieciul-Karmińska, ilustracje Michalina Jurczyk. Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2023, ss. 268

BAŚNIE GRIMMÓW? NO PRZECIEŻ ZNAMY! OTÓŻ NIE DO końca, bo podstawą tej akurat edycji jest pierwsze wydanie „Kinder- und Hausmärchen” Jacoba i Wilhelma Grimmów, dotąd u nas nie tłumaczone (tom pierwszy – 1812, tom drugi – 1815). Ile tych wydań było, w jaki sposób Grimmowie zbierali teksty i jak zmieniał się kształt zbioru, nim osiągnął kształt z 1857 roku, opowiada w posłowie Eliza Pieciul-Karmińska, znakomita grimmolożka, która 13 lat temu opublikowała własny przekład owej kanonicznej całości, liczącej dwie setki baśni. A teraz otrzymaliśmy wybraną pięćdziesiątkę, w tym baśnie, które do kolejnych wydań nie weszły.

Są tu np. „Sinobrody” i „Kot w butach”, usunięte później ze względu na francuską proveniencję. Z innych zrezygnowano z powodu drastyczności, jak z krótkiej i nadzwyczaj krwawej „Jak dzieci bawiły się w świniobicie”. Zniknęła tragicznie realistyczna miniatura „Dzieci w głodowej niedoli”, a także „Dziwaczna uczta”. Surrealiści by się nie powstydzili tej czarnej groteski: oto krwawej kieszce składa wizytę wątrobianka i ucieka w ostatniej chwili, zorientowawszy się, że to ona właśnie ma być jedzona... „Cechą szczególną większości fabuł z pierwszego wydania, które nie miało jeszcze ambicji wychowawczych – pisze tłumaczka – jest właśnie brak dydaktycznego zacięcia. (...) Pierwotne baśnie niekoniecznie kończą się morałem”. Cechuje je też brak pruderii – i nieokiełznana wyobraźnia.

Po co jednak w ogóle sięgać po baśnie? „To czarodziejskie zwierciadła ukazujące różne przejawy naszego świata wewnętrznego oraz fazy rozwojowe, jakie musimy przejść, aby osiągnąć dojrzałość. Gdy zanurzymy się w znaczenia baśniowe, wydadzą nam się one najpierw spokojną tonią, w której odbija się tylko nasza twarz. Wkrótce jednak ukażą nam się w głębi wewnętrzne wiry naszego życia psychicznego” – pisał Bruno Bettelheim w sławnej książce „Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni”. Dzieło Bettelheima ukazało się u nas w przekładzie Danuty Danek – i to za jej sugestią Kopciuszek stał się teraz Popielątkiem. A skoro o Kopciuszku/Popielątku mowa, ta akurat baśń jest we wcześniejszej wersji mniej drastyczna – w finale gołębie nie wydziobują złym siostronom oczu... ©

OLGA

Drenda:

Wszystkie drogi prowadzą do Kalisza



„JAK CZĘSTO MYŚLISZ O STAROŻYTNYM Rzymie?” – taka, mówiąc staroświecko, gra salonowa rozposzechniła się ostatnio na świecie. Od razu przypomniałam sobie, że owszem, chyba jakieś XXIII razy

ostatnio. Całkiem niedawno zdarzyło mi się, bo na potrzeby pracy musiałam znaleźć brzydki napis odkryty na ścianie w Pompejach. Prawdopodobnie za każdym razem widząc słowo „wodociąg” przypominam sobie, że inaczej mówi się „akwedukt”, a nazwa miejscowości Bógpomóż w województwie kujawsko-pomorskim odruchowo kojarzy mi się ze znalezionym tam skarbem starożytnych monet. Przyznaję, że czasami zdarza mi się myśleć o bursztynowym szlaku i wyobrażać sobie, jak te bardzo dawne dzieje musiały wyglądać w Kaliszu, mieście, w którym ze wszystkich polskich znaleziono chyba najwięcej rzymskich śladów. Być może wręcz każde wspomnienie o Kaliszu prowokuje u mnie chęć natychmiastowego wdżania togi.

Psychozabawa kojarząca się nieco z najlepszymi czasami gier w rodzaju „flirt towarzyski” to inicjatywa szwedzkiej blogerki Saskii Cort. Od razu trzeba nadmienić, że jest nieco tendencyjna: zachęta brzmi „zapytajcie MĘŻCZYZN w swoim otoczeniu, jak często myślą

o starożytnym Rzymie”, a nie „zapytajcie KOGOKOLWIEK”. To pytanie z tezą, bo zakłada, że tylko mężczyznom Rzym w głowie, czyli wiadomo – mają pewnie fantazje imperialne albo gladiatorskie (albo myślą o sieciach wodociagowych). Ktoś sugerował, że częstotliwość myślenia o Rzymie oznacza militarne zapędy. Współczesny internet kocha takie żenująco proste wróżby i diagnozy, niczym Rzymianie księgi sybillińskie; pod tym względem istotnie różni nas niewiele. Tymczasem zjawisko jest pewnie zupełnie demokratyczne, bo każdemu człowiekowi zdarza się powiedzieć „kości zostały rzucone”, w mediach społecznościowych klikać łapki w górę i dół, wcielając się na chwilę w małego imperatora, albo, mieszkając w jakimś mieście, zwrócić uwagę, że zapewne leży na siedmiu wzgórzach. Być może w Polsce zdarza nam się myśleć o starożytnych jeszcze częściej – swego czasu znajomi z anglosfery nie mogli się nadziwić, z jaką swobodą przeciętny Polak peroruje niczym antyczny patrycjusz, wplatając od niechcenia w potoczną mowę różne „*summa summarum*” i „*nomen omen*”, tacy z nas Rzymianie Północy.

Wbrew próbom kolektywnej psychoanalizy podejrzewam, że przyczyna tak powszechnej obecności starożytności w naszej wyobraźni jest wytłumaczalna w sposób prozaiczny i nudny: mamy odruchowe skojarzenia z tym, co częściej pojawia się w naszej kulturze, w obrazach, powiedzeniach, figurach retorycznych. Do tego zwykle nie myślimy o jakiejś epoce, lecz o jej przedstawieniach, które mocniej zapadły w powszechną pamięć. Dlatego o średniowieczu myślimy tropami (często błędnymi!) z XIX-wiecznych powieści, a królowie polscy mają oblicza nadane im przez Jana Matejkę. W przypadku Rzymu nie chodzi nawet o „*Quo vadis*” (międzynarodowy przecież bestseller) i „*Gladiatora*”. Najwięcej zrobiło w kwestii tej kolonizacji współczesnej myśli zapewne ciekawostkowe opowiadanie o historii. Seriale dokumentalne, History Channel, National Geographic, kanały YouTube i tiktokowe – wszystkie opierają się na wiedzy typu „czy wiesz, że?”. A świat starożytny, odległy i tajemniczy, doskonale nadaje się do prezentacji w takim formacie: „Czy wiesz, jak działała starożytna latryna?” albo „Jak wyglądała dieta oparta na winie?”.

Odkrywanie tajemnicy zaś to doświadczenie, któremu trudno się oprzeć. Jak zafascynowało artystów wczesnego włoskiego renesansu – warto przekonać się na wystawie „Przebudzeni” w warszawskim Zamku Królewskim [pisze o niej również w tym numerze Piotr Kosiewski – red.]. To, jak powstająca nowożytność świadomie wspierała się na antycznym fundamencie, jak powszechne do dziś ornamenty podpatrzono w odnalezionym Złotym Domu Nerona, jak politycy i filantropi przyjmowali pozy i gesty „sławnych mężów”, a na obrazach chrześcijańscy święci, dotychczas wiotcy, nabierali muskulatury dawnych herosów – pokazuje, jak mocno żyjemy w wyobraźni „zapożyczonego, unowocześnionego antyku”. Po wizycie na takiej wystawie faktycznie można jeszcze częściej niż zazwyczaj myśleć o Rzymie.

©

Antyk Niedrogo



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Zupa z prądem



CZTERY I PÓŁ WOLTA WPROWADZAŁO MNIE w pierwsze kręgi tajemnic fizyki ciała, gdy jako pacholę z kolanami koloru genjany przytykał elektrody płaskiej baterii do języka. Moment drżenia w lekkim lęku, bo to jednak prąd, przed którym dorośli przestrzegali, i potem specyficzne mrowienie i utrzymujący się długo po wyjęciu blaszek z buzi trudny do zakwalifikowania smak. Z pewnością pasuje doń określenie „metaliczny”. Raczej kwaśny niż gorzki, na pewno nie słony; obcy.

Na liście wyznaczników pokoleniowej codzienności tuż pod pozycją numer jeden „dzwoniłeś do mamy, kręcąc tarczą” lokuje się „zawsze miałeś pod ręką jakąś płaską baterię”. Zważywszy na to, ile razy wyciekał z niej kwas, niszcząc odzież i paląc skórę, nie ma czego żałować. Dzisiejsze pacholęta, pozbawione łatwego dostępu do baterii, znajdują sobie, nie wątpię, inne gesty inicjacyjne, tyleż zuchwałe w oczach młodej osoby przestępującej próg odwagi, co obiektywnie niegroźne dla jej zdrowia. Tamte zaś nieoczywiste doznania językowo-woltażowe mogą wkrótce stać się domeną całkiem dorosłego doświadczenia w kuchni dzięki badaniom nad „rozszerzoną smakowością” prof. Hiromiego Nakamury z Tokio.

W zeszłym roku już mignęły mi informacje o stworzonym przezeń zestawie elektrycznych pałeczek do jedzenia i takież słomce do picia – ale dopiero teraz zrobiło się o nim głośniejsze dzięki przyznanej mu nagrodzie IgNobla. Jest to inicjatywa w zamyśle prześmiewcza, może z lekką nutą szyderstwa, w angielskich uszach musi przecież pobrzmiwać słowo *ignoble*, czyli nikczemny, niegodny. „Rzeczy, które najpierw budzą śmiech, a potem skłaniają do myślenia” – tak brzmi motto tej całej zabawy [o innym tegorocznym IgNoblu pisze Łukasz Lamża na kolumnach Obrazu Tygodnia – red.]. Wyróżnienie dla Nakamury odpowiada nieszyderczemu, w sumie poważnemu rozumieniu śmiechu. Bardzo często to, co naprawdę nowe, wygląda zrazu dziwnie, wręcz pokrącznie.

„Proponujemy metodę rozszerzenia odczuwania smaku i zwiększenia liczby odczuwalnych smaków. Smak elektryczny to wrażenie wywoływane przez stymulację języka prądem elektrycznym. Przedstawiamy system do picia napojów oraz widelec lub pałeczki podłączone do obwodu elektrycznego. Na koniec omawiamy rozszerzony smak przy użyciu różnych czujników” – pisze Nakamura z zespołem w omówieniu artykułu ogłoszonego w materiałach konferencji o „rozszerzonej ludzkości”. Pełen dostęp do tekstu kosztuje 15 dolarów, pożalowałem, ale i za darmo zrozumiałem, na czym polega przełom. Oto na zdjęciu facet je po azjatycku zupę – pałeczkami wyjada kluski, a bulion spija ustami z przechylonej miski. Ale – uwaga! – elek-

Tygodnik Smaków – co piątek
w Twojej skrzynce przesyłany
na Tygodnikowy lunch, deser, obiad.
Zapisz się na powszech.net/tygodnik-smakov



tro-pałeczki pozostają podczas siorbania zanurzone w cieczy. Każdy licealista, który nie spał na lekcjach elektrolizy, zrozumie, że impuls elektryczny uwalnia zawarte w bulionie jony, np. sodu. A zatem podkreślona prądem zupa wydaje się bardziej słona. Perspektywa uwolnienia diety człowieka od sporej ilości soli pozwala wierzyć, że pomysł naprawdę się upowszechni. Ludzie, którzy nie umieją już odpowiedzieć na pytanie, czy spacer się udał, zanim nie sprawdzą w telefonie liczby kroków, z pewnością nie będą mieli problemu z podpinaniem podniebień do aplikacji. Dziś pieczarkowa, kochanie, jak chcesz poczuć trufle, wejdź w zakładkę premium. Chili się skończyło, dodaj kapsaicynę w ustawieniach.

Wirtualne gogle, słuchawki, a teraz smart-łyżka. Kolonizacja zmysłów postępuje, a przecież jeszcze niedawno to zmysły służyły do kolonizacji. IgNobla z chemii i geologii dostał w tym roku brytyjski uczonego polskiego pochodzenia Jan Zalasiewicz. To ważna postać, współtwórca m.in. pojęcia antropocenu, i moi koledzy z działu naukowego zajęli się nim parę numerów temu.



A my w kuchennej rubryczce odnotujemy z miłością, iż został wyróżniony za wyjaśnienie, dlaczego geolodzy liżą skały. Kiedyś, jak wyjaśnia, było to kluczowe dla rozpoznawania ich składu, ale także i dziś zwilżenie powierzchni pozwala lepiej rozpoznać strukturę kamienia. Zapraszam, panie profesorze, do swojej lodówki. Tam to dopiero są warstwy geologiczne, szczególnie na półce z serami! Próbuje wszystkiego, na razie mnie nie zabiło. ©

Pytanie do potencjalnych ignoblistów: dlaczego z drewnianej łyżki wszystko słabiej smakuje, a zwłaszcza sól? Sam nieraz wpadam w pułapkę, gdy mieszam beszamel, a nie mam pod ręką metalowej łyżki – ciągle wydaje mi się niesłony. A robię go często i namiętnie, Francuzi są słabi w gotowaniu tak w ogóle, ale powymyślali genialne sosy. W czasach ceniących wyrazistość beszamel ze swoją szlachetną dyskrecją smakową wydaje się przestarzały. Ale spróbujcie np. dać go do delikatnej acz sycącej zupy dyniowej. Robimy *beszamel*, ale z dodatkiem *ząbka czosnku* i sporej *garści listków szalwii*. Pieczemy do miękkości pokrojoną na kawałki *dynię hokkaido* (lub gotujemy na parze), zdejmujemy skórę, w garnku miksujemy ją (króciutko) z *beszamelem* (z którego wyjęliśmy listki) w proporcji mniej więcej 2:1. Możemy jeszcze podgrzać na wolnym ogniu do większego zgęstnienia, na wydaniu konieczne *sól*, *parmezan* i *pieprz* (ale oszczędnie, żeby nie przykrył szalwii).

ZMYSŁY



LUDZIE I GOLE

Jak opowiadać o futbolu, na którym przecież „znają się wszyscy”?
I to w czasach internetowych, gdy każde co bardziej erudycyjne zdanie
wystawia autora na bezpardonowy atak komentariatu? Znamy odpowiedź.

MAREK BIĘCZYK

ZDARZYŁO SIĘ TO W 1980 R., PODCZAS IGRZYSK OLIMPIJSKICH w Moskwie. Pietro Mennea, którego rekord świata na 200 metrów (19,72 s.) pozostał przez kilkanaście lat niepobity, po niezwykłym biegu zdobywa złoto. Kilka dni później we francuskim dzienniku „Libération” pojawił się opis tego biegu.

Bieg trwał dwadzieścia sekund i siedemnaście setnych, Mennea na ósmym, zewnętrznym, najgorszym torze, z piątego miejsca po 150 metrach, pozornie już bez szans, w nieprawdopodobny sposób wyprzedził wszystkich. Opis czytało się cztery minuty. Nie raz i nie dwa – tekst był tak porywający, że nie sposób było do niego nie wracać. Miało się wrażenie, że przeżywamy *replay*, tyle że nie na ekranie, lecz na papierowej stronie. *Replay* i zarazem coś więcej. Nowe zdarzenie, które narosło wokół tamtego biegu, nowa przyjemność, nowy zachwyt.

A więc tak można pisać o sporcie w prasie codziennej? Łącząc opis z wysokim stylem, dodając do faktów interpretacje z pogranicza prozy, poezji i sprawozdania, pozwalając sobie na literacką nadwyżkę, w której kryje się uniesienie i doznanie niezwykłości? Niedające się przekazać sztywnym, ograniczonym, suchym językiem? Tekst o sprincie Mennei był założycielski; pokazywał mi, ówczesnemu czytelnikowi „Przeglądu Sportowego”, jak jeszcze można pisać o sporcie.

Oczywiście sport w literaturze, wróć, literatura w sporcie gościła wcześniej, u nas wiersze skamandrytów, tenis w „Opętanych” Gombrowicza, „Kroniki sportowe” Adolfa Rudnickiego, pogaduchy Konwickiego z Holoubkiem, powieści Dygata. Po latach doszła proza Jerzego Pilcha itd., wyliczenie mogłoby być bardzo długie. Ale prasa codzienna i tygodniowa na swoich stronach sportowych serwowała kluchy, nudne opisy przyspieszeń na ostatniej prostej czy strzałów o milimetry mijających słupki, nieoczekiwanych remisów i zasłużonych wygranych. *Idem per idem* dla tych, co widzieli mecz, masło maślane, które do dzisiaj podaje się nam na dużych portalach informacyjnych (i którego inną wielką fabryką stały się w tym stuleciu tweety „ekspertów”) w kiepskiej polszczyźnie. I również w przekazie gadanym, tak w trakcie studia sportowego obsadzonego dziennikarzami sportowymi, trenerami i byłymi sportowcami, jak podczas konferencji prasowych czy wywiadów z zawodnikami – najczęściej krążymy wśród tych samych sformułowań, w tym samym błędnym kole wypowiedzi łatwiejszych do przewidzenia niż cena chleba nazajutrz.

Czasem tylko dostarczyciele plotek i etatowi niesforni, dawni piłkarze jak Jan Tomaszewski czy Wojciech Kowalczyk rzucają coś pozornie skandalicznego, lecz ich udział należy do licencji, jakiej królowie udzielają swoim Stańczykom. Zresztą to nie ostrość języka czy radykalność opinii mogłyby rozcieńczyć kisiel słowa pisanego i studyjnego; nie o nią tu chodzi.

Nowa świątynia

W ostatnim ćwierćwieczu coś się jednak u nas (u nas, bo na Zachodzie już dawno temu) wyraźnie zmieniło. Doszło do małej rewolucji, pióra wyzwoliły się, nabrały polotu i odwagi.

Obok: piłkarze Manchesteru United Michael Carrick i Nani po strzeleniu przez tego drugiego bramki w zwycięskim meczu z Tottenhamem, 30 października 2010 r.

Czy raczej należałoby powiedzieć, że dziennikarskie pisanie o sporcie rozdzieliło się na dwa nurty, tradycyjny, czysto sprawozdawczy i drugi, ożywczy, z pogranicza kilku języków: reporterskiego, literackiego, historycznego, filozoficznego, socjologicznego, psychologicznego, estetycznego – oraz profesjonalnie analitycznego, bardziej technicznego, lecz również zrywającego z kliszami i płaską frazą. Ten drugi nurt potrzebował trochę czasu, aby się ugruntować. Pamiętam sprzed dwudziestu lat komentarz czytelnika do jednego z tekstów sportowych umieszczonych w „Tygodniku Powszechnym”: „jestem studentem dziennikarstwa i jestem oburzony. Tak o sporcie nie wolno pisać”.

W latach 80. i wczesnych 90. prekursorem tego podziału były strony sportowe „Rzeczpospolitej”, na której niekiedy coś się budziło do życia – jak w świetnych tekstach Marka Józwicka. Później działo się niewiele, lecz nowa fala piszących dzisiaj autorów wzmocniła niepomniernie ten drugi nurt, znowu jest co czytać. Na stronach „Gazety Wyborczej” choćby Rafała Steca, który wyraźnie przeszedł z pierwszego nurtu do drugiego, czy zawsze wiernego nurtowi drugiemu Wojciecha Kuczoka. Obaj niekiedy szarżują – lecz najczęściej szarżują udanie.

Paru komentatorów zgromadzonych przy piśmie „Kopalnia” i przy kilku wyspecjalizowanych portalach jak „Łączy nas piłka”. Do tego autorów – nie zawsze związanych zawodowo ze sportem – całych ksiązek lub rozbudowanych esejów. W tym literatów, historyków i krytyków literackich, jak Paweł Mościcki, Mariusz Czubaj, Michał Paweł Markowski czy wykładowcy poznańskiej polonistyki; proszę wybaczyć, że nie wymieniam wszystkich nazwisk.

No i mamy instytucję odrębną, Michała Okońskiego, podstawową kolumnę w tej nowej świątyni, w której czci się sport – w tym przypadku futbol – inaczej niż kiedyś. Dlatego po obejrzeniu jakiegoś ważnego meczu mundialowego czy pucharowego, kiedy poszukujemy na żywo sformułowań dla naszych emocji i chcemy to „przeżyć raz jeszcze”, sprawdzam najpierw, czy Okoński już coś napisał; to dla mnie pierwsze i najważniejsze pomeczowe echo.

Po książkach „Futbol jest okrutny” (2013), z której warto zapamiętać nie tylko rozważania poświęcone między innymi ukochanemu klubowi Okońskiego, Tottenhamowi, lecz także fantastyczny blurb Jerzego Pilcha („Nie przypuszczałem, że Tottenham jest aż taką Cracovią”) oraz „Światło bramki” (2021) ukazał się właśnie kolejny tom futbolowych medytacji, „Stałe fragmenty”. Wiele zgromadzonych w tych książkach uwag wywodzi się z bloga prowadzonego pod tytułem, który zdążył już stać się sentencją, powtórzę: „Futbol jest okrutny”.

W trzecim tomie krystalizuje się pisarstwo o futbolu tego, który określa siebie jako „dziennikarza sportowego”. Do czego zobowiązuje takie samookreślenie się? Owszem, znajdziemy w książce teksty bardziej dziennikarskie, o historii futbolu czy o aferze korupcyjnej w polskim futbolu; Okoński zresztą w dziedzinie faktów mocno trzyma się ziemi. Ale nie można nie postawić tu kwestii fundamentalnej. Jak pisać o tym, na czym „znają się wszyscy”? Zwłaszcza w czasach internetowych, gdy każde nieco bardziej „literackie”, nieco „trudniejsze” czy co bardziej erudycyjne zdanie albo cytaty

→ wystawia autora na bezpardonowy atak komentariatu? Podobne kwestie dotyczą zresztą nie tylko futbolu, lecz także innych dziedzin, w których specjalizują się „wszyscy”: polityki, jedzenia i alkoholu, automobilizmu itd.

Serce Eriksena

Postawmy pytanie inaczej: jak daleko można odlecieć, dać się ponieść własnemu językowi, własnemu stylowi, własnym metaforom, wreszcie własnym uczuciom? Czy istnieje granica, za którą pisanie o meczu futbolowym przestaje być pisanem o meczu futbolowym? I dobrze to czy źle?

Przykładów takiego granicznego pisania o sporcie, gdy sport nie jest już tylko sportem, a konkretny mecz tylko konkretnym meczem, można by podać wiele. Przypomina się słynny tekst Davida Fostera Wallace'a „Federer jako doświadczenie religijne”. Z dziennikarskiego punktu widzenia, mówi Wallace, nic nie mam do powiedzenia, a wszelkie informacje możecie sobie wygooglować. Po czym wyjaśnia, co go interesuje: „Piękno nie jest celem sportów wyczynowych, lecz sporty na wysokim poziomie tworzą najlepszą przestrzeń, w której wyraża się ludzkie piękno. Zależność ta jest z grubsza taka, jaka między odwagą a wojną. Ludzkie piękno, o którym mowa, jest pięknem szczególnym: można je nazwać pięknem kinetycznym. Jego siła i jego zew są uniwersalne. Nie ma ono nic wspólnego z seksem czy z kulturowymi normami, ma natomiast wiele wspólnego z czymś innym, mianowicie z pogodzeniem się człowieka z faktem, że ma ciało. Oczywiście w męskich sportach nikt nie mówi o pięknie czy wdzięku ciała. Mężczyźni mogą opowiadać o swojej »miłości« do sportu, lecz owa miłość zawsze musi być zaprzęgnięta do symboliki wojennej: eliminacja *versus* awans, rankingi, obsesyjne statystyki, techniczne analizy, plemienny lub narodowy ferwor, koszulki, zgiełk tłumy, transparenty, bicie się w tors, malowanie twarzy itd. Z trudnych do pojęcia powodów kod wojenny jest dla większości bezpieczniejszy niż kod miłosny”.

Michał Okoński, jak sądzę, idzie tym tropem myślenia; jeszcze wcześniej, mówiąc o futbolowym pięknie, wyznaczał go chętnie przez niego cytowany Albert Camus, bramkarz i pisarz. Rozchyła zasłony wojenno-plemiennego dyskursu, by ukazać wymiar etyczny, estetyczny i miłosny futbolu. Siega, gdy trzeba, po różne wymienione wyżej języki, tworzy wielopostaciową (czy, jak kto woli, synkretyczną) mowę, która opiera się na świetnej znajomości realiów, nazwisk, wyników, historii futbolu, lecz tworzy całkowicie własną, odrębną opowieść.

Okoński wie, że pewne rzeczy pomoże mu wyjaśnić na przykład techniczny opis pióra znakomitego analityka Michała Zachodnego, lecz do zrozumienia, czym jest dramaturgia dogrywki, potrzebuje literackiego głosu Jerzego Pilcha. Podobnie jak historyk sztuki nie zawsze wypowie sedno dzieła sztuki, jego egzystencjalną poezję, i więcej o obrazie czy rzeźbie przyniesie „nieprofesjonalny” komentarz pisarza albo filozofa (czyli ekfrazy), tak potencjalne znaczenia zawarte w spektaklu sportowym dogada się innym niż ściśle dziennikarskim językiem. Tyle że „inne” pisanie o sporcie, a zwłaszcza o piłce nożnej, przez długi czas było obciążone grzechem banału i nieistotności. Jak odpowiadał autoironicznie Tade-

usz Konwicki na pytanie o to, czy ogląda mecze: „ogłądał, ale brzydzę się sobą”.

Lecz przede wszystkim Okoński idzie Wallace'owskim tropem czucia sportu. Uczuciowej czujności, dzięki której chce i umie wyłapywać sytuacje promieniujące pozameczową energią. Werwą rozbudzoną emocjami, które są tyleż estetyczne (dojrzeć czyste piękno), co etyczne (dojrzeć piękno moralne). Zachwycić się niezwykle przebiegiem meczu Hiszpania–Chorwacja i przeżyć dzięki niemu autentyczne doświadczenie *katharsis*, i zachwycić się solidarnością ludzką, która od pierwszej sekundy otoczyła Eriksena, kiedy w 23. minucie meczu Dania–Finlandia padł na murawę po zatrzymaniu pracy serca. Rozdział poświęcony temu wydarzeniu i sytuacji, jakie ono wytworzyło, jest zapewne najbardziej sentymentalnym w tej książce. Oto jest możliwe zwycięstwo nad śmiercią, oto możliwe jest braterstwo ponad podziałami.

Wszystkie moje bramki

Tej sentymentalności Michał Okoński nie unika, nawet słowo „lzy” (na twarzach zawodników i na twarzach kibiców) powraca często. To jest jego duchowy podkład do futbolowych rozważań. Czy raczej odwrotnie: futbol pozwala mu dotrzeć do takiej postaci siebie, która ujawnia się w szczególnych, wyjątkowych – i może najlepszych – chwilach. Można ją nazwać „eksperymentalnym ego”, jedną z wielu form ją, które się tworzą w ciągu naszego życia. W tym przypadku tworzą się w różnych dziedzinach, bo przecież Michał Okoński jest komentatorem politycznym, społecznym, osobą piszącą o różnych tematach, wreszcie redaktorem.

Każdy z nas, bliskich kibiców trzeciego stopnia, takie eksperymentalne ego sobie na własny sposób kształtuje, gdyż nasz związek z futbolem jest konstrukcją egzystencjalną. Znaczy to, że kreujemy siebie jako podmiot, który istnieje i nawiązuje kontakt ze światem na innych zasadach, niż te, jakie wiążą nas z tak zwaną rzeczywistością.

Paweł Mościcki w kapitalnej książce „Lekcje futbolu”, której dałbym jeśli nie nagrodę Nike, to Puchar Rimeta, i będącej kwintesencją drugiego nurtu, gdzie futbol służy do mówienia o wszystkim, wyobraża sobie autobiografię opowiadającą „tylko o oglądaniu meczów. Składałaby się z idealnie powtarzalnych sekwencji wydarzeń; kto, gdzie i z kim? Jak się dotarło na mecz, jak z niego wróciło. Co działo się równolegle albo jakie myśli kłębiły się w głowie. Te całkiem oderwane od jednego nurtu życia byłyby jedyną płaszczyzną wiedzy o czyjejś biografii (...) Wyobrażona przeze mnie autobiografia to opowieść o sztampie, kronika banału. Zarazem jednak opowiadałaby ona o momentach stężonej uwagi, pobudzenia, które wymyka się z ram oglady. Chwile powiązane z piłką nożną wydają się istnieć poza życiem, równolegle do niego, a zarazem ich intensywność wciąga wszystko w swój wir i przez to zakrzywienie niejedno z niego wydobywa”.

Pozwolę sobie wspomnieć, że w dzieciństwie, kiedy już wiedziałem, że jedną z najczęstszych form pisania jest pamiętnik, postanowiłem, by ten mój składał się z opisów zobaczonych goli. Kto podał do kogo i jak padła bramka. Długo to nie trwało, absurdalność pomysłu szybko wyszła na jaw, dopiero teraz tę absurdalność zaczynam doceniać i, mówiąc półżar-

tem, widzę w niej podobny myślowy zaczyn, który towarzyszył Gombrowiczowi w pisaniu „Kronosa”, antydzienniku jego „Dziennika”, czyli *résumé* tego, co Gombrowicz gdzie, kiedy i za ile. Wówczas przewodziła mi zapewne myśl, by się uchronić od straty, by niczego nie uронić z przeżytych emocji, dzisiaj widzę w tamtym wysiłku poczucie kreacji, intuicję, że pragniemy tworzyć autobiografie alternatywne, że życie jest może nie tyle gdzie indziej, co w nas stojących obok nas.

Prawda przesady

Może się to wydać skrajnie nieracjonalne. Ale równie irracjonalne, co gapienie się na „dwudziestu dwóch dorosłych mężczyzn uganiających się za piłką” (a dziś także kobiet; ciekawe, czy to coś zmienia w stawianiu piłki pod prężer), jest wyśmiewanie sportowej namietności i słynne nawoływanie do budowania nowych przedszkoli, zamiast ładowania pieniędzy w futbol.

Zarówno Michał Okoński, jak Paweł Mościcki przechodzą nad tym szybko do swojego (nie)porządku. Ten pierwszy przytacza słowa Jerzego Pilcha: „Ma się rozumieć, mundial jest wielkim interesem; ma się rozumieć, mecz jest metaforą bitwy, ale kto nie zna uczucia, jakie ogarnia jestestwo ludzkie, gdy piłka siądzie na podbiciu i po chwili zatrzepocze w siatce obok rozpaczliwie interweniującego bramkarza, ten może i jest człowiekiem. Ale częściowym. Ani świata, ani drugiego człowieka w pełni nie zrozumie nigdy”. A Mościcki odgania zarzut o niezrozumiałej fascynacji bieżącą facetów za kałkami napompowanej skóry jednym machnięciem ręki: „Zawsze wydawało mi się, że ta fraza stanowi nie tyle demaskację futbolu, co jego uwznioślenie. Czymże innym, jeśli nie rozbudowaną produkcją znaków wokół zasadniczej pustki, jest każdy akt ludzkiej kultury?”.

W najnowszej książce, podobnie jak w poprzedniej, „Światle bramki”, Okońskiego bardzo interesują jednostkowe losy. Charyzmatycznych trenerów (Pep Guardiola, Carlo Ancelotti i zawsze Johan Cruyff), zawodników (Paul Gascoigne, Messi, Erling Haaland, Harry Kane, Dele Alli), a nawet sędziów (Szymon Marciniak). Są to opowieści, minibiografie ludzi wyjątkowych, herosów nieraz wieloznacznych, poza dobrem i złem. Okoński nie oszczędza – nigdy nie oszczędzał – na zachwycie. Genialnymi zagraniami, oczywiście, niesamowitymi bramkami, rzecz jasna, lecz także dramatycznymi okolicznościami, które układają mu się w losy rodem z antycznych tragedii czy z innych mocnych przed-



GRAŻYNA MAKARA

Okoński rozchyła
zasłony wojenno-plemiennego
dyskursu, by ukazać wymiar etyczny,
estetyczny i miłosny futbolu.
**Tworzy całkowicie własną,
odrębną opowieść.**

stawień zmagania z życiem. Jak na przykład kondycja rosyjskich jurodiwych, nawiedzonych, natchnionych i nieszczęsnych szaleńców, do której porównuje trudny żywot Paula Gascoigne’a, piłkarza wybitnie utalentowanego, lecz naznaczonego najcięższymi traumami.

Owszem, Okoński też szarżuje. Kto wszak z piszących nie szarżuje? Niech taki pierwszy zsiądzie z rumaka! Kiedy Okoński kreśli portret naszego pierwszego arbitra, chlubę i dumę polskiego futbolu istotniejszą niż wielu okrzyczanych reprezentantów Polski, wysnuwa socjologiczno-polityczną hipotezę, że jest on tak w Polsce ceniony, gdyż w naszych polskich sprawach, w gorącej wojnie polsko-polskiej, tęsknimy za arbitrem, który wreszcie wyda sąd, ostatecznie rozstrzygnie, gdzie leży

racja. Chwytliwe, ale może za szybko skojarzone?

Kiedy opiera swój wywód o Paulu Gascoigne’u na eseju o wspomnianych jurodiwych filozofa Cezarego Wodźńskiego i nazywa wręcz piłkarza, zruszczając jego imię, Pawłem Iwanowiczem, analogia wydaje się mocno „życzeniowa”, choć może bardziej operatywna. Ktoś powie: jedno i drugie to gruba przesada. Kiedy Paweł Mościcki porównuje zarządzanie przez graczy boiskową przestrzenią z zarządzaniem przestrzenią społeczną przez lewicę, kiedy odwołuje się do Kafki, gdy rozważa, czym jest powołanie do kadry, ktoś powie: no, bez przesady. Odpowiem: i w tym rzecz, aby było przesadnie.

Bo też przesada w tekstach o sporcie jest przeciwieństwem kłamstwa. Wielkim darem zwłaszcza teraz, w czasie ogólnoświatowej pandemii fake’u, a także łgarstwa politycznego podniesionego do rangi oficjalnego stanowiska czy udowodnionej tezy. Przesada jest prawdą, która urządzi świat na lepsze; prawdą, która nie uwłacza, ponieważ wynika z dobrych uczuć, z namietności, z wniebowzięcia. Z w-mecz-wstąpienia, że tak powiem, by użyć za Wallace’em języka wiary.

Ale nie chodzi mi o łatwą metafizykę. Raczej o wyjątkową kumulację ludzkiej energii, którą łączy w szklanej kuli ogromny wysiłek ciała i arcydzielnosć jego możliwości, utopijne dążenie do jego perfekcji, najinteligentniejsze rozpoznanie pola działań z duchowym zaangażowaniem w tropienie znaczeń i z równie intensywną opowieścią.

Mówię „szklana kula”, gdyż całość jest magiczna, bajkowa. Baśń układamy, nie mniej poważną niż te inne, których nie umieszcza się w działach i na stronach sportowych.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:

O ruchu



SPORT JEST NASZĄ PASJĄ, CHOĆ PASJĄ WIĘKSZĄ, której oddajemy się chętniej, jest wypoczynek bierny, uprawiany w ciszy, w powietrzu świeżym, ale jednak nieruchomym. Sport nas interesuje oczywiście jako ruch, ale to ważne – nie ruch cielesny, a ów odbywający się w głowie.

Podczas obserwowania, dajmy na to, leżącej piłki bądź frunącego narciarza w całym ustroju człowieczym dochodzi do burzliwych zmian. Przemianom ulega charakter, szeroko pojęta umysłowość, ruszają specyficzne procesy chemiczne. Pokłosiem są radość bądź smutek, a co za tym idzie, nieokiełznana potrzeba rozładowania napięć wszelaką aktywnością, poczynając od wokalizowania prostych myśli, podskakiwania, machania rękoma, obnażania się, na aktach precyzyjnie ujętych w kodeksie karnym kończąc. Przeżywaniu wydarzeń sportowych towarzyszy konsumpcja preparatów psychoaktywnych, dla przykładu: nikotyny i etanolu, by wymienić tylko najpopularniejsze na rynku. Ma to konsekwencje społeczne, neurologiczne i behawioralne.

Przeczytaliśmy nie tak dawno opinię któregoś z licznych tu znawców wszechrzeczy, że niepowodzenia polskich piłkarzy mogą mieć także wpływ na wynik najbliższych wyborów parlamentarnych. Jest to opinia zaskakująca. Wyobraźmy sobie teraz kibica, który rozgoryczony wynikiem meczu Polska-Ktokolwiek postanawia, że nie zagłosuje na tego lub owego. Uważamy za oczywiste, że kibic, czy to radosny, czy smutny, bardzo chętnie zburzy wiatę przystanku autobusowego, maczetą odetnie rękę bliźniemu, ale nie chce się nam wierzyć, by był zdolny do dłuższych rozważań światopoglądowych motywowanych postawą piłkarza o nazwisku – dla przykładu – Krychowiak. Co to, to nie. Chyba nie.

No właśnie. Bo z drugiej strony, gdy tak tu ponuro siedzimy, gdy zliczyliśmy wszystkie nasze porażki w pozornie logicznym analizowaniu polskiej polityki, uznaliśmy, że musimy być ostrożni. Trzeba skończyć z lekkomyślnym wieszaniem. Niestety. Przecież tutejsze reakcje mas wynikają ze spinania się faktów bądź nieprawd pozornie nie do zapięcia. Zdarzeń, z których nie powinna wynikać poważna zmiana, bowiem są one w swej istocie błahie, idiotyczne albo nieprawdziwe. Gdybyśmy – popatrzmy uważnie – mieli podejmować rodzinne bądź firmowe decyzje w oparciu o podobnie absurdalne kwestie, które są nam od lat motywem do wybierania władz państwowych, to zaiste trzymane by nas pod kluczem i zostalibyśmy ubezwłasnowolnieni. Przyjaciele i oddani podwładni z ulgą przyjąłby pomysł małżonki, by uczynny sąsiad polewał nas każdego ranka z ogrodowego szlauchu w nadziei przywrócenia nas do przytomności. Tak by było.

No więc – wracając do świata sportu i polityki, gdy słyszemy kibiców, i nie tylko, śpiewających na stadionie, i nie tylko „Rotę”, przypominał się nam felieton Antoniego Słonimskiego, sprzed blisko stu lat, który zaanonsował dzisiejsze czasy. „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz» to bardzo skromny, minimalny program polityczny – pisał A. Słonimski – w dodatku bezsensowny. Otóż to starodawne bezsensowne minimum stało się dziś bez racjonalnego powodu totalnym maksimum nowoczesnej polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej, szczytem szczytów intelektualnych możliwości Polaka”. „Kto ty jesteś? Polak mały...” – chciałoby się *à propos* wyrecytować, a słowo „mały” powinno dać nam do myślenia. Ale nie daje. To był tzw. wtęret erudycyjny.

Ponieważ się ściemnia, wypada kończyć: oto kilka dni temu prezydent i premier ogłosili, że Polska będzie się starać o organizację letniej olimpiady w 2036 r. Ponoć jest to atrakcyjny pomysł na końcówkę kampanii wyborczej w roku 2023. Trudno z tym dyskutować, bo wszystko jest możliwe, ale wypada może przy tej okazji wymienić wartości olimpijskie, są to: szacunek, przyjaźń, dążenie do doskonałości i czy sta gra, czyli *fair play*. Ponieważ są to dla obecnej władzy wartości „od czapy”, mogłaby ona, póki czas, wycofać się z tego pomysłu. Byłaby to duża oszczędność i ulga dla nas wszystkich. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**



FILM NETFLIX

ZNACHOR

TYLKO NA **NETFLIX** | JUŻ DOSTĘPNE